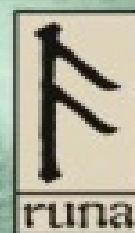


# HELL-P

**EUGENIUSZ DĘBSKI**



# Spis treści

- [Karta tytułowa](#)
- [Karta redakcyjna](#)
- [Mankament](#)
- [Motto](#)
- [PROLOG](#)
- [ROZDZIAŁ 1](#)
- [ROZDZIAŁ 2](#)
- [ROZDZIAŁ 3](#)
- [ROZDZIAŁ 4](#)
- [ROZDZIAŁ 5](#)
- [ROZDZIAŁ 6](#)
- [ROZDZIAŁ 7](#)
- [ROZDZIAŁ 8](#)
- [ROZDZIAŁ 9](#)
- [ROZDZIAŁ 10](#)
- [ROZDZIAŁ 11](#)
- [ROZDZIAŁ 12](#)
- [ROZDZIAŁ 13](#)
- [ROZDZIAŁ 14](#)
- [ROZDZIAŁ 15](#)
- [ROZDZIAŁ 16](#)
- [ROZDZIAŁ 17](#)
- [ROZDZIAŁ 18](#)
- [ROZDZIAŁ 19](#)
- [EPILOG](#)

EUGENIUSZ DĘBSKI

# HELL-P



Agencja Wydawnicza  
**RUNA**

Copyright © by Eugeniusz Dębski, Warszawa 2008  
Copyright © for the cover illustration by Maciej Dębski Copyright  
© 2008 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2008

Projekt okładki: Jakub Jabłoński  
Opracowanie graficzne okładki: Studio Libro  
Redakcja: Urszula Okrzeja, Renata Lewandowska  
Korekta: Magdalena Górnicka  
Skład: Studio Libro  
Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.  
ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I  
Warszawa 2008  
ISBN: 978-83-89595-42-3

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.  
Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA  
00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408  
tel./fax: (0-22) 45 70 385  
e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową: [www.runa.pl](http://www.runa.pl)  
Konwersja: Nexto Digital Services

Podstawowym mankamentem tej powieści, widocznym już na pierwszy rzut oka, jest brak mapki. Co to za powieść, z elementami fantasy, bez mapki? No, ta jest bez. Po co komu mapka III Rzeczypospolitej?

Drugim podstawowym brakiem byłby brak podziękowań, amerykańska wszak powieść bez podziękowań nie istnieje. Zatem i ja dziękuję: Lamii, Ewie Białołęckiej i Andrzejowi Szołtysikowi. Całej trójce za to samo – wysiłek, którego celem było przeniesienie mnie w okolice potrzebnego mi toruńskiego radia. I to się udało.

Poza tą trójką ta powieść nie zawdzięcza już nikomu nic. Cała, na Dobre i Złe jest moja.

*W każdym człowieku siedzi upiór, potwór, diabeł.  
Jeśli widzisz takiego, w którym nie siedzi  
– uciekaj szczególnie rączo.  
Tacy są najchętniej przez diabły zasiedlani.  
Może tylko z tą różnicą, że nieco później.*

„Myśli bezładne” S. A. Win

## PROLOG

*Drzwi do budynku się uchyliły, po czym ukazała się ręka i pomachała do mnie.*

*– Wypuście dzieci! – zawołałem. – Będziecie mieli mnie.*

*– Chodź tu i nie dyskutuj, bo będzie krzywda! – rozległ się inny głos.*

*Zaleciało fałszem. Podniosłem ręce wyżej i opuściłem – to był nasz sygnał „Uwaga!”.*

*Podszedłem do drzwi i zobaczyłem, że stoi tam mężczyzna z bronią. Nie starszy z braci, Marek, tylko... I nie młodszy, Józek. Ktoś inny, bardzo marnie przypominający Józka.*

*Wykrzywił usta w pogardliwym grymasie i pomachał lufą tetetki.*

*– Zrzuć kamizelkę! – warknął.*

*Wolno odpiąłem rzepy, podniosłem płat brzuszny, obróciłem się i podniosłem to, co miałem na plecach. Przy okazji wyskandowałem bezgłośnie, samymi ustami do wpatrzonych we mnie Boja i Żaby: „To. Nie. Józef.”*

*Znowu stanąłem twarzą do bandyty.*

*– Ściągaj powiedziałem.*

*– Wolę, mieć na sobie...*

*– Możesz se woleć. Zrzucaj, kurwa! Po chuj tu przylazłeś? Kłócić się ze mną?*

*Odpiąłem jeszcze dwa rzepy i rzuciłem kamizelkę na suchą trawę.*

*– Właź!*

*Wszedłem do budynku.*

*Bandzior się cofnął, skinął na mnie i pokazał, że mam stanąć twarzą do ściany. Przejechał ręką po moich plecach, bokach i kroczu, podejrzenie sprawnie. Coś tu śmierdziało, coraz mocniej. Szarpnął mnie za ramię i pchnął w stronę otworu drzwiowego na wprost drzwi wejściowych; w*

korytarzu, w którym staliśmy, biegnącym wzdłuż ściany zewnętrznej, były jeszcze trzy drzwiowe otwory, jedno po prawej i dwie pary po lewej. We wszystkich brakowało nawet ościeżnic, zaradni miejscowi wyprali kiedyś wszystko, co się dało. W pokoju, do którego mnie wepchnął „Józek”, było okratowane okno. Do krat z lewej i prawej przywiązali za nadgarstki dzieciaki. Chłopcy stali zapłakani, z buziami, na których rozsmarowały się łzy i brud. Uśmiechnąłem się do nich, tylko czy to mogło dodać im otuchy?

Dorośli może by się ucieszyli, że odsiecz jest blisko, a czy ośmiolatka może pocieszyć świadomość obecności posiłków?

Ten drugi, to był Marek, miał za pasem broń. Znaczą gazowiec. Może dlatego nie strzelał, żeby się nie zdradzić. To on został „trafiony” – draśnięty w głowę powyżej ucha. Ale tylko draśnięty. Krwawienie już ustało.

– Dzieci was obciążają – powiedziałem, przekroczywszy próg.

– To dla was tylko kłopot.

Nie męczcie ich, wypuście, a ja przecież zostaję. I będziemy rozmawiali.

– O czym, kurwa?! – Podskoczył do mnie ten z tetetką i wsadził mi lufę pod brodę.

Potulnie zadarłem wysoko głowę; nie patrzyłem mu w oczy. – O czym, ty wszo pierdolona?

„Wesz” – szpieg. Albo gość umyślnie popisuje się kminą, albo rzeczywiście siedział, czyli na pewno nie Warnicki.

– Przecież chyba nie macie złudzeń, że się stąd wyrwiecie? – Za lasem zaburczały silniki.

– Śmigłowiec, słyszycie? Za kilka minut nawet zając nie wymknie się z kordonu.

– Pierdołę zające – powiedział i stuknął mnie kolbą w czoło.

W gruncie rzeczy dałem ciała. Trzeba było wyrwać mu broń; ten drugi, z gazowcem się nie liczył. Po pierwsze, w zasadzie nie miał broni, po



drugie, chyba widział, że się wpakował w niezłe szambo. No i nie strzelał do ludzi, on miał o co się targować. Ale trudno, dogodny moment umknął. Potarłem czoło, żeby bandzior poczuł satysfakcję. Odskoczył.

– Chcesz gadać, to najpierw słuchaj – powiedział. – Chcemy jedną waszą furę, siadasz za kierownicą, bierzemy bajtla i jedziemy sobie stąd. Jak będziemy poza kordonem, wypuścimy was i po krzyku. Nie bój się, nie będziemy wyrwać chwasta.

„Wyrwać chwasta” – zabić przedstawiciela prawa. To też mi śmierdziało. Musiał wiedzieć, że zastrzelił kogoś w banku, że nie ma co liczyć na okoliczności łagodzące, i patrząc mi prosto w oczy, udawał, że nie ma takiej wiedzy. Na co liczył? Na wóz liczył, na wóz, potem trzepnie się w głowy kierowcę, z czystej sadystycznej nienawiści wszystkiego i wszystkich, którzy nie mają takich kłopotów tak oni, zabije Warnickiego i dzieciaki, i runie w Polskę.

Zdesperowany, rozjuszony, rozgrzeszony we własnym popierdolonym sumieniu. „Postępuję tak, bo oni mnie do tego zmusili! Gdyby się nie pchali ze swoimi spluwami, gdyby mi pozwolili spokojnie odjechać... A tak to macie!”.

– Wiesz, że to niewykonalne. Nikt mi nie pozwoli dać wam fury – powiedziałem. – Choćby dlatego, żebyście nie mogli narozrabiać więcej. – Popatrzyłem na Warnickiego. – W tej chwili jeszcze nie wszystko stracone, ale jeśli odrzucicie okazję do uwolnienia zakładników, prawo zacznie doliczać wam miesiące i lata z każdą godziną przetrzymywania dzieci.

Warnicki obrzucił rozpaczliwym spojrzeniem dzieci; młodszy chłopiec zaczął płakać.

Odwrociłem się do niego, żeby powiedzieć coś uspokajającego, ale nie zdążyłem. Ten z pistoletem odskoczył jeszcze o pół kroku, nagle odwrócił się i strzelił do współnika.

Mężczyzna zgiął się wpół, trafiony z odległości metra w brzuch i z jękiem zwałił się na kolana. Przyciskając ręce do tułowia, wytrzeszczył

oczy.

– Poso... ka? Co ty robisz?

Zwalił się na bok. Obaj chłopcy ryczeli na cały głos. Posoka popatrzył na mnie.

Spokojnie podniósł pistolet. Cholera, ile jeszcze miał tam naboii? Przeladowywał wcześniej?

Miał zapasowe magazynki czy zostały mu tylko trzy pociski? Nie, za pewno się czuje, musiał mieć zapas amunicji – i wycelował do mnie.

– Nie będziemy negocjowali, psie! – wycodził. – Albo zrobisz, co ci każę, albo rozwalę jednego szczyła...

– Przesunął lufę i wymierzył w młodszego z chłopców.

– Pif – powiedział i udając podrzut, uniósł z uśmiechem pistolet.

– Posoka-a... – jęknął Warnicki. Posoka odwrócił się do niego. Nie było już na co czekać.

# ROZDZIAŁ 1

Podobno najlepszym początkiem powieści mogłoby być takie zdanie: „- Kurwa mać! – rzuciła księżna”. Na pewno najgorszym początkiem dnia roboczego byłoby: „- Panie Kamilu, szef pana prosi”.

Ja nie jestem w powieści, nie jestem księżną. To do mnie ruda, aktualnie, Stefa powiedziała:

– Kamil, stary cię bierze. Chyba zjebka.

Tego się za bardzo nie bałem. Nie miałem nic na sumieniu, ale też nie miałem nic do roboty, a to oznacza, że szef może mnie w coś wkręcić. W zadanie.

– Już teraz? – zapytałem rudą.

– Za... – rzuciła okiem na monitor przed sobą – ...kwadrans.

Dobrze, coś sobie wyszukam. Pognałem łącznikiem między dwiema willami, ze swojej części do archiwum.

– Józwa – rzuciłem, udając lekką zadyszkę – daj mi coś. Coś do roboty.

Pokręcił głową.

– Nie? Nie dasz? Ty? Mi nie dasz?

– Nie dam. Stary już dryndał i powiedział, że jeśli przyjdiesz z jakąś pozorą, to mi wsadzi w dupę materac dymany i zacnie...

– Dobra, sam se nadymaj.

Czyli wtopa, i z wyjazdu na łono nici. A tak lubiłem, na polanie, w kwieciu, w wysokich zielonych rozgrzanych słońcem trawach...

Spróbowałem inaczej:

– Opowiem ci dobry dowcip?

Józwa oderwał wzrok od monitora:

– No?

– Stoją trzej faceci przed zamkiem maga. Jeden mówi: „Cieszę się,

że już tu jestem. Mag da mi mądry rozum!”. Drugi: „A mi dobre serce!”. Trzeci: „A mnie?”. Dwaj pierwsi: „A ty będziesz dawcą!”.

Poruszył zuchwą na boki, co u niego oznacza szeroki uśmiech, już myślałem, że go mam, gdy nagle warknął:

– Kamilek! Kurwa, co z tobą? – Wskazał palcem wyciszony niemal do zera interkom: – Stary cię szuka!

Odwróciłem się i wykonałem trasę powrotną. W sekretariacie Stefa zrobiła słynny w placówce „zmijowy języczek” i wskazała kciukiem drzwi.

– Żadnych rad? – zapytałem szeptem.

– Absolutnie zero – odpowiedziała franca.

– Zero to jest absolutne – warknąłem, zapominając, że tylko głupiec zadziera z sekretarką przełożonego.

– Może też być mniej niż zero – rzuciła obojętnie. Uff, nie przejęła się moją agresją.

Albo, menda, udaje.

Odetchnąłem, poprawiłem krawat, nastroszyłem języka na głowie i bez pukania wszedłem do gabinetu szefa.

– Aspirant...

– Pamiętam. Nie awansujesz od dwóch lat, to zapamiętałem stopień. – Wskazano mi krzesło. – Siadaj.

Mój przełożony, Konrad S. Tupoj, uwielbia kapitana Klossa i wygląda jak jego drugojajeczny brat: falujące włosy z bujnym lokiem nad czołem, starannie ogolony, ale z wąsem, dlatego w tym aspekcie przypomina Gromostawa Czempińskiego, zresztą swojego byłego przełożonego. I z tej jednak, i z drugiej strony wygląda jak zacny lew salonowy, o ile to określenie jeszcze pokutuje i ktoś je rozumie.

Nie udawał, że patrzy w moje akta, patrzył mi w oczy. I szacował.

Tupolew. Od czasu, gdy ktoś wytłumaczył, że po rosyjsku „tupoj” znaczy „tępy”, nazywamy szefa „Tupolew”, taka subtelna „sra

półgłówek”: z rosyjska, żeby się czuło, że wiemy, co znaczy, ale nie jesteśmy na tyle durni, żeby tłumaczyć wprost. Zresztą – broń Panie! – nie jest tępakiem.

W naszej firmie, jak i pokrewnych, tępaków nie ma. Mogą być lizusi i sługusi, konformiści i gorliwcy, ale dupek, bez względu na to, jaka „politopcia” rządzi, wstępu tu nie ma.

– Kamil, jest subtelna i bardzo, ale to bardzo dyskretna sprawa.

– Mam na drugie imię Milczek – zapewniłem go. Poczęstował mnie spojrzeniem numer cztery: „Kiego chuja się wygłupiasz?”.

– Kończ kabaret. – Skinąłem głową posłusznie. – Za chwilę pojawi się tu pewien gostek.

To Polak, ale z USA. Nie przedstawiciel Polonii. Sam ci powie to, co ci powiedzieć chce i może. Ja cię oddaję pod jego komendę, i zapominam o tobie aż do zakończenia sprawy. Czy też spraw. Ty najlepiej również o nas zapomnij, gdzie jesteś zatrudniony, nie oczekuj wsparcia, specarsenału, spektakularnych akcji... Dla własnego dobra i zdrowia, zapomnij o tym. Pamiętaj: idziesz pod jego komendę i on o tym wie.

Uniosłem brew.

– Wypadasz na coś na kształt urlopu bezpłatnego – ciągnął przełożony. Głośno przełknąłem ślinę. Tupolew omiół spojrzeniem sufit, czyli już zaczynałem przeginać. – Wypłacimy ci nagrodę okolicznościową, za... – Zastanowił się, ale nie znalazł niczego w moich dokonaniach. – Za coś tam... Postaraj się po prostu nie wciągać firmy do tej sprawy, dobrze?

– Broń? Łączność?

Pokręcił głową.

– Zrozum: „postaraj się nie wciągać” nie oznacza, że zostajesz sam, a my patrzymy, jak ktoś cię dyma. Nie. Ale dopóki się da, i na ile się da, nic oficjalnie nie wiemy. A prywatnie powiem ci, że gównu wiem,

i że się z tego cieszę.

– Czy mi się zdaje, czy tu cuchnie polityką?

– Tak. Niestety, tak. Nie. Niestety, nie. I nie zgaduj dalej. To nie jest nic z naszego kochanego kraju. Wyświadczamy dużą przysługę naszemu największemu... – wznosił oczy do nieba – tfu! – do sufitu – ...oby trwał wiecznie, sojusznikowi. Rozumiesz, tarcza antyrakietowa z jednej dupy strony, Putin i jego następca, z drugiej. Jeśli się wypniemy na USA, to oni się wypną na nas, a tego żadna politopcia nie chce. Dlatego oddaję swojego najzdolniejszego agenta do dyspozycji i do realizacji.

– Szefie, po co mnie pan obraża? Przecież ja za pana do... do wody bym...

– Pierdziel się, Kamilku. Sam umiem pływać.

– No to w og...

– Szefie, dostałam umówiony sygnał – przerwała mi przez interkom Zdziruda.

– Okej. Kamilek już tam idzie. Ja im nie jestem potrzebny. – Odchylił się w fotelu, skrzypnęło. Wyłączył interkom. – Kamil, kurwa, spuszczam się na twoją inteligencję i twoje wyczucie. Jesteś leniwy jak jebany jebaka kocur i masz niuch na śmietanę i skąd nadlatuje mokra ścierka. Zrób temu gostkowi loda, niech wyjedzie zaspokojony po uszy, a nie pożałujesz. I pewnie cała nasza ojczyzna. I – uniósł palec – przypomnij sobie, ile razy słyszałeś z moich ust to słowo!

– Lód?

– Ojczyzna, kurwa twoja mać. Wypieprzaj, błażnie. Wal do Empiku na Marszałkowskiej i kup dwa egzemplarze najnowszej powieści... tego, no, Numero Uno w Polsce.

– Sapkowskiego?

– Nie, tego na de... – Cmoknął ze złością. – Poszukaj na liście topów. Żegnam ciepło.



My, chłopaki z ABWery nie zadajemy pytań, których zadawać nie wolno. Wyszedłem z gabinetu Tupolewa, pomaszerowałem do zbrojowni, gdzie grzecznie zdałem broń, służbowego colta, pobrałem z kadr wypiskę urlopową i wyjechałem swoim trzyletnim seatem toledo z parkingu na ulicę. Szlaban, jak zwykle – dla zmyłki – otwarty, w budce senny dziadek z agencji ochrony. Któryś ze staruchów przyniósł kiedyś stare dzieło z Redfordem w roli głównej, opowieść o tym, jak ktoś rozpierdala w drobny mak głęboko utajnioną komórkę wywiadu, a cudem ocalony agent zaczyna walczyć o życie i wyjaśnienie sprawy. Tam była „zwyczajna kamienica” w szeregowej zabudowie, w naszym przypadku jest zestaw dwóch willi, z łącznikiem na poziomie pierwszego piętra. Obrzydliwe to aż strach, ale zamaskowane dobrze. Willa Kondora...

Włączyłem się do spokojnego o tej porze ruchu i pojechałem do centrum. W Empiku aż kipiało, na dole dominowały młode kwoczki, z wypiekami na twarzy polewające się perfumami z testerów, gotowe chyba nawet na szybki numerek za butelkę jakiejś wody Lapapindi; poziom intelektualny klientów rósł jednak wraz z wchodzeniem po schodach: przez półgłówków od komiksów i paraepileptyków od gier komputerowych, aż do młodych wykształciuchów – prasa, prasa, prasa i książki. Cztery, kurwa, żywioły.

Nawet nie próbowałem nikogo wyczaić. Kilkaset osób w różnym wieku, większość zajęta wertowaniem książek, nikt na nikogo nie patrzy, to jak mam wyniuchać, który to jest ów sekretny mój nowy dowódca? Rzuciłem okiem na top 20. „Niegrzeszna dziewczynka”. Coś dla pedofilów czy pedosadomaso? Ładne słowo „pedosadomaso”. Brzmi, jakby ktoś po hiszpańsku pytał: „Pedo, sa doma só?” – czyli:

„Piter, masz coś na ząb?”.

Dobra, hiszpańskiego nie znam. Wracamy do pracy. Patrzą na okładkę, w dupę i nożem!

Ja mam wziąć dwie takie? Jak ktoś zobaczy, to jestem ugotowany! A! Ale jak nikt nie zobaczy, to nie poznam nowego przełożonego. Jassna mać!

Młodzianek z kolekcją oporników w uchu szybko odłożył pite, którą usiłował wpakować w organizm. Położyłem bez słowa dwie „Niegrzeszne dziewczynki” na ladzie, dołożyłem kartę. Uśmiechnął się, skasował.

– Pięćdziesiąt osiem – powiedział. – Czy ma pan kartę „Premium Club”? Upoważnia...

– Nie mam – przerwałem.

– W takim razie już panu ją proponuję. – Wyszarpnął z kolumny kartę z jakimś radosnym fotem, zaktywował ją migiem i dołożył do reklamówki.

W dupie tam twoją kartę. Będę sobie wypychał portfel różnymi gównami, na gaz, na gazety, na tramwaj, na kaszanke, na kosmetyki?!

Uśmiechnąłem się promiennie, odebrałem swoją kartę, chwyciłem reklamówkę i skierowałem się do wyjścia.

Nie miałem tu już nic do roboty. Nic się nie działo. Pokonałem schody slalomem między szpanującymi na czytelników gołodupcami i wyszedłem na Marszałkowską, oświetloną jasnym słońcem, ale wystarczy, że zbliży się kilka francowatych cumulusów i skończy się ciepłko. Co tu jeszcze robić? Rozejrzałem się, zerknąłem na zegarek i skończył mi się zasób rytualnych gestów. Sięgnąłem do torby. Oż! Dupa jasna! Pewnie, że tu. Między książkami tkwił kartonik, oderwany chamsko z narożnika jakiegoś opakowania: „Ja, Markiz”.

Tiaa...

W połowie Ludnej dwupoziomowy lokal – znany, ceniony, drogi.



Ciekawe kto i dlaczego wybrał akurat to miejsce? Tupolew? Nikt inny. Przecież ten nieznajomy dowódca chyba jeszcze nie wie, z kim będzie pracował. A może tak? Może wszystko już się szydełkuje od roku, a tylko ja, biedna pętelka brzegowa nic nie wiem? Poszedłem na parking, odpaliłem toledo i pojechałem na Ludną, niemal godzina jazdy, żeby to Roch wydupił, czy też duch wyrobił!

Dobra. Jest południe, kilka minut po dwunastej. Z głośników już na szczęście przestał się łać ten cholerny upierdliwy hejnał z intelektualnej stolicy Galicyi, podjechałem pod „Ja, Markiz...”, zaparkowałem prawie bez łamania przepisów. Przemierzyłem czterdzieści metrów ulicą, na której niemal nigdy nie uświadczysz kobiety, i wszedłem do lokalu.



## ROZDZIAŁ 2

Czterdzieści minut później nic się nie działo. Byłem już w trakcie jedzenia zupy, bo po dwudziestu minutach czekania uznałem, że można przecież czekać na kontakt i jednocześnie wykonywać inne racjonalne czynności. Zrazy z kaszą mazurską dostałem dokładnie minutę po zjedzeniu kremu z borowików. Jedno i drugie co najmniej dobre. Nie tak jak w czasach, gdy kuchnią rządził mistrz Ryszard, ale dobre. Kelner Leon, z cyrkowo wykonaną „brodą” szerokości jednego włosa, bez specjalnej krzątaniny, ale szybko i sprawnie mnie obsłużył.

Sączyłem gazowaną mineralną, gdy z prawej padł na mój stolik cień. Zamierzałem udawać, że nic nie widzę, ale gość nie dał mi okazji do zabawy.

– Pan Kamil Stochard?

– A kto pyta? – rzuciłem niczym Linda w przestrzeń przed sobą.

Podniosłem wzrok.

Kasztanoworudy wariant Rocka Hudsona. Nie, nie Rocka Hudsona, lecz raczej Toma Selecka, Hudson nie nosił wąsów. Spojrzenie ciemnobrązowych oczu pod ładnie wykreślonymi gęstymi brwiami. Z dołu, z pozycji siedzącej, wyglądał na wyższego ode mnie, czyli od stu osiemdziesięciu trzech centymetrów, obrączka na serdecznym palcu lewej dłoni, czyli – nic nieznacząca, bo część ludzi tak nosi oznakę wdowieństwa, a część, po amerykańsku, małżeństwa. On pewnie oznakował się na okoliczność małżeństwa, wszak to Amerykanin. Ale mówi po polsku dobrze, oceniłem, choć wypowiedział dopiero trzy słowa.

Wstałem.

– Kamil Stochard – powiedziałem i wyciągnąłem dłoń.

– Jerry Wilmowsky.

Wymieniliśmy mocne, energiczne uściski. Wskazałem mu krzesło naprzeciwko siebie, zerknąłem na Leona, ruszył w naszą stronę. Sprzątnął naczynia i przyjął kolejne zamówienie: dwa kieliszki wina. Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę, ja otwarcie, on, widząc moją metodę, chętnie do niej dołączył. Zlustrowany odchylił się na krześle.

– Widzę, że obaj palimy się do roboty i nie mamy ochoty na bicie piany. No to ruszamy.

Przyjechałem tu, ponieważ prowadzą do was bardzo wyraźne i nader podejrzone tropy.

Powiedziałbym kilka lat temu „sekta”, ale to nie jest sekta, i to już wiemy. To coś innego, gorszego, groźniejszego, trudniejszego do wykorzenia. W każdym razie jest coś takiego, grupy bardzo niebezpiecznych ludzi, i tropy kilku z nich, bardzo wysoko stojących w hierarchii... – zaciął się na ułamek sekundy w poszukiwaniu słowa. I znalazł! – ...prominentnych, używając współczesnej polszczyzny, przywódców, prowadzą do Polski.

– Potomek w którym pokoleniu? – rzuciłem. Znowu ułamek sekundy opóźnienia; wspaniale znał polski, ale jednak nie tak, jak Polak tu mieszkający.

– Nieee, no ja wyjechałem, mając jedenaście lat. Nie należę do starej Polonii. – Uśmiechnął się.

– Co do języka, to niemal... idealnie – pochwaliłem go.

– Wiem – przyznał skromnie. – Niemal. Po wyjeździe stąd usiłowałem zapomnieć polski, w każdym razie nie używałem go prawie wcale. Ale gdy postanowiłem zostać zawodowym wojskowym, kiedy uświadomiłem sobie, że znajomość egzotycznego języka będzie bardzo mocnym punktem dodatnim, natychmiast przypomniałem sobie, gdzie mieszkają dziadkowie, przenieśliem się na Greenpoint, powiedziałbym, że wyemigrowałem z USA na... – uniósł wzrok i policzył w myślach – ...prawie pół roku. Łyknałem trochę

ukraińskiego i rosyjskiego, ale te dwa mi się mylą, tyle że nie wpadam w panikę na widok cyrylicy.

– Nazywamy ją tu pismem krzesetkowym – powiedziałem.

– O? – zdziwił się.

To by go zdradziło, gdybym już nie wiedział, że nie Polak.

Tak nikt się u nas nie dziwi, co najwyżej w filmach. Albo w szalenie efemerycznych salonach. A my siedzieliśmy nie w salonie, tylko w knajpie dla gejów. Uniosłem kieliszek, posmakowałem. Nie rozpoznałem. Nie znam się na winach. Pewnie nie odróżniłbym jakiegoś szatolafita od sofii, no i już, oczywiście, nie pamiętałem, co zamówiłem. Bo z palca.

– Nas... e... nasze kierownictwo bardzo niepokoi nasilenie się działania owej... mówmy na razie: sekty – poinformował Jerry. – Prosta służbowa zależność powoduje, że ich niepokój przenosi się na nas. Ja też, prywatnie, się niepokoję. Tu – rozejrzał się dokoła – nie będziemy wchodzić w szczegóły, ale powiem ci, że większość ludzi, po raz pierwszy stykająca się z zagadnieniem, kręci z niedowierzaniem głową. Mam nadzieję, że należysz do tej części ludzkości, która po chwili kręcenia podejdziesz do sprawy racjonalnie i z zapalem. Dobry katolik powinien – zakończył niespodziewanie.

Nie jestem dobrym katolikiem. Ale nie powiedziałem mu tego. Nie jestem w ogóle katolikiem. Jestem gejem, ale tego mu też nie powiedziałem. Zresztą – ktoś go już uprzedził, skoro umówił nas tu, skoro dał znak: „Wiem o tobie tyle i tyle, bądź tego świadom”. Jestem.

– Mów, mów – zachęciłem. – Słucham. Milczał, więc dodałem: – W tej chwili nie wiem, jakiej pomocy potrzebujesz. Co chcesz zrobić. Dokąd się udać. Jakie osiągnąć wyniki.

Ktoś musi pierwszy odsłonić swój biały miękki brzusek.

– Cel mojej misji jest taki: sprawdzić tropy wiodące do Polski. Jeśli

nie są mylne, odnaleźć możliwie dużą liczbę wyznawców kultu.

– I?

– Na razie tyle.

Oj, niedobrze. W ogóle niedobrze.

– Dobra, do czego i kiedy się zabieramy? Gdzie możemy porozmawiać o tym spokojnie?

– zapytałem. – Czy mam zabezpieczyć lokal...

– Aktualnie potrzebuję... – Pochylił się ku mnie i wystawił kciuk: – Lokal. Tak.

Mieszkanie dla siebie. Całkowicie niezależne, na obrzeżach centrum, tak, żeby można było niezależnie od korków ruszyć się z miejsca. Dwa, ja mam broń, co z tobą?

Wzruszyłem ramionami.

– Dobrze. Masz może jakieś znajomości w kręgach kościelnych?

Pokręciłem głową.

– Żadnego ulubionego proboszcza? Ktoś cię przecież prowadził do komunii. – Zmarszczył brwi.

– Nie pamiętam. Oderwałem się od łona. – Czekał wyraźnie na więcej, więc dodałem: – Znałem jednego, niezwykle zacnego księdza, który na pytanie, co znaczy matka boska na ołtarzu podczas niedzielnej mszy, odpowiadał, że należało w sobotę zakąsać obficie. Ale, niestety, on nie żyje.

– Aha. No nic, zostawmy to na potem. Kiedy znajdziesz mieszkanie?

– Już mam – powiedziałem. – Możemy tam jechać zaraz. Razem, oddzielnie, jak chcesz.

Rozejrzał się po lokalu, tym razem inaczej. Czujnie. Uważnie.

– Czy może nas ktoś obserwować?

– Głowy nie dam, ale wątpię.

– Na wszelki wypadek rozdzielmy się. Ja wyjdę tyłem, wiem jak.

Fajny gość, ja tu chodzę od roku i nie wiem jak, a ten przyleciał z...

Właśnie, skąd? I już wie?

– Wskoczę sobie na rogu Orłowicza.

Wstał, podniosłem się i ja, wymieniliśmy uśmiechy i uściski dłoni. Poszedł sobie, a ja spokojnie dopiłem wino, przepłukałem usta wodą mineralną i przechwyciłem wzrok Leona, zapłaciłem. Chwilę potem byłem na ulicy. Posłałem obojętne i syte spojrzenia w prawo i w lewo, po czym wsiałem do wozu i ruszyłem. Nie przyglądałem się zbyt ułicy, ale Jerry udanie się ukrył. Odkryłem jego obecność dopiero, gdy na skrzyżowaniu szczęknęła klamka, samochód bujnął się na amortyzatorach, a w lusterku wstecznym mignęła jego twarz. Pojawiła się dopiero po czterech przecznicach, kiedy przemknąłem na czerwonym. Żeby upewnić się, że nikt za nami nie jedzie.

– Fajnie! – rzucił z tyłu mój pasażer.

– Fajnie co?

– Na czerwonym. U nas już prawie wszędzie działa system ostrzegający kierowcę z GPS-em o cyklu świateł. Już się nie da powiedzieć, że światła cię zaskoczyły, bo każdy wie, ile ma czasu, zbliżając się do skrzyżowania z sygnalizacją.

– To do dupy – skwitowałem.

– No! Nie tylko przemknięcie „pod czerwonymi” upewniło mnie, że nikt za nami nie jedzie. Mogłem być tego pewien, ponieważ – o dziwo! – w ogóle nikt za nami nie jechał.

No i dobrze, dość szybko udało mi się przez Ujazdowskie i Koszykową wymknąć z pierścienia korków, czterdzieści minut później zameldowaliśmy się na Krochmalnej, trzecie piętro. W środku pokręciłem palcem nad głową, proponując Jerry’emu zapoznanie się z lokalem, sam poszedłem do kuchni i chwilę potem, nie pytając o gusta, zalałem oczekany wrzątkiem dwa kubki rozpuszczalnej kawy. Nic więcej w tym domu nie było. Wniosłem do pokoju kubki i postawiłem na stoliku, między dwoma fotelami.

– Niestety, nie spodziewałem się gości i niczego innego nie ma, nawet śmietanki i cukru.

Uniósł brew.

– To mieszkanie siostry. Wykupiła u developera, ale nawet się tu nie wprowadziła, mieszkanie na nazwisko po mężu, eksmężu.

– A siostra?

– Pojechała do Edynburgu i maluje na Royal Mile portretowe karykatury, a może karykaturalne portrety. Przyznaje, że maluje słabo, ale turystom z Japonii wydaje się, że to przykład miejscowej sztuki ludowej, i jak widzą dynię z dwiema skośnymi kreskami niezawodnie rozpoznają w tym siebie. Gówniara zarabia cztery razy...

– Po co ja to mówię? – zastanowiłem się, ale już nie było co się tajniaczyć. – Lepiej niż średni rodzimy lekarz z przeciętnym stażem. Takie czasy i okoliczności – zakończyłem topornie.



Pokiwał głową. Potem wstał i poszedł do kąta, gdzie stała ogromna i piękna, półtorametrowa i lampowa wieża Sony. Bez wahania w dziesiątkach sensorów i przycisków wypatrył odpowiednie i po chwili cisza w mieszkaniu została wyparta przez miękki soczysty basowy dźwięk. Nawet udało mu się nie wypuścić dżinu w postaci jakiejś britnejówy. Nie, aksamitny smooth miękko otulił nas dynamizującą energetyzującą poduszką.

Przechodziliśmy do sprawy.

– Co wiesz o zadaniu? – zapytał, usiadłszy z powrotem w fotelu.

– Nic. Tyle, co od ciebie. Jesteś moim przełożonym, a ja formalnie jestem na urlopie. Co do możliwości operacyjnych, to zachowałem sobie pewne wsparcie, tak robimy w tego typu sprawach. Broń

służbową zdałem. – Skrzywiłem się, dając do zrozumienia, że to nie jest problemem.

– Mówi ci coś nazwisko Lovecraft? – Chyba usiłował mnie zaskoczyć pytaniem kompletnie z innej beczki.

– Ten tak zwany Samotnik z... – Nazwa miasta uleciała mi z pamięci.

– Z Providence.

– A tak, dziękuję. Autor mitologii Cthulhu? Czytałem ze dwa zbiory opowiadań.

– Znakomicie, to nam zaoszczędzi czasu. Drugie pytanie...

– Jerry, a może na zmianę? Jedno ty, jedno ja? – przerwałem dość niegrzecznie swojemu szefowi.

– Okej. Tylko od razu ustalmy, że nie afiszuję się swoim obywatelstwem. Mów mi Jerzy.

I pytaj.

– Może coś o robocie?

Wysunął zuchwę, błędnie nazywaną szczęką, i rozważał moją propozycję z miną Marlona Brando jako ojca chrzestnego.

– Ślady, jak mówiłem, prowadzą do Polski z kilku krajów, a są to kraje szczególne: Iran, Irak, Czeczenia, Afganistan, Liban, Syria... – Zawiesił głos.

– Terroryci wszystkich krajów łączcie się – rzuciłem.

– Dokładnie. Do tego z USA i Wysp Brytyjskich. A wszystko to prowadzi do Polski.

– I do takiej poważnej roboty oddelegowano aż dwóch ludzi? – zapytałem, nie kryjąc powątpiewania. – Wiem, że wyjątkowych, ale...

– Nie, to znaczy, tak. Inaczej, nie tropimy terrorystów, tych tu chyba nie ma, ale ludzi, którzy w kociołku wrzącym na ogniu fundamentalizmu, fanatyzmu i kilku innych „yzmów”, warzą swoją warzę.



– Ładnie powiedziane – pochwaliłem Jerzego. – Nie każdy Polak by tak potrafił.

– Dziękuję. W specyficznych, nasyconych emocjami zbiorowiskach ludzi, ci... ci, co ich szukamy, rozgrywają swoje interesy. I prawie na pewno niektórzy pojawili się w Polsce. Albo coś tu knują-montują, albo wyczekują na dogodny moment, żeby skoczyć gdzie indziej. W każdym razie są tutaj. Ich szukamy, znaczy – będziemy szukać.

Freudowskie przejęzyczenie? Czyli już szukają? Ilu? Kto? Z jakiej firmy? Cebesiki?

– A jak znajdziemy? – zapytałem, starannie ukrywając pracę mózgu.

– Będziemy się martwić, jak znajdziemy. – Sięgnął po swój kubek i siorbnął.

Czyli mokra robota, uznałem.

– Teraz moja kolej tak? – zapytał. Skinąłem głową. – Masz znajomości i w innych agendach rządowych, a przede wszystkim w zwyczajnej policji?

– Wątle. A przede wszystkim nienadające się do korzystania w krytej sprawie. Widzisz, mamy tu, w kraju, dość silne uzależnienie organów ścigania od opcji politycznych, aktualnie rządzących. Co większe skurwysyny na dworze tylko do tego wykorzystują służby, by mieć w przyszłości, gdy to się okaże potrzebne, knuta albo haka na kogo się da. Czyli ja się zgłaszam do kolegi komendanta po pomoc, on to zapamiętuje i, kiedy trzeba, wpierdala kołek w zadek mojemu przełożonemu, za to że nie dopilnował podwładnego. Rozumiesz?

– Oczywiście. Nic nowego. – Chyba się trochę zasmucił. To dobrze. Niech mu się nie wydaje, że cała Polska stoi do niego otworem, jak mawiała „młoda lekarka” w radio. – Hm...

– A co ma wspólnego Cthulhu z terrorystami czy ich ideologami albo trenerami?

– Ma. Na razie tyle. A Rosja?

– Co Rosja? – Roześmiałem się. – To nie jest moje pytanie! To precyzowanie twojego.

– Czy Rosja ma tu coś do dyktowania? W Polsce? Coś przegapiłem podczas przygotowań?

– Nieee, raczej nie. Jesteśmy w fazie wychłodzenia stosunków. A właśnie, Czeczenia. Ten temat, ci prominenci z Czeczni. – Uniosłem palec.

– Teraz tak się modnie to nazywa: Czecznia. No więc, Rosji nie rusza, że stamtąd coś przecieka?

– A przecieka? – Prychnąłem.

– Miesiąc temu jakaś Czeczenka z czwórką dzieci pieszo przekroczyła granicę ukraińsko-polską. Troje dzieci zmarło w drodze w lesie, czwarte się uratowało. Co tu gadać o przeciekach, skoro amatorka z bosymi dziećmi może się do nas przesaczyć? Tylko pytam: czy Rosjanie to akceptują?

– Rusza ich, ale chyba jeszcze nie wiedzą, jak ich to rusza i jak to ugryźć. – Zastanawiał się przez chwilę.

– No dobra. Ja się zabieram do przenoszenia tu swoich maneli. – Ładnie poderwał rękę i zerknął na fajnego timeksa. Mam fajniejszego.

– Jest piąta. Ty masz na dziś urlop. Poczytaj sobie opowiadania o Cthulhu. – Chyba nie zauważył sprzeczności w dwóch kolejnych zdaniach. – Spotkamy się jutro o dziewiątej. Tutaj. Nie przyprowadź za sobą ogona.

– Zrobić ci zakupy? Coś do jedzenia, picia? – Wstałem.

– Nie. Dziękuję. Dam sobie radę. Ćwiczę wchodzenie w skórę Polaka. – Uśmiechnął się.

Też umiem być miły.

– Już w niej dobrze tkwisz, a jak się przyłożysz, będziesz bardziej polski niżli ja.

Niech nie myśli, że tylko on włada wykwintną polszczyzną.

Wyszedłem.

Na schodach pomyślałem, że musi mieć tu jeszcze kilku ludzi, albo i więcej. Po pierwsze, nie za bardzo boi się ogonów, więc ktoś go ubezpiecza. Po drugie, jak na razie wszelka moja pomoc była odrzucana. Nie, wziął mieszkanie. Po trzecie...

Och, nieważne.

Znalazłem się na podwórku, minąłem dwie klatki schodowe obsadzone szpalerami chudych bzów i korzystając z uniwersalnego klucza, wyskoczyłem na krzyżującą się z Krochmalną Żelazną. Z miną kogoś, kto czeka na taryfę, przespacerowałem się przed wejściem, zerkając raz i drugi na zegarek. Potem wyszedłem na róg i rozejrzałem się ponownie. Jak dla mnie nie działało się nic niepokojącego. Po kilku sekundach zmienił się tyle, że z bramy wyszedł Jerzy i spokojnie pomaszerował w przeciwną do mnie stronę.

Rozwazałem opcję podczepienia się do niego, ale – w końcu – jest, chyba. coś takiego, jak etyka zawodowa!

Poza tym mógł mieć kontrogon i bym wtopił.

Wróciłem do domu i zacząłem szukać po półkach Lovecrafta. Trochę trwało, zanim odnalazłem podkurzony tomik, musiał od dawna stać nieruszany. Na pewno, przy tej podaży nowej literatury skończyło się czytanie tego samego Chandlera w kółko Macieju. Poczytałem, z mieszanymi uczuciami. Kurde, nikt już tak nie pisze.

Czy to dobrze, czy źle?



## ROZDZIAŁ 3

O ile dobrze pamiętam – a wiem, że tak – nie dawałem Jerry’emu swojej komórki, tej swojej komórki, a miał ją. Choć zadzwonił o dziewiątej rano, nie obudził mnie, dawno już byłem po karmieniu Pixela, po prysznicu i pierwszych dwóch kawach. Gdy usłyszałem w słuchawce „Tu Jerzy, możemy porozmawiać?”, odruchowo skrzywiłem się, przyłapany na niesubordynacji: nie przebrnąłem wczoraj do końca nawet jednego opowiadania. Stanowczo moc literacka i wizja Lovecrafta mnie nie przyszpiliły. Wolę coś jak *The Blair Witch Project*, jedynekę, ma się rozumieć. Kiedy sobie przypomnę kilka bezksiężycowych nocy w namiocie w lesie... O, to działa. A takie tam memłanie: moc, nieznany, niewiadomy, niewidzialny, ale bestia... Nie siecze mnie.

Nieważne. Dzwonił mój szef.

– Tak. Ogólnie tak – odparłem.

– W takim razie mam dla ciebie zadanie, dość pilne i... Zawahał się. Może nie chciał powiedzieć „dość ważne”.’ No, nic. Pilne.

– Gdzie chcesz się spotkać?

– W „Alicji w krainie czarów” – powiedział i się rozłączył.

Skoro tak postąpił, był pewien, że znam ten lokal. Ale nie znałem! Kurde, wertowałem pamięć, aż się zakreśliła jak słoje po marmicie, nie było w niej jednak informacji o takim miejscu. Rzuciłem się do palmtopa, lecz przystanąłem wpół kroku. Złe myślenie, stop, nie tak – był pewien, że zrozumie to, czego nie rozumieją szybko inni. I nie miał na myśli konkretnego lokalu, bo... A! „Uśmiech z Cheshire”, inna knajpa dla gejów, na placu Walecznych. Jasne, że tak. Okej. Jedziemy.

O tej porze do Wierzbowej można było myknąć w dwadzieścia

minut. Mnie zajęło to dwadzieścia dwie, ale gdy szedłem do lokalu gęstym szpalerem krzewów bez nazwy, bryknął mi wibrator, a SMS powiadomił: „Skacz w krzaki i wsiadaj do clio”. Zatrzymałem się i przykucnąwszy, przewiązałem sznurówki. W polu widzenia nikogo, mogłem skoczyć tylko w lewo, bo z prawej miałem już mur budynku, skoczyłem więc. Po paru krokach wyszedłem na alejkę, na końcu której stało czarne clio trójka.

Jerr... Jerzy wyglądał na wypoczętego i zrelaksowanego, ruszył od razu, bez pisku opon i wyrzucanego spod kół żwiru. Milczałem, milczał przełożony. Tak sobie głośno pomilczeliśmy dobre kilka minut.

– Nienawidzę ich – powiedział cicho, ale wyraźnie.

– Czy to nie jest pierwszy i jedyny powód, by odsunąć cię od tej sprawy? – zapytałem.

– To nie jest sprawa kryminalna. – Rzucił mi rozbawione spojrzenie.

– Moje zaangażowanie bardzo się podoba szefom. Zresztą, tu nie można być posądzonym o stronnictwo czy nadgorliwość. Wręcz, powiedziałbym, naprzeciwno.

– Przeciwnie – poprawiłem odruchowo i syknąłem w duchu.

– Wiem, mówię tak, jak się tu mówi w pewnych kręgach, umyślnie nie po polsku: „poszłem”, „laptok”, „wyłanczam”... – Skręcił w Wybrzeże Gdańskie i pomknął w stronę Cytadeli. – Jestem zaangażowany ideologicznie, że tak powiem.

– Jak czekista w tępienie białej gwardii?

– Dokładnie. – Użył angielskiej kalki „dokładnie”, jak robią to miliony Polaków. – Jesteś niewierzący, bo racjonalista? – spytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Jestem niewierzący, bo nie jestem wierzący. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

Obowiązujące rytuały mnie... Śmieszą? Bo co? Wszechpotężna

istota siedzi gdzieś i czuje się połączona procesją z sypaniem kwiatków? No, nieważne. Może nie dorosłem, może jestem za głupi. Może jestem zbyt wielkim egocentrykiem, bo wierzyć znaczy w pewnym stopniu nie myśleć. Nie myśleć: wierzyć. A ja nie umiem.

– Dobra, to twoja sprawa. Chodzi o to, że w naszej sprawie będą się przewijać wąteczki i wątki takie właśnie, nie empiryczne, nieweryfikowalne, nienamacalne. Ale kurewsko ważne.

– Rozumiem.

– Ni chuja nie rozumiesz! – prychnął. – Ale nie winię cię. Tak naprawdę to nikt wszystkiego do końca nie rozumie.

– A ty?

– Ja niemal rozumiem. Ale ja jestem... Inny.

– *Alien* – pozwoliłem sobie na lekką kpinkę. Choćby po to, by sprawdzić, czy mogę sobie na takową pozwolić.

– *Touche* – syknął.

Mogę. Rozluźniłem się, bo nie ma nic gorszego niż szef smutas.

Jerzy nagle przyspieszył, powstrzymałem się od oglądania, migiem byliśmy przy ogródkach działkowych. Jakaś starsza pani właśnie wyprowadzała swoją ciemnozieloną micrę, widząc nas uśmiechnęła się szeroko i – biorąc najwidoczniej za swoich – zaprosiła do środka. Jerzy, nie wiem czemu, skorzystał. Najpierw pomyślałem, że będziemy musieli przy wyjeździe ukręcać kłódkę. Potem pomyślałem inaczej, że na pewno ktoś będzie tu wjeżdżał, gdy my zechcemy opuścić kompleks. Parking był ładnie zakomponowany, za grubą i wysoką ścianą zieleni. Żeby nas wytropić, potrzebny byłby śmigłowiec.

Wysiedliśmy. Jerzy ruszył do świetlicy, czy jak się tam nazywa taki, kurde, bungalow działkowy.

– Będziemy płacić wpisowe? – zapytałem.

– Proszę! – jęknął.

– Dziękuję, już rozumiem. – Zamknąłem się. Drzwi były otwarte. W środku, mimo że to budynek zarządu czegoś, co się kojarzy ze świeżym powietrzem, zdrowiem, witaminą, w dupę i nożem, śmierdziało starymi papierami, mokrym tapczanem i lekko pluskwami. Albo świeżą kolendra. Nigdy nie mogłem zapamiętać, co ma smak czego: kolendra pluskiew czy pluskwa kolendry.

Jerzy nie zamykał drzwi, usiadł na tapicerowanej konstrukcji z rurek naprzeciwko wejścia. Dla mnie został wydarty z jakiegoś kina w rodzaju „Polonii” albo „Bałtyku” szereg siedzisk ze sklejki.

– Coś ci mówi nazwa Drzwi do Białego Brzasku? – przystąpił do rzeczy.

Zaiste, wielkiś ty, Internecie! A Google, Altavista i Yandex są twoimi tu prorokami!

– Odprysk sekty Moon? Albo, raczej, jej inna nazwa. Kościół Zjednoczenia. – Mam dobrą pamięć, gładko recytowałem przyswojone kiedyś dane. – Używa prawie stu nazw na całym świecie. U nas został zarejestrowany jako Ruch pod wezwaniem Ducha Świętego do Zjednoczenia Chrześcijaństwa Światowego. Ja – wzruszyłem ramionami – już za samą taką nazwę zakazałbym działalności, ale widać tylko ja tak myślę. Mają swoje centra w Głanowie i Izabelinie.

– I malutki ośrodek w Warszawie – wpadł mi w słowo Jerzy. – Tego jeszcze nie ma w sieci, ale w realu jest. Około setki moonies... – Zawiesił głos.

Przeczekalem go.

– I to trzeba spenetrować – zakończył.

– Nie przejdzie. – Pokręciłem głową. – Oni tak nie działają, chyba nie da się podejść pod bramę w pokutnym worku i powiedzieć, że się chce być jednym z nich. Jeśli dobrze pamiętam... – Ach, co za urocze kłamstewko, przecież nie mogłem zapomnieć! – ...to najpierw zapraszają na jakieś kursy, na przykład, japońskiego, potem

wycieczkę do Niemiec, potem jest kilka dysput o światowej Marynidupie, potrzebie odnowy, zjednoczeniu i... Aha, zdaje się, że to Moon powiedział: „»Moscow« to prawie jak »must go«, czyli trzeba to miasto i to państwo zdobyć”, więc taki antyruski cel też bywa akcentowany.

– Okej. Zgadza się. Miałem na myśli penetrację brutalną: przez płot i niuchanie.

– Aha. – Zrobiłem minę „czemu nie, ale wątpię”. – Wiesz, to zamknięte środowisko, wszyscy się znają. Stroje, pozdrowienia, ścieżki...

– Wiem. Każdy obcy to wróg. Jassssne.

– Czyli zwiad bojem?

Zdziwił się, zaskoczyłem go, w końcu, językiem polskim. O ile to polski.

– Prowokacja? – rzucił niepewnie.

– Mniej więcej. Zaczepka. Umyślne drażnienie wroga, żeby się odstąpił.

– Dokładnie! – ucieszył się. – Ty drażnisz, ja obserwuję.

– Okej. To lubię.

Serio. Nic mnie bardziej nie podnieca, znaczy – prawie nic, jak szął w oku rywala, a ja sobie stoję obok i patrzę spoko na dygocące ręce.

– Jak stoisz z bronią?

Już o to pytał i już raz unikałem odpowiedzi, ale widać był to ważny temat, skoro wracał jak komuniści do władzy.

– Glock. Osiemnaście ce. Nic szczególnego – oświadczyłem skromnie.

– Lubisz dużo w magazynku?

– Tak, zawsze mam cztery przy sobie. Śniło mi się kiedyś, że zabrakło mi jednej kulki...

– A co byś powiedział na desert eagle?



– *Vade, Satanas!* – warknąłem.

– To tylko piętnaście nabojów? – Drażnił się ze mną.

– Będziesz się dłużej droczył, to połowę wsadzę ci w kolano lewe!

Uśmiechnął się z lubością, jakbym mu obiecywał posadzić na to kolano dziewczuszkę z sutkami, którymi mogłaby zarysować świeżo położony tynk.

– Masz go. Nie dziś, ale już za momento. Kurde, ja to chyba jestem infantylny, cieszę się z tej spluwy jak dziecko! Spoko!

– A mamy jakiś plan? – zapytałem.

– Taki sobie. Za parkiem Morysin, ulica Miedza. Znasz?

– Mój GPS zna.



Dobra. Miedza, stare zabudowania po spółdzielni mleczarskiej. Betonowe ogrodzenie, ostatnio starannie naprawione i, jak sędzę, naszpikowane monitoringiem. Dwie bramy: główna i boczna. Obie nienachalnie, lecz silnie strzeżone. Żadnej broni, rzecz jasna, ale teren prywatny i tak dalej. W budynku administracyjnym mieszczą się kwatery, czyli koszary wroga. Władze skromnie zasiadły w dawnej tak zwanej służbówce, to znaczy willi dyrektora, którego powiew historii i zawał wyeliminowały z terenu, a rodzina miała za słabe motywy, by się tutaj utrzymać. Nieważne. W garażach stoi kilka wozów nic, spektakularnego, może nie pozyskali jeszcze wystarczających środków, może nie chcą się afiszować.

– Zadanie?

– Jak mówiłem: spróbować wejść na teren. Obserwować, czy zachowują się wrogo, czy nadzwyczaj wrogo; czy kryje się tam tylko coś, czy coś kurewsko ważnego.

– Jak mocno naciskać?

– Na maksa. Bez narażania życia. Nikt cię nie wspiera. Uważnie patrzył mi w oczy. A mnie to dynda i pofurkuje. Nie tacy już mnie świdrowali.

– Czy tam mogą być ci twoi prominentni promieniści?

– Nie mów tak o nich! – syknął. Po raz pierwszy usłyszałem emocje w jego głosie. Co takiego powiedziałem?

– Dobra, czy mogą tam być, czy tylko napieramy tam, żeby w innym miejscu trysnęła ropa?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Po chwili milczenia plasnąłem dłonią o kolano.

– Co tak będziemy siedzieli po próżnicy?!

– Co? – Wytrzeszczył na mnie gały.

– To ulubiony toast mojego taty – wyjaśniłem. – Znaczą: albo się napijmy, albo nalejmy.

Po raz drugi w ciągu minuty okazał emocje i roześmiał się serdecznie.

– Tego mi w Stanach brakuje, zresztą wszędzie mi tego brakuje. Tam ludzie tylko podnoszą szklaneczkę i w najlepszym razie rzucają: „zdrówko. A w Polsce... Wywrócił oczami.

– Co tam w Polsce! – Skrzywiłem się. – Byłem w Rosji, tam to dopiero jest sztuka.

Gosć z zapasem toastów jest pożądany bardziej od wódki.

– Będę musiał tam pojechać.

– Będę musiał czy... będę musiał? – Zaakcentowałem różnie oba zwroty.

Zrozumiał.

– Zależy trochę od tego, co tutaj nawyczyniamy.

– Jasne. Czyli spróbować zdobyć języka? Miałem nadzieję, że coś w końcu z siebie wydusi. Ale nie.

– Nie. Tylko próba wdarcia, nic mundurowego czy coś w tym stylu, raczej jako rodzic, dziennikarz, wyznawca innej religii. Jak wolisz. Tylko mocno naciskaj.

Taki ton pamiętałem dobrze z okresu szkolenia w Szczytnie: „Wykonać. O trudnościach nie meldować!”.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej coś. Rzucił mi. Sygnet, cholera, masywny jak mutra kolejowa. Na „pieczęci” jakieś subtelne ryty. Popatrzyłem na Jerzego.

– Od tej chwili nie zdejmuj go z palca dowolnej ręki, ale preferowana jest lewa. Potem coś jeszcze zrobimy.

Chciałem palnąć jakieś dowcipne zdanko, lecz nagle w jego oczach zobaczyłem jakiś błysk, który mnie powstrzymał. Nie potrafiłem sobie uświadomić, co to mogło być: ból, starość, troska, złość, rozpacz... W każdym razie nic wesołego. A na pogrzebach nawet ja nie robię sobie jaj.

Włożyłem sygnet na środkowy palec lewej dłoni. Trochę za luźny. Podniosłem się.

– To co, idziemy do roboty? Muszę jeszcze wydostać ze skrytki swojego glocka.

Myślałem, że powie: „Nie, do tej roboty nie będzie ci potrzebny” albo coś w stylu: „Tylko bez krwi!”. Ale nic takiego nie powiedział.

Wstał i bez słowa podążył za mną na zewnątrz. Milcząc jak dwaj trapiści, czy ci inni, co składają śluby milczenia, dotarliśmy do jego wozu. Ruszył w stronę bramy, dobrze trafiliśmy: akurat jakieś dwie panie wprowadzały na teren corsę. Co za fartowne zbiegi okoliczności!

Powiózł mnie pod most Poniatowskiego, zatrzymała nas kolumna suk, mikrobusów i armatek wodnych; policjanci, nasi bracia mniejsi, jechali na Stadion Dziesięciolecia rozpędzać największy bazar Europy, żeby rozpocząć na nim prace, zmierzające do powstania wspaniałego

stadionu na Euro 2012. Byłoby śmiechu warte, gdyby nie było warte kilkuset milionów w błoto!

Wysiadłem i pomaszerowałem za wolno sunącą przez most kolumną. W banku za mostem miałem skrytkę, a w niej gnata. Gdy udało nam się namierzyć, a potem nakryć Szykownego, przejęliśmy tak bogaty arsenał, że czterech z nas bez wysiłku zaspokoilo swoje skryte wymagania. Albowiem każdy może, dla służby albo przeciw niej, potrzebować kiedyś środków obrony. Nikt tego nie mówi głośno, ale przecież pokutują w firmie legendy: co jakiś czas zdarza się, że przełożony każe oddać broń do depozytu, a potem wydaje polecenie nie do wykonania bez onej. I wszyscy wiedzą, jak się taki dylemat załatwia. Mogłem i chciałem to zrobić, wyjąć glocka nie teraz, lecz dopiero tuż przed robotą, ale w tej chwili i po tak zakorkowanym moście nie przejechałby śledź, a chodniki kontrolowałem. Musiałem po prostu skorzystać z okazji.

W banku załatwiłem to szybko i sprawnie. Włożyłem broń do torby, zapiąłem ją na klamry, żadne tam rzepy, torbę przełożyłem przez ramię i dopiąłem karabinkiem do paska.

Ot, taka moja przesadna asekuracja. Do domu dotarłem taksówką. Przez godzinę bawiłem się czyszczeniem i smarowaniem glocka, jakbym się z nim żegnał. Potem nie wytrzymałem i poczytałem trochę o desert eagle. Pocięła mi ślinka.

Przyszło mi jednak do głowy, że na upiory, duchy i inne strzygi z elfami i wiedźminami najlepsze są, to każdy wie, laserowe tasery o wyglądzie rozbudowanej metkownicy z „Biedronki”.

Wrzuciłem sobie pół godziny na cyklometrze i dwadzieścia minut pod prysznicem. I godzinę drzemki. O szóstej byłem gotów.



## ROZDZIAŁ 4

Miedza jest ślepą odnogą Sytej, między Hektarową i Bruzdową. Chciałem objechać ten ogonek, ale się nie dało – Syta i Bruzdowa nie łączą się ze sobą. Trochę zły wycofałem się i pojechałem dalej Sytą, potem wróciłem. Na zmierzch nie było potrzeby czekać, i tak nie zamierzałem skakać przez płot. Obserwowałem obiekt i otoczenie, usiłując wypatrzyć sojuszników Jerzego, ale albo ich nie było, albo ukryli się za dobrze, jak na taką pobieżną lustrację. Mogli też – chłe, chłe – siedzieć w gondoli sterowca Goodyear, wiszącego nad Stegnami. Przerzuciłem kilka stron opowiadania o Cthulhu. Wczytałem się w opis samego bóstwa. Sam nie wiem po co, bo przecież nie jego mieliśmy szukać; zresztą, nawet w naszym popierdolonym kraju, w którym elity rządzące, niczym szamani w Bulgubu Domodo, modlą się o deszcz (a dostają suszę!), nawet tu nikt nie przeszedłby obojętnie obok niego.



*„...Figurka która zaczęła przechodzić z rąk do rąk dla dokładniejszych oględzin, miała około siedmiu a nawet ośmiu cali wysokości i została wykonana w sposób mistrzowski i wysoce artystyczny. Przedstawiała potwora o niewyraźnych antropoidalnych kształtach, głowie ośmiornicy i twarzy pełnej macek, tułowiu gąbczastym i pokrytym łuskami, ogromnych szponach na przednich i tylnych łapach i długich, wąskich skrzydłach z tyłu. Zdawała się zionąć przerażającą i jakąś nienaturalną złośliwością, była jakby trochę wypukła i korpulentna i osadzona na kwadratowym bloku albo postumencie pokrytym nieczytelnymi znakami. Końce skrzydeł*

*dotykały tylnego brzegu podstawy, podczas gdy długie, zakrzywione szpony skrzyżowanych i podkurczonych zadnich nóg obejmowały brzeg od przodu i sięgały jedną czwartą długości pod spód podstawy. Głowa wyrastająca jakby z nóg była pochylona do przodu, tak że koniuszki czułek na twarzy ocierały się o wielkie przednie szpony obejmujące podkurczone i uniesione kolana. Statuetka wyglądała jak żywa i tym bardziej budziła lęk, że jej pochodzenie było tak całkowicie nieznane. Nie ulegało wątpliwości, że jej wiek był nie ogarniany; nawet w najdrobniejszym szczególe nie wykazywała związku z żadnym rodzajem sztuki przynależnym do młodej cywilizacji – a właściwie do żadnej cywilizacji znanej na tym świecie...”.*<sup>[\*1]</sup>



Nie, no na pewno bym coś takiego zauważył, w markecie czy na przejściu dla pieszych, albo na placu zabaw dla dzieci. Chociaż tam czasem bywało różnie... Włożyłem pomiędzy strony źdźbło trawy, zerknąłem na zegarek. Czas. Wycofałem się do zbiegu Sytej i Jarej, zaparkowałem na poboczu.

Pod bramę posesji bez numeru, na logikę – dwójkę, dotarłem bez przygód. Kurde, jakie znowu przygody! Powierzchnie dwuskrzydłowej bramy z arkuszy ciężkiej, pewnie trzymilimetrowej blachy, jeżyły się nowiutkimi kolcami. Do tego łypały okiem kamery po obu stronach, na murowanych słupach – nie zakładała ich firma Dyskrecja, ale raczej jej konkurencja: Ostentacja. Mur jak w Fort Knox, cholera! Z cegieł, zaprawy i betonu, zużytego za komuny na ogrodzenia obiektów strategicznych, takich jak mleczarnie, chlewy, stolarnie i piekarnie można by wybudować mieszkania dla jednej czwartej Polaków. I komuna by nie upadła może? Chłe, chłe, jak mawiał

Andrzej Waligórski. I więcej niż trzy miliony mieszkań, proszę bardzo! Podszedłem, zastukałem w furtkę, otworzyło się okienko, na szczęście znacznie większe niż oko w celi.

– Dzień dobry. Mogę się widzieć z jakimś przełożonym? – powiedziałem bez powitalnego uśmiechu.

Dziewuszka miała długie proste ciemne włosy, niezbyt zdrową, ale i nie tragiczną cerę, regularne stosunki powinny przywrócić jej gładkość. Długie ciemne rzęsy klapnęły kilka razy, posłała mi niemal błagalne spojrzenie.

– Nie ma tu nikogo takiego, my...

Moja prawa ręka wystrzeliła jak kobra, chwyciłem dziewczuszkę za kark i przycisnąłem dość brutalnie do drzwi. Na szczęście dla siebie, i dla mnie też, była wiotka, ale wysoka, twarz niemal zmieściła się w okienku.

– Otwieraj kurwo, furtkę, bo ci nos wbiję między uszy! – warknąłem.

– Nie mogę... Auć!

– Auć to dopiero będzie, jak zostawisz zęby na tej krawędzi! Przycisnąłem jej usta do dolnego brzegu okienka.

– Nie sięgam... Niech pan przesta...

– Dawaj klucze! Poruszyła się, manipulowała rękami, w końcu coś zabręczało, przesunąłem nieco jej twarz, w luce pojawiła się dłoń z pękiem kluczy. Wyszarpnąłem je.

– Który to? I nie próbuj się wyrywać, chyba że ci nie zależy na skalpie!

– Ten długi żółty... Ojej!

Ojej! No nie mogę! Jeszcze powinna rzec coś w stylu: „Ach, mospanie!”. Skręciłem jej włosy w gruby pęk, trochę odsunąłem twarz, żeby przypadkiem, rzucając się, nie uderzyła o furtkę, włożyłem klucz do zamka i przekręciłem. Szczęknęło. Ktoś za bramą

coś krzyknął.

Pewnie, przecież nie po to są kamery, żeby nie działały. To nie państwowa telewizja.

Puściłem dziewczę, otworzyłem furtkę i przekroczyłem listwę nadproża. Pannica z miną męczennicy Heleny, czy kto tam cierpiał u Sienkiewicza, stała pod murem. Schowałem pęk kluczy do kieszeni i wskazałem kciukiem zabudowania. Nie zrozumiała.

– Zawołaj szefa, szefową, kogo tam wolisz. Ale już, kurwa twoja mać!

Skoczyła przed siebie jak dźgnięta w dupę sarna, może gazela; w szarym chałacie z granatowym kapturem i takimiż szerokimi mankietami, biegła, wymachując rękami. Och, te baby!

Podszedłem do stróżówki i popatrzyłem przez okienko. Stosik indoktrynujących materiałów po angielsku i po polsku, jakaś księga, gości czy jak? Archaiczny blef on ze spiralnym przewodem, dobrze, że nie z tarką. Nie rozpieszczają tu, na wejściu, akolitów.

Potem, zresztą, też nie. Moonies mają się cieszyć nową wiarą i nowymi partnerami, a ich kasę i wypracowane dochody Moon inwestuje w fabrykę M-16 czy innych kałachów. Oparłem się o półeczkę dla petentów. Ciekawe, czemu zawsze te blaty, nieważne z czego, z betonu, lastryko czy z drewna zrobione, umieszczano tak, że petent musiał kornie pochylać łeb przed strażnikiem z gębą wypchaną kawałem bułki z leberką? Żeby od wejścia każdy wiedział, kto tu jest kto? W mleczarni? Kurwa moja mać...

Z budynku administracji wypadło czterech młodych bojówkarzy, ci mieli wyłogi zielone.

Pewnie kaprale. W oknach pojawiło się kilka innych twarzy, nie widziałem wyłogów, obserwowałem raczej domek dowódczy, tam nic się nie poruszało. No jasne, przecież tam mieli podgląd z kamer. Rozejrzałem się. Pod ścianą stróżówki stały grabie. Ale jaja! Miałem



jeszcze czas, chwyciłem je i migiem załatwiłem jedną kamerę, kaprale ruszyli biegiem, załatwiłem drugą, oparłem się teatralnie o granie i czekałem. Dobiegli i... I nie bardzo wiedzieli, co dalej...

Czekałem. Jeden, blondynek z odstającymi szczeniacko uszami, wysunął się przed innych.

– Czego tu chcesz, bracie? – zaskrzeczał.

– Ja ci, kurwa, dam brata, piździelcu jeden! – syknąłem. – Pawian ci bratem, dupku. – Zaczepnąłem tchu.

– Gdzie jest Dorota?

– Doro... ta? – Grdyka skoczyła mu w górę i opadła. – Jaka?

– Gównno cię to obchodzi! Sprowadź tu wszystkie Doroty, a ja wybiorę tę właściwą.

– Nie ma tu żadnej Doroty. – Drugi, mały gnojek z bezczelnymi oczkami uciekiniera z policyjnej izby dziecka, nabrał odwagi i stanął obok uszastego. – Ziemskie imiona zostały za bramą...

– Za bramą, chujku jeden, zaraz zostaniesz ty! Za bramą, pod ziemią, w dupie! Wybieraj!

– Dźgnąłem w jego stronę grabiami, ale – ku mojemu zdziwieniu – nie odskoczył, tylko oczka mu zlodowaciały. Tak jest, mały dymnął z domu dziecka albo z wałbrzyskiej wielodzietnej rodziny obciążonej wszelkim polskim złem.

– Dawaj tu Doroty albo waszego szefa! No?!

Uszasty uznał, że dialog wspiał się na niedosiężne dla nich szczyty, cofnął się, odwrócił i mruknął coś do trzeciego, pyzatego. Ten cwałem ruszył do willi eksdyrektora. Splunąłem w bok i wbiłem bezczelne spojrzenie w małego złego. Odpowiedział mi strzyknięciem śliną w moim kierunku. Nie doleciała. Dobra, jeszcze nie czas na rozwiązania siłowe. Ponad jego głową zobaczyłem, że z willi, mimo że nie dotarł do niej pyzaty, wychodzi wysoki szczupły facet i godnie stąpa w moją stronę. Stąpa, nie idzie, jakżeby inaczej. Przecież jest namaszczony,

nadęty boską mocą, może raczej wydymany mocą oną? Operetkowy pasterz – pasma siwych włosów w długich ciemnych gęstych kudłach. Peruka? Sygnet z promienistym słońcem na lewej dłoni, wyłogi czerwone, łańcuch z medalionem na tym białym szlafroku.

Poczułem, że wzbiera we mnie złość. I to taka na serio.

– Pokój z to... – zaczął dziesięć kroków ode mnie.

– Nie pierdol, dobrze? – przerwałem mu. – Nie przychodzę tu po twoje jebane teksty dla gówniar i pryszczatych młodocianych koniobójców. Szukam Doroty, nie powiem ci, jakiej.

Po prostu niech tu przyjdą wszystkie Doroty, wybiorę właściwą, zabiorę i chuj wam w dupę aż po łopatki. Choć powinno się rozpierdolić całe to zasrane towarzyscho. Ale gównu mnie to... – Skrzywiłem się. Otworzył usta, ale uniosłem palec, a on sprytnie zmrużył oczy, jakby sobie pomyślał: Niech głupek gada. Może coś więcej zdradzi. – Zabieram Dorotę i wychodzę, a jak nie, to za kilka godzin będzie tu kilkunastu moich ziomów z Pragi, z ulicy Środkowej, mówi ci to coś, ciulu? I wtedy tak wpierdolimy tutejszej kadrze, że głowa mała, a całą resztę przegonimy na cztery wiatry. A jeśli myślisz, że gliny tu przyjadą cię bronić, to jesteś w ciężkim błędzie.

– Kim jesteś, bra... Kim pan jest? Nie ma tu żadnej Doroty... – powiedział, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. Ale już początek zdania, zejście z „brata” na „pana”, uprzytomniło mooniesom i jemu samemu, że pęka. – Nie pamiętam...

– To se, kurwa, przypomnij. A co do mnie, to możesz myśleć, że jestem pojebanym księdzem, albo dziennikarzem, albo policjantem w cywilu, któremu zapłacono za odnalezienie córki, albo że jestem, kurwa, Gorbaczowem. Chuj mnie to obchodzi. Ruszajcie się, bo nie mam całego dnia na pierdolenie się z wami!

Zrobiłem szybki krok do przodu i świsnąłem grabiami przed nosem uszastego. Kapitan stał za daleko. Wy wypierdalać! – Wskazałem

palcem młodych. Po Doroty, migiem. Ty zostajesz – zwróciłem się do szpakowatego.

Teraz dojrzałem, że to naprawdę kapitan: miał po cztery pasemka siwizny z każdej strony głowy. Roześmiałem się, szczerze. Taki tandetny teatr, a zawsze znajdzie się jakiś młody sfrustrowany biedak, który da się na to złapać. I nikt nie stoi takim cwany gnojom na przeszkodzie. Gdzie Kościół, co to, podobno, jest rozmiłowany w młodzieży? Gdzie ich rodzice? Przyjaciele?

Dwaj młodzi poruszyli się, ale widząc, że gnojek z bezczelnymi oczami stoi w miejscu, zatrzymali się.

– Nie przeciągaj – powiedziałem cicho do „kapitana”. – Tym razem trafiłeś na złego faceta, na złego wkurwionego faceta. Któremu bardzo zależy na wykonaniu zlecenia.

Wolno odwrócił się i skinął głową.

– Zawołajcie te siostry, które nosiły ziemskie imię Dorota. Niech wszystkie trzy zdecydują...

Co za skurwiel!

– Jeśli przyjdą tylko trzy – przerwałem mu – to zabiorę je wszystkie, a i tak przyjdziemy tu na rozpierduchę! – zagroziłem. – Ma przyść ich tyle, żeby była z nimi ta moja!

– Przyprowadźcie siostry... – zaczął.

– Migiem! – ryknąłem.

Trzej prysnęli jak zające. Bezczelny posłał mi obiecujące spojrzenie i nie było to teatralne obiecujące spojrzenie. Zostaliśmy sami z kapitanem.

– Myślę, że ma pan niewłaściwe pojęcie...

– Przestań pierdolić! – odezwałem się zmęczonym łonem. – Mam w dupie, co myślisz.

Mam w dupie, co robisz. Osobiście uważam, że za to, co robicie tym zakompleksionym dzieciakom, powinno się wam pourywać jaja na

żywca, ale dopóki mnie to nie dotyczy chuj z wami. – Uśmiechnąłem się. – A wiesz co? Rozpuszczę wici, że jestem profesjonalnym odzyskiwaczem straconych w waszej sekcie dzieci! Żaden Rutkowski jeszcze nikogo nie odzyskał. Bo on jednak jakoś tam trzyma się prawa. A ja będę inaczej, niczym mściciel z kurwa, Wołomina, kumasz? Zbiorę grupkę takich, co mogą pracować na nocną zmianę, i będziemy was ganiać. Wszędzie, w Głanowie, w Izabelinie, przeczochramy Kraków, spuścimy wpierdol kilku studentom, których wciągacie wolno do saka, wpadniemy kupką kiboli na jakieś dwa wasze wykłady... – Wyraźnie się rozkręcałem. – Kurwa, bracie, to jest to! Będziemy jak Chuck Norris, nie – Charles Bronson, który sam się rozprawia za swoje prywatne krzywdy. Będziemy biczem bożym! – Okręciłem się na pięcie z grabiami w ręku.

Widziałem, że mi wierzy. Ja też zaczynałem sobie wierzyć. To jest właśnie istota gry aktorskiej, kwintesencja teorii Stanisławskiego, ekstrakt teorii Grotowskiego... Mojej teorii teatru totalnego! Uwierzyć, że jesteś żyrafą, i wtedy wszyscy zaczną zadzierać głowy, patrząc ci w oczy!

– Myli się pan... Bardzo... Prowadzimy tylko warsztaty, mające na celu...

– Celu-srelu-przyjacielu! – Uniosłem grabie, a jemu, przestraszonemu, drgnęła przepona.

Cisnąłem grabie w krzaki. – Ty wiesz i ja wiem. Jestem katolikiem i głębokim wstrętem napawają mnie tacy jak wy. – Umyślnie od kurew przeszedłem do „napawania”. Niech się głowi, o co tu, kurwa, chodzi. – Chcecie się kisić w swoim zasranym towarzystwie, wasza brocha. Ale wykorzystywanie owieczek... – Pokręciłem głową.

Z budynku koszarowego wyszły trzy dziewczyny, potem dwaj młodzieńcy wyprowadzili jeszcze jedną. Ta nie miała ochoty na widzenie. Szybko uznałem, że tę właśnie zabiorę; przez moment

absurdalnie pragnąłem, by to była ta dziewczuszka z bramy, którą tak niecznie potraktowałem, ale to by było za bardzo hollywoodzkie: I ona się zakochuje, a ja ją odprowadzam do rodziców i odjeżdżam na białym koniu w dal. Dobra, w białym kabrio. Nie znałem żadnej z Dorot. Wyjąłem komórkę i nacisnąłem kilka klawiszy, pojawiło się zdjęcie Pixela 1 – zaciekawiona mordka, uszka postawione, różowy nosek... Zerknąłem na procesję i pokiwałem głową.

– Dobra. Zabieram swoją Dorocie i żegnam pana ozięble – rzuciłem.

Wskazałem palcem tę oporną i akolici podprowadzili ją bliżej. Wpatrywała się we mnie z przerażeniem, odwróciła głowę do kapitana, ale on uciekł spojrzeniem.

– Idziemy, dziewczyno – powiedziałem łagodnie. – Nikt i nic ci nie grozi.

Dziwnie pokręciła głową, przeszły mnie ciarki. Albo była upośledzona, albo naćpana.

Nabrałem ochoty na rzucenie jeszcze kilku obraźliwych słów, ale stając się opiekunem dziewczyny, sam sobie nałożyłem na ręce okowy.

W amerykańskim stylu wycelowałem w kapitana ze wskazującego palca i trzymając dziewczynę za prawy łokieć, skierowałem się do bramy. Nikt nas nie ścigał, nikt niczym nie rzucił, nawet przekleństwem. To wyostrzyło moją czujność.

Przypomniałem sobie, że druga brama wychodzi na Sytą, i jakbym wykrakał. Czekali tam na nas. Oczywiście bezczelny gnojek z kolesiem, z pałami. Przesunąłem Dorotę za siebie, przy okazji rzucając kontrolne spojrzenie na bramę. Była zamknięta, ale nad krawędzią furtki zobaczyłem kapitańską grzywę. Obiecałem sobie, że wrócę tu kiedyś w weekend. Na razie jednak miałem przed sobą dwóch podjaranych gówniarzy. Nie wyciągałem spluwy, nie zamierzałem nikogo zabijać. Może trzeba było, choć, wyprzedzając wypadki, wiem,

że co najmniej jeden z nich by nie ustąpił.

Ten cwany z Bielawy czy skądś tam został nieznacznie z tyłu i wyraźnie odchodził w bok. Do przodu parł drugi, nieznanym mi. Przygwoździłem Dorotę słowem i mocnym szarpnięciem za łokieć, po czym ruszyłem w jego kierunku. Trzymał bejsbola obiema rękami i lekko nim poruszał, usiłując zamieszać w naszych szeregach. Był praworęczny, więc niemal na pewno trzepnie z prawej. Skinąłem nań i kiedy rozjuszony skoczył ku mnie, ja skoczyłem jeszcze szybciej; zanim zdążył wyprowadzić uderzenie, jego bezużyteczna już pała znalazła się za moimi plecami. Dźgnąłem go w oczy, na co ryknął i szarpnął głową. Miał dość, więc zakończyłem soczystym kuksańcem w splot słoneczny. Zwiotczał, pociągnąłem go za siebie i cisnąłem pod ogrodzenie krzewów. Przy okazji zerknąłem na Dorotę. Właśnie otwierała usta, żeby krzyknąć. Runąłem na ziemię, pała przeleciała nade mną, ale czubek buta gnojka wpił mi się pod dolne lewe zębra. Okręciłem się i podciąłem... chciałem podciąć nogi. Nadzwyczaj zręcznie podskoczył i nawet zdołał machnąć pałą w dół, oberwałem w lewy bark. Uwziął się na moją lewicę?

Już staliśmy na nogach. Teraz zobaczyłem, że ma oczy starego doświadczanego basiora.

Dlaczego nie widziałem tego wcześniej? Machnął bejsbolem, ale bez wiary, tylko tak, żeby coś się działo. No, trudno. Odskoczyłem i wyszarpnąłem z kabury glocka.

Wcale się nie zdziwił. Nie przestraszył. O?

Wolno ruszył na mnie. Odczekałem, aż będzie miał prawą wykroczną, i strzeliłem. Na udzie wykwitł mu purpurowy mak, opuściłem pistolet i sięgnąłem do kabury, zamierzając schować broń. Omal nie przypląciłem tego co najmniej sińcem. Chłopak z przestreloną nogą skoczył na mnie i wywinął pałą z wprawą jakiegoś cholernego Josepha Masura z Major League. Odskoczyłem i zwałem

się na plecy, potknąwszy się o rzygającego kolesia.

Upadając, wystrzeliłem dwa razy; jeden pocisk trafił w wątrobę, drugi w bok szyi.

Przekoziółkowałem i po chwili już stałem.

On też.

Teraz już przestało być śmiesznie. Nie strzelałem ślepakami, nie śniłem, nie naćpałem się amfy, fakty powinny stać nogami na ziemi, a nie stały. Do cholery – nie stały! Trzy pociski tego kalibru powinny przynajmniej oszołomić go, o utracie przytomności nie wspominając.

Tymczasem on wyszczerzył zęby, jeszcze bardziej upodabniając się do wilka, i ruszył na mnie. Tym razem trzymał pałę z boku, zupełnie nie przejmując się moim pistoletem. Dzieliły nas trzy metry. Wycelowałem w głowę – zero reakcji, zaczął obchodzić drgające i charczące ciało kolegi. Wystrzeliłem dwa razy, ramię i pała, oba pociski sięgnęły celu. Prawy bark eksplodował mu tkanką i kośćmi, pała wyleciała w powietrze, ułomek od razu odrzucił i skoczył do przodu.

To już zakrawało na paranoję. Poczęstowałem go kopniakiem w postrzelone udo, przyłożyłem kolbą glocka w mostek, tylko zacharczał, ale nie padł, nie uległ usiłował bić się dalej. Szczęśliwie działała mu tylko lewa ręka. Było już stosunkowo łatwo, zablokowałem jego sygnalizowany sierpowy z lewej i własną lewą poczęstowałem go w skroń. Wynik przeszedł wszelkie oczekiwania – chłopak wytrzeszczył gały, z ust buchnęła mu żółta piana, zatoczył się, chwycił lewą dłonią za gardło i zawył. W pierwszej chwili myślałem, że odgrywa jakiś cwany spektakl, który ma uspić moją czujność, ale pouczony już jednym kiksem, nie chowałem gnata, wprost przeciwnie – wymierzyłem w jego głowę i czekałem.

Moja ofiara szczerze – chyba – znieczulona, może wreszcie odczuwając skutki postrzałów, zawirowała na rannej – o dziwo! –

nodze i zwała się na ziemię.

Znieruchomiła.

Teraz nagle odezwała się Dorota, przeraźliwy wizg wypłoszył ciszę, moim zdaniem skuteczniej niż strzały. Zerknąłem na nią, na szczęście nie uciekała nigdzie, stała z palcami wczepionymi we włosy i udawała, że ludzie, znaczy kobiety, mogą nadawać w skali nieosiągalnej dla przeciętnego radia marki Taraban. Ruszyłem do niej, zatrzymałem się jednak przy ciągle wymiotującym gówniarzu, odwróciłem go dość brutalnie na bok, żeby się nie zachłysnął wymiocinami, podszedłem do stojącej z zamkniętymi oczami dziewczyny płoszącej ultradźwiękami chronione prawem nietoperze, potrząsałem nią.

– Dorota! Hej, uspokój się. Już po wszystkim. Chodź. – Pociągnąłem ją za sobą.

W tej samej sekundzie poczułem, że coś jest nie tak. Odwróciłem się migiem, gotów strzelać, strzelać i strzelać.

Ale nie było do czego. Ranny skurwiel jednak mnie wykiwał i wczołgał się gdzieś w krzaki.

A kij mu w ogon! Nie chodziło mi o trupa, tylko o to, żeby z siebie nie zrobić zwłok.

Dorota przestała się popisywać wizgiem, więc ją pociągnąłem i niemal biegiem dotarliśmy do wozu. Wrzuciłem ją na tylną kanapę, bo nie lubię jeździć ze świrami siedzącymi obok mnie i pryskając żwirem z pobocza, ruszyłem do centrum.

Ciekawe, czy taki napór Jerzego satysfakcjonuje, kurwa jego gajowego! Trup, albo prawie trup, drugi pobity do utraty przytomności, moje sińce. Jeśli macie zapotrzebowanie na wsadzenia kija w mrowisko, to do mnie jak w dym! Nikt lepiej tego nie robi.

Wbrew logice zatrzymałem się przy pierwszym sklepie, kupiłem mineralną dla siebie i colę dla Dorotki. Jak się spodziewałem, przyjęła



napój z wdzięcznością. Mogłem kupić chipsy, pewnie też by wzięła. Nie ma takiego przeżycia, które u młodego człowieka wpłynęłoby negatywnie na zużycie coli. Ja wypiliśmy litr w dwie minuty, beknąłem cicho i, już spokojniejszy, pojechałem do miasta.

– Jak się nazywasz, Dorotko? – zapytałem po kilometry.

W lusterku zobaczyłem duże oczy ze źrenicami wielkości muszych oczek. Pokręciła tępo głową.

– A gdzie mieszkasz? Odbiło jej się.

– W Warszawie? Znowu pokręciła głową, ale to nie musiało nic znaczyć. I pewnie nie znaczyło.

– Masz takie miejsce, do którego mógłbym cię zawieźć?

– Do stowarzyszenia – bąknęła. Oż kurwa jej mać! Ilu trupów trzeba, żeby zaczęła myśleć inaczej?! Myśleć w ogóle!

– Dobra, poradzimy sobie sposobem.

Długo nie szukałem. Na skrzyżowaniu Czerniakowskiej i Chełmskiej stała para krawężników w żółtych kamizelkach. Skręciłem w Chełmską, zaparkowałem, wydarłem z notesu kartkę i napisałem: „Cierpię na amnezję. Proszę o pomoc”. Wsiadłem i otworzyłem tylne drzwi.

– Chodź, Dorotko. – Wytrzeszczyła na mnie oczy i po raz kolejny pokręciła głową. – Idziemy, siostró – powiedziałem z łagodnym sekciarskim uśmiechem.

Natychmiast się ruszyła. Poprowadziłem ją do rogu. Wcisnąłem do ręki karteluszek i szepnąłem, głaszcząc ją po włosach:

– Zaprowadzę cię do ludzi w żółtych szatach, a oni zawiozą cię tam, gdzie będziesz chciała. Dobrze?

Skinęła głową.

– Dasz im tę kartkę. To ci otworzy wszystkie bramy jasności. Rozumiesz?

Znowu skinęła głową.

Dobra. Wyjrzałem zza rogu. Stójkowi stali zwrócenii twarzami do jezdni, ramię w ramię.

Jeśli nie będę miał pecha, to się uda. A jeśli się nie uda, to spróbujemy z innymi. Ruszyliśmy.

W odległości czterech kroków do policjantów pchnąłem w ich kierunku Dorotę, a sam spokojnie poszedłem dalej. Przystanąłem przy wystawie, wszedłem do sklepu WSZYSTKO PO 4 ZŁOTE i zainteresowałem się miotełkami do kurzu. Dorotka podeszła do policjantów i coś do nich powiedziała, potem, zgodnie z moją instrukcją, podała im bilet do jasności. Chwilę później jeden już ją podtrzymywał pod łokieć, drugi wywoływał centralę. Dla spokoju sumienia poczekałem do przyjazdu karetki. Potem poszedłem do swojego samochodu.

Jerzy siedział z przodu, ale kulturalnie, na miejscu pasażera.

– Już dawno nikt tak dobrze nie zrealizował mojego planu – powiedział.

Poczułem, że rozpiera mnie duma. Może coś jest ze mną nie tak? Wujek z USA pochwalił, a mnie rosną skrzydła. Opanuj się, Kamilek!

---

[\[\\*1\]](#) ”Zew Cthulhu” z tomu: Howard Philips Lovecraft „Szepczący w ciemności”, przekł. Ryszarda Grzybowska, Colibri RTW. Również inne cytaty z tego wyboru.

## ROZDZIAŁ 5

– Skąd wiesz? – zapytałem. Nie żebym nie był z siebie zadowolony. „Masz na koncie trupa!”, poderwało się sumienie. – Nie widziałem tam nikogo.

– A patrzyłeś do góry? – odpowiedział pytaniem. Goodyear! No proszę. Ma się, kurna, możliwości.

– Pokaż. – Wyciągnął prawą rękę w kierunku mojej lewej.

Nie bardzo wiedząc o co chodzi, pokazałem mu dłoń. Chwycił ją, nagle złapał mnie za prawą i przez chwilę tworzyliśmy na przednim siedzeniu clio małe kółko graniaste. Dla ludzi z zewnątrz nie kółko, tylko parkę. Nie lubię takiej ostentacji. Poczułem jego palce obmacujące moją lewą dłoń. O co chodzi? Wyszarpnąłem rękę.

– Jaki jest wynik bójki?

– Jeden się porzygał, trafiony w dołek, drugiego postrzeliłem trzy razy, musiał być nafaszerowany koksem, bo nie reagował. Potem wpełzł w krzaki, kiedy sprawdzałem stan tej dziewczyny, którą wyciągnąłem przy okazji.

– Zabiłeś guimona – stwierdził z dziwnym błyskiem w oku.

– Nie wiem, czy zabiłem, mam nadzieję, że nie. Guimon? Co to jest guimon? Mnie się wydawało, że to tylko jakiś najarany gówniarz...

– On nie wpełzł w krzaki – powiedział.

– Nie? – zapytałem kretyńsko.

– Nie. Rozpuścił się.

– Rozpuścił się. Rozumiem.

– Gównu rozumiesz. Jedziemy do mnie. Tam pogadamy.

Gdy wjechałem w Czerniakowską, karetka, rzucając błyski kogutami, ale bez syreny, znikła w Gagarina. Spokojnie, jeśli można być spokojnym po zabiciu człowieka, zmierzałem w stronę centrum.

Rozpuścił się... Ciekawe...

Mieszkanie Jerzego nie przypominało już przygotowanego do wynajmu lokalu, spuchła nawet kolekcja czarnych krążków – umieścił jeden na talerzu i wyszedł do kuchni. Po chwili wrócił z dwiema szklankami i butelką balvenie. Szkocka, single barrel. Lubię.

– Jak u was z jazdą po gazie? – zapytał, nalewając.

– Na gazie – poprawiłem odruchowo. – Wezwę taryfę z kierowcą do mojego wozu.

– O? – zdziwił się. – Istnieje taka opcja?! Prychając, wzruszyłem ramionami. Głupie amerykanie.

Wypiliśmy.

– Pokażę ci coś.

Przyniósł z regału notebook, wielki jak stolnica, pewnie w środku miał maszynę odpowiadającą tej z promu kosmicznego. Włączył, przyłożył do okienka podczerwieni swoją komórkę i czekał kilka sekund. Pisnęło, dane się przelały.

– Patrz. – Okręcił komp tak, że miałem w zasięgu wzroku ekran.

Obraz nieznacznie drżał, zdradzając duży zoom, ale widoczność była niezła. Widziałem, jak trafiam gówniarza w nogę, potem w bark, jak odstrzeliwuję mu bejsbola, i jak ciągle, mimo to, idzie na mnie. Jerzy zatrzymał projekcję, wysunął palec i pokazał mi na górze ekranu zaciekawiony pysk „kapitana” nad krawędzią bramy. Pewnie moonies trzymali go na swoich ramionach. Jerzy wznowił relację. Zwarcie, cios w głowę, wiotczenie młodziana, który opada na kolana, a ja ruszam w kierunku dziewczyny. Niemal usłyszałem znowu jej przenikliwy wizg.

– Patrz na niego – upomniał mnie Jerzy. Przestałem patrzeć na siebie; kamerzysta przesunął lokus i skoncentrował się na wijącej się na trawie postaci. Młodzian dygotał mocno, zwinął się w płodowy kłęb, odrzucił głowę i otworzył usta, jakby chciał wyć. Ale przecież

nie był. Dorotka już wtedy się nie darła, usłyszałbym. Kamerzysta sfokusował jego twarz; zobaczyłem, że oczy mu ściemniały, potem błysnęło w nich coś purpurowego... Obraz przeskoczył do całej postaci, chłopak nagle wyprężył się i... rozsypał... Jak potworek z gry komputerowej trafiony odpowiednią liczbą razy magicznym mieczem. Otworzyłem usta, i uświadomiwszy to sobie, wlałem w nie pewną ilość whisky. Potem drugą ilość, potem się skończyła.

– Jak to...? – wykrztusiłem. – Puść jeszcze raz! Puścił. Nic się nie zmieniło. Chłopak leżał na trawie, krwi było mało... Był „wył” i zniknął.

Pierwsza myśl była prosta i żołnierska: robią mnie w kija. Ale po co? Kupa zachodu, w potwornym tempie, żeby zdążyć... I co? Wpuścić mnie w chruśniaki? i Jeszcze raz: po co?

Czy może mój szef mnie wybrał na tego, kto przygotuje przedwyborczą bombę? Kampania miała być czysta, ale w to nikt nie wierzył.

– Gdybyś dokładnie przyjrzał się temu... – postukał palcem w ekran – ...miejscu, zobaczyłbyś specyficzny pył. Coś, co kojarzy się ze sproszkowaną rtęcią.

– Istnieje coś takiego? – zdziwiłem się.

– Nie. Ale wszystkim się tak kojarzy. Tłusto przelewający się śliski proszek. Znika po minucie, góra dwóch.

– Aha.

Nalał mi jeszcze, sobie nie.

– Guimon... Trafiony tym sygnetem. – Wskazał moją lewą dłoń.

– Guimon. – Pokiwałem głową. – Czy Google coś mi powiedzą na ten temat?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Może w jakimś języku świata to słowo oznacza ławkę parkową albo obłok. Ale ja mówię o guimonach, odpryskach Cthulhu.

Pamiętasz dobrze opowiadania Lovecrafta?

Westchnąłem.

– Czytałem kiedyś. Wczoraj szczerze przymierzałem się do przeczytania, ale zmorzył mnie sen. Dość archaicznie napisane... Dzisiaj trochę poczytałem tam zaznaczyłem to „tam” ruchem ręki – czekając na odpowiednią chwilę.

– No to ci pokrótce streszczę, ale wolałbym, żebyś się przemógł. – Rzucił mi znaczące spojrzenie.

– Daj mi dzień, najwyżej dwa. Pokiwał głową.

– Dobra. W skrócie to wygląda tak. Lovecraft opisywał w swoich tekstach Cthulhu, Wielkiego Przedwiecznego, Brata albo Kapłana Przedwiecznych. Potwór o rozmytych niezbyt wyraźnie widocznych kształtach. Generalnie: łeb ośmiornicy z mackami, gąbczasty tułów pokryty łuskami, do tego ogromne szpony na obu parach łap i długie wąskie skrzydła.

Śpiący, leży – u Lovecrafta – na dnie Pacyfiku w mieście cyklopów o nazwie R'lyeh.

Nawiasem mówiąc, miejsce spoczynku Cthulhu to Nowy Orlean, ale po huraganie i powodzi pieczęcie osłabły i nikt nie zna sposobu, by je wzmocnić, ale to potem. Teraz musisz wiedzieć, że Cthulhu czeka na odpowiednie ustawienie planet i wtedy powróci, by odzyskać władzę nad światem. Al-Khadhulu, mimo że śpiący, może wpływać na ludzkość – odwiedza wybrane osobniki we śnie, podsuwa im przerażające wizje – swoją postać, jakieś dziwne i koszmarnie miejsca w tym czy innym wszechświecie. Stąd też inne, jedno z chyba kilkunastu imion Cthulhu: Pan Snów. Ta ingerencja w sny jest mu potrzebna do kierowania centrami swojego kultu i ludźmi do nich przynależnymi. Wierzy się, że można go przywołać, wymawiając odpowiednią formułę, ale ta, która jest dostępna dzięki Lovecraftowi, na szczęście nie działa.

– Pamiętam, że są okresy sprzyjające jego aktywności wtrąciłem pośpiesznie, wyłącznie po to, by okazać, że nie jestem za burtą.

– Tak. Podobno między dwudziestym ósmym lutego a drugim kwietnia, a szczególnie w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego marca. To mamy już za sobą, bo jest sierpień, ale w ogóle te daty, jak i formuła, są wyłącznie fikcją. Co do niewielu rzeczy Lovecraft się mylił, ale w tych dwóch, jak powiedziałem – na szczęście! – tak. No i co do miejsca spoczynku tego potwora.

– Mam pytania. – Uniosłem szklaneczkę z whisky. – Mam rozumieć, że poza kilkoma detalami Samotnik z...

Znowu kawerna w pamięci.

– Providence...

– Z Providence, dziękuję, pisał prawdę o Cthulhu? Chcesz powiedzieć, że ten Wielki Przedwieczny istnieje?

Przytaknął.

Ja pierdołę! Poczułem się jak gość, któremu po doktoracie na astronomii mówi się, że Ziemia jednakowoż jest płaska. Przez dwa czy trzy oddechy miałem pustkę w głowie. Potem pomyślałem, że śnię. Albo że mnie testują. Albo wrabiają w coś. Kto? Po co? I co ja mogę?

Ano mogę – udam, że kupuję to wszystko, a w odpowiedniej chwili uchylę się i z całej impetem uderzę w dowcipnisią. Mnie się tak łatwo nie wpuszcza, za bardzo siebie kocham!

– Dobra, na razie odpuśćmy, czy w to wierzę, bo nie wierzę, ale... taki techniczny detal: skąd, do kurwy nędzy częstochowskiej, H.P. Lovecraft miałby to wiedzieć?

– Sny.

Trafiony. Co na to można odpowiedzieć. Nic. Nie odpowiedziałem. Pokręciłem tylko z wyrzutem głową. Potem dodałem:

– Proszę cię?!

Uśmiechnął się smutno.

– Nie żądam, żebyś mi we wszystko uwierzył, nie każę ci w to wierzyć. Chcę tylko... tylko... żebyś działał tak, jakbyś wierzył. Jeśli ci powiem, że ta i ta osoba to guimon, to – wierzysz w to czy nie – masz ją załatwić. A wtedy sam się przekonasz, że miałem rację. Tak jak z tym gówniarzem, którego się nie imają twoje pociski kalibru dziewięć mm.

Sapałem chwilę.

– Dobra, guimony. Co to? Skąd są i jak je zniszczyć?



Popatrzyłem na sygnet. Wczoraj wydawało mi się, że nie pasuje mi na palec. Dzisiaj pasował jak ulał. Dotknąłem go, przekręciłem. Poruszał się swobodnie, jakbym miał skórę gładką jak pupcia niemowlęcia, a przecież nie miałem, nie miałem też posmarowanej oliwką.

Spróbowałem zdjąć sygnet. O, i tu nastąpiła zmiana. Jakby wrósł w ciało. Ach, to pewnie zwyczajna magia. Zabulgotało mi w trzewiach.

– Przepraszam, muszę przypudrować noskę. Miałem biegunkę, cholera. Nie lubię. To takie...poniżające, brak panowania nad własnymi flakami.

Trudno.

Wróciłem do pokoju. Na ekranie notebooka widniał szereg literek układających się w idiotyczne, nieprzyjemnie brzmiące słowa. Pochyliłem się i przeczytałem: *La mayyitan ma quadirun yatabaqa sarmadi fa itha yaji ash-shuthath al-mautu gad yantah.*

– To znaczy: *Nie jest umarłym ten, który może spoczywać przez wieki. Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami* – przetłumaczył Jerzy. – To podobno zapowiedź powrotu Cthulhu. Też, mam nadzieję,



fikcja Lovecrafta. Z fikcyjnej księgi Necronomicon.

Jesteś z jakiego znaku? – przeskoczył nagle na inny temat.

– Skorpion.

– Tak jak Cthulhu.

– Nie, no nie pierdol! – Już sięgałem po szklaneczkę, w której magicznie niemal pojawiła się aromatyczna whisky. – Znaczy, nie chodzi mi, że nie wierzę, że jesteśmy z tego samego znaku, tylko że w ogóle jesteśmy... Znaczy... – Zaplątałem się w gramatyce, stylistyce, logice.

– Spokojnie. Pamiętam, jak się czułem, będąc na twoim miejscu.

– A! Właśnie! – Chwyciłem szklaneczkę i jednym łykiem pochłonałem połowę. Jak Owen Yeates. – A co z tobą? Jesteś jakimś Szermierzem Światła? Miecze Zapowiadającym?

Jakimś...

– O tym kiedy indziej. Po co ci tak dużo w jedne porcji? Ale w zasadzie masz rację. Jest Cthulhu, są guimony, i jesteśmy my, tacy jak ja i tacy jak ty.

W głowie napierało na siebie co najmniej kilka frakcji. Jedna wydzieriała się: „To wariat!

Wzywaj sto dwanaście!”, druga: „Po cholere tyle pijesz?!”, trzecia: „Niech Polska będzie Polską!”, i jeszcze jakieś mniejszości narodowo-myślowe. A ja to wszystko musiałem zmieścić w skołatanym mózgu...

Odwróciłem się i syknąłem. No tak, przecież gnojek nie, guimon! – sprzedał mi kujawiaczka w żebro.

– Oberwałeś? – zapytał Jerzy.

– Drobiazg. Siniec. Machnął ręką.

– Pokaż.

– Nie, to nie jest...

– Nie dyskutujcie, żołnierzu!

– Tajest!

Zrzuciłem bluzę, odpiąłem kaburę, odłożyłem wszystko na wolny fotel, ściągnąłem koszulę, wykręciłem się, usiłując się przyjrzeć rozległemu sinemu plackowi. Jerzy pochylił się, przyłożył dłoń, przycisnął. Zabolało i powiedziałem mu to, bo w końcu chodziło o diagnozę, a nie zgrywanie twardziela.

– Zaciśnij zęby – poradził mi i nacisnął mocniej. Ból nie był paralizujący. Zabolało i tyle.

Kilka razy, bo tyle razy naciskał.

– Okej. Żebra, moim zdaniem, całe. – Wstał i skinął ręką. – Co się tak rozsiadłeś?

Idziemy do łazienki, przykleję ci plaster znieczulający, ale przedtem chyba ci ogolę, bo potem będziesz kwiczał, usuwając go.

Nawet było miło, najpierw ogolił mi lewą część klatki piersiowej, później się odsunął i powiedział:

– Wiesz co, ogolę też prawą, bo nie będziesz mógł pokazać się na basenie.

– Tajest!

Ogolił i prawą, to było przyjemniejsze. Miał suche ciepłe i sprawne dłonie. W końcu zgarnął włosy do muszli i spuścił wodę. Z walizeczki stojącej na pół wyjął dwa plastry, oszacował, dołożył trzeci, przykleił. Zapieкло lekko, potem poczułem azotowy chłód, a potem przestałem czuć ból, a odzyskałem ciało. Fajne.

– Fajnie. Dzięki. Wróciliśmy do pokoju. Jerzy uniósł butelkę, patrząc na mnie.

Pokręciłem głową. Lubię whisky, ale po trzeciej mam problemy z porannym odzyskaniem mózgu.

– No to co robimy z tak pięknie zakończonym dniem? – zapytał. Zastanawiałem się chwilę, on tymczasem kontynuował: – Nie masz pytań? Naprawdę? To by znaczyło, że szybciej wchłaniasz nieprawdopodobne niż ja.

– Taki jestem! – Zamrugalem. – Czy ta wycieczka coś ci dała? Poza wiedzą, że guimony są wśród nas?

– Była taka książka! – ucieszył się. – Pamiętam, *Af hikanie są wśród nas*, tak?

– A czy ja pamiętam?

– Hm, jak to było? – Zmarszczył czoło. Rzucił się do notebooka i zaczął nerwowo wklepywać litery. – Kurde, wszystko jest „wśród nas”: homorodzice, niepełnosprawni, analfabeci, drużynowy, nanocząsteczki, leki... E tam! – Zniechęcony, trzepnął w klawisz escape i odwrócił się do mnie. – Wiesz, ja nic, niemal nic nie pamiętam z dzieciństwa w Polsce. Dziwne, jakoś szybko i trwale zapomniałem kompletnie wszystko. Tylko język gdzieś siedział w podświadomości, bo nie uczyłem się od nowa, o nie. Ale cała reszta uległa wykasowaniu.

– Widać nie byłeś tutaj szczęśliwy – podsunąłem.

– Pewnie nie. Rodzice też niewiele o tym mówią, ule nie chcą tu przyjeżdżać. Nie utrzymują kontaktów z rodziną, może jej nie mamy?

– Pokręcił głową. – Ciekawe. – Plasnął dłonią w kolano. – No, ale nie o tym mieliśmy mówić.

– Powinniśmy pewnie o guimonach, ale mnie się mózg zlasował, muszę to odespać. – Od razu nadpłynęło ziewnięcie, jak na zamówienie. – U-e-ech... Czyli mogę być pewien, że nie zabiłem człowieka?

– Możesz. Na sto procent. To są byty niematerialne, które przyjmują ludzką postać, a ginąc, rozsypują się w proch, z którego, być może, materializują się.

Sięgnąłem po komórkę.

– Jeśli można, to jutro łyknę całą wiedzę o guimonach, celach i zadaniach naszej operacji... Dziś mam aż nadto wrażeń. – Zabrzmiało to dość memliwie w ustach doświadczonego operacyjniaka, jakim

jestem. – Byłem przekonany, że zabiłem biednego zakompleksionego dzieciaka, któremu ktoś zrobił budyń z umysłu. Nie przypuszczałem, że niezabicie człowieka może być tak przyjemne.

Co za tekst, można pomyśleć, że nic innego nie robię, jak tylko chodzę po mieście i pruję do ludzi. Tymczasem mam na koncie dwóch zranionych, z których jeden zmarł, ale w szpitalu.

Jerzy się nie odezwał, tylko pokiwał ze zrozumieniem głową. Zamówiłem taryfę z dodatkowym kierowcą i pojechałem do domu. Puściłem cichutko Simple Red i pozwoliłem ukołysać się do snu Mickowi Hucknallowi.



## ROZDZIAŁ 6

Przed snem zdążyłem łyknąć trzy opowiadania z tomu, w zasadzie wszystko się zgadzało, zwłaszcza opis Cthulhu. Z drugiej strony, trudno przypuszczać, że przyjeżdża do Polski gość z Pentagonu, ma do wykonania jakąś tajną robotę, musi skołować kilku Polaków i nie przygotował się do tego należycie. Wróciłem do opisu wierzenia w Cthulhu. Przyłapani na obrzędzie ludziska, prości marynarze, Mulaci i Murzyni, jeśli już coś o tym mówili, to mniej więcej tyle:



*Czcili, jak sami powiadali, Wielkie Dawne Bóstwa, które żyły przed wiekami, kiedy to jeszcze nie było ludzi, a które przybyły do tego młodego świata prosto z, nieba. Teraz, już. ich tutaj nie ma, są głęboko pod ziemią i pod dnem oceanów; ale ich ciała zwierzyły swoje tajemnice pierwszemu człowiekowi podczas snu i on to właśnie stworzył kult, który nigdy nie zaniknie. To właśnie ich kult, który, jak twierdzili jeńcy, zawsze istniał i zawsze będzie istniał, skrywany na dalekich pustkowiach i w mrocznych zakątkach świata, dopóki wielki Cthulhu nie powstanie ze swego spowitego mrokiem domu w potężnym mieście R'lyeh znajdującym się pod wodą i nie obejmie znowu władzy nad światem. Pewnego dnia, kiedy gwiazdy będą gotowe, rozlegnie się jego wołanie, a tajemniczy kult będzie trwał w oczekiwaniu na jego wyzwolenie. Do tego czasu nic więcej nie wolno mówić. Jest to tajemnica, której nie zdołają wyjawić żadne tortury. Ludzkość nie jest sama pośród wszystkich rzeczy na ziemi, których jesteśmy świadomi, bowiem z ciemności przybywają cienie i nawiedzają swoich wiernych. Nie są to jednak Wielkie Bóstwa. Człowiek ich jeszcze*

*nie widział. Wyrzeźbione bóstwo to wielki Cthulhu, ale nikt nie potrafiłby powiedzieć, czy tak właśnie owe bóstwa wyglądają. Nikt też nie potrafiłby teraz odczytać starego napisu, ale słowa te zostały kiedyś wypowiedziane.*

*Słowa nucone podczas obrzędu nie są tajemnicą – nigdy jednak nie mówi się ich głośno, tylko szeptem. A znaczą: „W tym domu w R’lyeh czeka w uśpieniu zmarły Cthulhu”.*



Zasypiając, zdążyłem pomyśleć, że taki, na przykład, King – albo dusi się w nocy ze strachu, więc w dzień opisuje te swoje koszmary, albo odwrotnie – w dzień wymyśla przerażające lekturki, ale w nocy spać nie może, bo ciągle zmienia piżamę. A ja też sam sobie będę winien, czytając takie dupersznity przed snem, jeśli się zbudzę zlany potem – oby tylko! – w środku nocy.

Jakoś mnie to ominęło.

Natychmiast po przebudzeniu zdecydowałem, że priorytetową sprawą będzie wykrycie o co tak naprawdę chodzi Jerry’emu-Jerzemu. To, że zaprzęgnięto do roboty potężne siły, było widać choćby po tym, że trzy kwadranse po bójce już mieli gotową swoją wersję video ze znikającym ciałem. No, mogli mu ją podeśłać z labo na komórkę, ale i tak tempo było imponujące. Tylko czego on naprawdę chce? Można przecież było wymyślić dwa tysiące sześćset osiemdziesiąt cztery bardziej przekonujące powody do działania w Polsce. Można mi było wcisnąć cztery kilo kitu, a oni usiłują mnie nawrócić. A przynajmniej zmusić do wiary w jakieś oszlamione zielonkawe bóstwo spoczywające na dnie Pacyfiku. Nie, nie na dnie. Jerzy powiedział, że H.P. mylił się co do kilku kwestii. Nie na dnie. No to gdzie? Jerzy coś mówił...

Sain Luis? Stop. Jeżeli zacznę szukać miejsca spoczynku Cthulhu, to – niczym Schliemann – zaczynam wierzyć w swoją Troję.

Wziąłem książkę, przy której zasnąłem wczoraj, ale zaraz ją odłożyłem. Coś mi mówiło, że czas może być potrzebny do czegoś innego.

Pixel od dłuższej chwili drapał kołdrę na mojej piersi. Służba nie drużba. Wstałem i zmieniłem mu wodę, trochę się z nim drażniąc, potem wyłożyłem do miski „pyszne kawałki mięsa w aromatycznym sosie”, podsypałem biotyny i dołożyłem tabletkę z glonów na wzmocnienie sierści. Znienawidzi mnie kiedyś za to paskudzenie jedzenia, ale trudno, bez tego nie da się chodzić w niczym, co odbiega umaszczeniem od białego i ryżego. Pixel zajął się mięsem, ja kawą. Pierwsza i jedyna w ciągu dnia z dwiema łyżeczkami cukru i gipsem.

Potem już tylko czarna i gorzka. Przy kawie przewertowałem książkę, znalazłem całą masę literówek i zero przydatnych wiadomości. Pewnie trzeba się wczytać.

Zerknąłem na telefon. W zasadzie mogłem zadzwonić, ale strasznie nie lubię, jak ktoś mi mówi: „O, cześć, słuchaj, oddzwonię później”. Przeczekam. Rozłożyłem glocka i starannie przeczyściłem go, uzupełniłem magazynek, schowałem spluwę do drugiego sejfu. Jeden miałem w garderobie, tam trzymałem „cenne” rzeczy: dokumenty, kajdanki, paralizator i takie tam inne szpeje. Tam też trzymałem legalną broń, jeśli ją miałem w domu. Drugi, malutki, tylko na gnata, był pod kabiną prysznicową. Niezbyt oryginalnie, ale znajdźcie mi w mieszkaniu w bloku oryginalne miejsce na sejf. Kiedyś myślałem o komórce „zsyfu”, ale za często kradli tam klamki, zatrzaszywali, zarzygiwali, obszczywali...

Ściągnąłem z sieci desert eagle, znalazłem kapitalną amerykańską stronę z rozłożonym pistoletem, można się było pobawić w 3D, więc pobawiłem się w składanie, rozkładanie i nawet postrzelałem. Niezbyt

celnie. Zacząłem się zastanawiać, czy niemal dwukrotnie większy ciężar nie zniechęci mnie do korzystania z tej artylerii, ale potem uznałem, że to jakby odmówić jazdy porsche tylko dlatego, że ma twardsze fotele. Usunąłem z historii strony z pistoletem, wprowadziłem dwa jaja na twardo, a właściwie półtora, bo w połowie drugiego zadzwonił Jerzy.

– To co? – zapytał z precyzją chirurga kosmetycznego.

– No – odpowiedziałem.

– Wpadniesz do mnie?

– Czemu nie? – Co za idiotyczna rozmowa. Chociaż, z drugiej strony, dwaj pędzie namawiają się na *rendez vous*. Z trzeciej strony, jeśli ktoś nas obwąchuje, to powinien wiedzieć, że nie łączą nas stosunki, tylko praca. – Mam już startować?

– Tak. – Zawahał się. – Być może wyjedziemy dziś, ale jeszcze nie musisz się pakować.

– Potrzebuję kwadransa.

– Będziesz go miał, jakby co. Na razie.

Na wszelki wypadek rzuciłem okiem na kosmetyczkę-niezbędnik i do torby – była przygotowana w zimie, wyjąłem więc polar, rękawiczki i kominiarkę. Resztę pakowania zostawiłem na później, coś mi mówiło, że ten wyjazd jest bankowo pewny. Dokąd? Do Głanowa? Innego ośrodka Moona? Jeśli brednie o Cthulhu brać serio, to trzyma się to kupy: emisariusze rzygowatego bóstwa kaptują niewinne duszyczki. Czyli Bóg istnieje, bo istnieje szatan. Ja pierdziu, co się w tym kraju dzieje? Nie dość, że cofnięty do szesnastego wieku, to jeszcze się okaże że słusznie? Przyszłość ojczyzny rysowała się tak różowo jak przyszłość pięćdziesięcioletniej gwiazdy porno.

Na Krochmalną dotarłem bez kłopotów, zaparkowałem pod bramą. Tylko tu było miejsce, a raczej zwolniło się, gdy podjechałem. Starsza pa... pani... Ta, z ogródków działkowych! Wyjeżdżała właśnie. Jasssna



dupa na ciemnym tle! Żebyż nam tak przyszło działać na co dzień! Człowiek się doprosić nie może karty do komórki, a tu przyjechali Amerykanie i – proszę! – pół miasta na usługi obcej firmy... Świder w zadku się kręci, łza w oku.

W pokoju paliło się światło, rolety zaciągnięte, muzyczka tradycyjnie sączyła się i dyskretnie wypełniała pokój. Niskie tony ładnie kładące się na ewentualnym podśluchu.

– Cześć. – Uścisnął mi dłoń. – Jak boczek? Poklepałem się po żebrach, nie za mocno. Nie bolało.

– W porządku.

– Świetnie. Kawa?

– Herbata. Mocna.

– Już. Masz w pokoju zabawki. Zabawki! Pistołek jak marzenie. Stałem i gapiłem się na legendarny pistolet – cztery magazynki, kabura pod pachę, stalowa walizeczka stała przy nodze stołu. Kurna, nie zmieści się w sejfie...

– Zastanawiałem się nad Jerycho dziewięćset czterdzieści jeden – powiedział Jerzy, stając w drzwiach kuchni.

Chyba szykował się mały teścik.

– E tam! Te jego zamienne lufy to przesada. Do czego bym używał – rzuciłem, nie odwracając się i nie dotykając jeszcze gnata. – Kurwa... Jeśli któryś z pistoletów powinien być nazywany „Gnat” to właśnie ten – dodałem.

– Też go lubię.

– A ja go już kocham.

– Hm... Co komu pisane...

Wziąłem do ręki półtora kilo amerykańskiej myśli technicznej i izraelskiego wykonania. Kapitalny koktajl. Coś jak „Blood Mary”. Nie do przebicia, raz i na wieki. Można tylko modyfikować, nie poprawiać! Nie da się przebić, udoskonalić

doskonałego. Potem przez półtorej godziny zajmowaliśmy się Gnatem, pomyślałem, że szkoda, że nazwa „Peacemaker” została już zarezerwowana dla colta 45. A jeszcze potem przyszło mi do głowy, że powinno się używać tej nazwy jak przechodniego tytułu: „Aktualnie, panie i panowie, tytuł Peacemakera, nosi pistolet Desert Eagle”.

Podzieliłem się tą myślą z Jerzym. Pokiwał głową ze zrozumieniem i aprobatą.

– Wniosę do Kongresu – obiecał.

Złożyłem Gnata samodzielnie. Przymierzyłem kaburę, a Jerzy pomógł mi dopasować ją do ciała.

– Jak zebra? – zapytał, wskazując palcem miejsce pokryte plastrami.

Nie dotykał, na wszelki wypadek.

– Dziękuję, zapomniałem o nich.

Obaj zapomnieliśmy, że już była o tym mowa. Zaaferowani? Skrępowani? Czym?

– No to odklej. Dwa dni to wystarczająco duża dawka przeciwbólowych.

Rozpiąłem koszulę. Mimo ogolenia odrywanie plastrów szło wolno i było nieprzyjemne.

– Szarpnę? – zapytał, uśmiechając się.

– Dawaj. Zaczepnąłem tchu. Jerzy chwycił za krawędź plastra i powiedział: – Na trzy?

Otworzyłem usta, żeby go poinformować, że znam ten numer z *Nagiej broni*, ale nie zdążyłem.

– Raz!

I szarpnął.

Uach!

Uff...

No dobra, po kłopotcie. Siniec był spory, ale miewało się większe. Kiedy wpadłem na maskę „Żyda”, który chciał przejechać wszystkich stojących mu na drodze uciezki, to chyba tylko pysk miałem w miarę cielisty.

– Wracamy do guimonów? – zapytałem ubrany i dopasowany do broni.

Zdjąłem Gnata i powiesiłem na poręczy fotela, choć, przyznaję, gdybym był sam w domu, siedziałbym sobie z kaburą pod pachą, pod pozorem dopasowywania się do broni.

– Przyswoiłeś? Uwierzyłeś? Wytrzeszczyłem oczy.

– Tylko mi nie mów, że żartowałeś! Bo uwierzyłem. Uwierzyłem, ale czuwania nie wyłączyłem. Niech tylko wyczuję, że to kit...

– Skąd! Ani jedno moje słowo nie poruszyłoby strzałki wariografu.

– Jedźmy zatem dalej. Na świecie mamy guimony, rozumiem, że ich istnienie i działalność zagrażają całej ludzkości. Ile ich jest, wiadomo?

– Sześćset sześćdziesiąt sześć.

– No nie... – Skrzywiłem się. – To takie...

– Tandetne. Wiem. Ale nic na to nie poradzę. Musiały być przecieki. Coś gdzieś kiedyś...

Wiele symboli, haseł, nawet fragmenty modłów czy inwokacji albo inkantacji mają prawdziwe korzenie. Jakoś przeniknęły, nie wiem, czy to guimony zdradziły, czy...

– Czy? Jak się nazywają ich niszczyiele? Ilu was jest?

– Czterech. Osłupiałem.

– Ilu???

– Czterech.

– Jak Jeźdźców Apokalipsy? Wzruszył ramionami.

– Liczba cztery powtarza się w wielu wariantach, w wielu sytuacjach. Tak po prostu jest.

Ich liczba jest stała, w każdym razie nie udało nam się nigdy jej zmniejszyć na tyle, żebyśmy to odnotowali. Nas też zawsze jest czterech.

– A gdy... eghm...

– Gdy jeden odchodzi, na jego miejsce przychodzi inny. Najczęściej jest przygotowywany wcześniej. Każdy ma takiego ucznia.

– Przywiozłeś swojego do Polski?

– Nie. – Łyknał kawy. – Staramy się nie iść razem do jednej roboty. Po co ryzykować życie więcej niż jednego ekstermana?

– Brzmi jak *Eksterminator 3*...

– Wiem. Tak też sobie czasem żartujemy.

– Skoro ekstermani nie mogą zmniejszyć pogłowia guimonów, to co robią?

– Nie dają im obrosnąć w piórka, spotęgować ich mocy. To działa tak, że te sześćset sześćdziesiąt sześć guimonów, jeśli nie będą eksterminowane, zaczną po jakimś czasie wzbierać mocą. Wynikiem takiego stanu są wojny, konflikty terytorialne, rzezie religijne... A jeśli je likwidujemy, to zamiast obrastać mocą, wysiłki kierują na szukanie i powoływanie nowych wyznawców. To wygląda tak, jakby suma ich mocy wynosiła  $X$ . Jeśli przez dłuższy czas się ich nie rusza, to  $X$  rośnie do  $X + A$ ,  $X + B$  i tak dalej. Ale jeśli ich liczba spada, to  $X + A$  błyskawicznie wraca do samego gołego  $X$ .

– A wystrzelać większą liczbę tego gówna? Uniósł brwi i pokiwał głową jak rabin.

– Dobrze by było. Ale nas jest tylko czterech.

– Plus uczniowie – przypomniałem.

– Tak – skwitował, ale nie podziękował za przypomnienie. – Zgadza się.

– Czyli cokolwiek byście robili, to guimonów nie wyplenicie?

– Raczej nie – przyznał ze smutkiem.

– Głupiego robota – nie wytrzymałem.

– Trochę.

Przypomniałem sobie coś. Wyciągnąłem przed siebie lewą rękę.

– A pierścień? Co to za moc?

– Właśnie! – Pochylił się nad walizeczką z Gnatem. – Mogę?

– Pewnie.

Otworzył ją i wyjął pudełko z nabojami.

– Może się wydawać, że to seryjna amunicja, ale nie. To są bardzo specjalne pociski: miedziane płaszczki...

– Miedź? – mruknąłem. – Z miedzią mamy w Polsce dobrze, możemy wszystkie pociski świata zaopatrzyć w miedziane płaszczki i jeszcze nam zostanie.

– ...wypełnienie to srebro i kwas – ciągnął, nie słuchając mnie – który nie ma oficjalnej nazwy, my mówimy o nim alsternowy. Z drobnutkich żyłek specyficznej rudy uzyskuje się proszek, który w kontakcie z miedzią i wypełniającą ciała guimonów „krwią” powoduje natychmiastowy ich rozpad. Mówiąc „natychmiastowy”, mam na myśli nie „błyskawiczny”, ale raczej „nieodwołalny”, bo dobrze trafiony guimon może jeszcze przez dwie-trzy, czasem do pięciu sekund działać. Nie należy więc przesadnie radować się z trafienia guimona. Do tego trafienie trafieniu nierówne, najlepiej w głowę, to jasne. Inaczej: ich „mózgi” jeszcze w jakimś zakresie funkcjonują – mogą ciąć, rzucić nożem, strzelić, udusić... Zanim zdechną.

– A ten proszek?

– Z pieczęci na Klamrze Alstermedara. Który niemal całkowicie zapędził Cthulhu w zaświaty, do miasta cyklopów R'lyeh. Klamra teoretycznie żyje, pulsuje, rozrasta się, ale niemal jej nie przybywa, ponieważ ciągle pozyskujemy rudę do pocisków, będących najpewniejszą bronią na *jarkie*. *Jarkie* to inna nazwa guimonów. Wymawia się „jarki”...

Pomyślałem, że pewnie i tym razem wyszukiwarka nie pomoże, ale nie chciałem zadawać kolejnego pytania. Na razie je sobie zakonotowałem, bo ten Alstermedar wydawał się ważny.

– Ciekawe, to dość popularne imię w Polsce. A w Turcji, jak mi mówiono, znaczy „chuj”.

– Wiem. Może Turcy kiedyś mocno ich tłukli? – Włożył nabój do pudełka. – Inna, dość popularna wśród ekstermanów broń to czysta stal. Ja preferuję srebrny wzór na klindze, na pewno bardziej boli albo piecze przy cięciu.

– Dobra, *jarek* czy inaczej... Ale ja nie mam o szabli pojęcia!

– Ty nie będziesz się fechtował z nimi. – Poklepał mnie po ramieniu. – Zresztą, one nie używają białej broni. A przynajmniej nie często. Pętają ofiarę, unieruchamiają, zniewalają...

A ty musisz strzelić do niewinnie patrzącego na ciebie dziecka. Szybko, nim zaczną i cię zasysać...

– Zwariowałeś?!

– Nie. A co, nie pamiętasz tego „zakompleksionego” chłopaka z ośrodka? – Zaciśnąłem zęby, ale się nie odezwałem. Jerzy wstał i przespacerował się do okna. Nie odsunął żaluzji, nawet ich nie dotknął. – Pamiętam, że tak samo, dokładnie tak samo zareagowałem na słowa mojego mistrza.

– Więc jesteś moim mistrzem?

– Nie wiem. Może. Nie wykluczam, ale za mojego życia nie przybył... nie przyłączył się do nas ani jeden eksterman. Pewnie czwórka to liczba magiczna, określona z góry, nie wiem...

Chodziło mi po głowie pytanie, które musiałem zadać, choć obawiałem się kpin.

– A... Bo skoro mówisz o czystej stali, o srebrze... To są, jakby... znane sposoby na... no, na strzygi, wampiry, jakieś niegodzilce, widłaki. A inne? Jako Polak muszę zapytać o modlitwy, wodę

święconą, krzyż? O czosnek, do cholery, o kołek osikowy.

Westchnął.

– Niestety, to nie działa. W przeciwnym razie w miejscach katolickiego kultu nie byłoby wcale guimonów – krzyże, woda święcona, modlitwy. A są, i to, paradoksalnie jakby, w zwiększonej ilości. Guimony lgną do miejsc emocjonalnie nasyconych, a jeszcze bardziej, gdy takie miejsce trochę się usuwa z głównego nurtu. Gdy powstają jakieś silne sekty, kościoły z mocnymi osobowościami. A, co dziwne, nie widać ich w innych miejscach, gdzie emocji jest od groma: na cmentarzach, w szpitalach...

– Sekta Johnsa albo Coresha?

– Tak. Co do kołka, to kilka razy już udało mi się prawie zatłuc guimona, nie jest to jednak przyjemne. A i tak musi się zakończyć odcięciem głowy, bo samo bicie bejsbolem nie załatwia sprawy. Można guimona powstrzymać za pomocą cegły, czy powalić, przejeżdżając samochodem, ale na końcu musi być pocisk albo stal.

– Miedziany nóż? Z takimi żyłkami. Srebrny? Skinął z powagą głową.

– Tak. Ale szybko się tępi, wygina... A z kolei alserruda w ciągu roku się rozkłada. No i nie pozyskujemy jej tak dużo, by ciągle kuć nową broń.

Dotarło do mnie, że lekko – ot, tak sobie – rozmawiamy o mordowaniu ludzi czy prawie ludzi. Znaczący, nie o samym mordowaniu, tylko o mordowaniu skutecznym, najskuteczniejszym.

– No i jeszcze jedno, po chwili ciało guimona się dematerializuje, powiem ci, że wraz z takim rozpadającym się ciałem znikają wszelkie skrupuły i wyrzuty sumienia.

Chciałem się odezwać, ale powstrzymał mnie ruchem ręki.

– Jeszcze jedno, Cthulhu nie leży na dnie Pacyfiku, nie wiem, czy ci to mówiłem?

– Wspomniałeś.

– No to precyzuj: leży pod Klamrą Alstermedara w Nowym Orleanie.

Podrapałem się za uchem.

– Czy nie tam mieliście rozpierduchę wywołaną przez huragan... – Pstryknąłem palcami i przypomniałem sobie: – Katrina?

– Tak. Do dziś, a minęły niemal trzy lata, mieszka tam o połowę mniej ludzi niż przed huraganem i powodzią. W każdym razie, w dzielnicy Lower Ninth Ward, a raczej... – zawahał się, jakby sobie uświadomił, że za dużo gada – ...nieważne, sprecyzuję potem... Tam jest właściwy grobowiec Cthulhu. – Westchnął. – Nie myśl, że coś przed tobą ukrywam, guimony dobrze wiedzą, gdzie leży ich bóstwo. To nie jest tajemnicą, zresztą one nie mogą zerwać Klamry i uwolnić Cthulhu. To ponad ich siły, więc nawet jeśli im powiesz, co wiesz, niczego to nie zmieni.

Przeżuwałem to, co usłyszałem. Już wcześniej powiedziałem sobie, że nic mnie nie zdziwi. Skoro mam wierzyć, albo zachowywać się, jakbym wierzył w istnienie guimonów, to co, do kurwy przędzy, może mnie bardziej zadziwić?

– A w Polsce?

Pokiwał głową, jakby czekał tylko na to pytanie.

– Nie tak dawno po raz pierwszy... odkryliśmy, że w stadzie guimonów są ważniejsi i mniej ważni. Przeczuwaliśmy to, bo to naturalny proces: dowódcy i podwładni, kierujący i kierowani, kapłani i trzódka... Ale nie udawało nam się ich odróżnić. Teraz jesteśmy niemal pewni, że tacy biskupi, tfu, istnieją. I ten najpoważniejszy trop prowadzi do Polski. Ale tu koniec. Tu trzeba od nowa, od początku, opierając się na nikłych przesłankach. Wytropić i zlikwidować. Jeśli przy okazji uda się nam wysłać do piekła kilkunastu czy kilkudziesięciu wyznawców kultu, tym lepiej.



– Oni nie są ludźmi w powszechnym tego słowa znaczeniu. Ale co z ich... Jak się bronią przed mandatami za przekroczenie prędkości? Jak korzystają z pociągów? Jak się odżywiają?

Gdzie mieszkają?

– Albo zastępują ludzi zmarłych, albo sami zabijają. Zwłaszcza starych, samotnych... Są na swój sposób przebiegłe, albo taki sposób działania wypracowały... Babunia ciągle żyje, mimo że tydzień temu umierała na oczach sąsiadów, drepcze sobie na targ, do kościoła, na cmentarz... Kto by ją tam karał za cokolwiek? A jeśli nawet ktoś by zamierzał, to guimony pętają jego wolę, mamią, mylą, oślepiają. Policjant, który zatrzyma dziadka za przechodzenie przez ulicę w niedozwolonym miejscu, zdziwi się, gdy po kwadransie odkryje, że siedzi w jakiejś knajpie nad kuflem piwa. Zwieje stamtąd popędzany złym spojrzeniem kelnera, bo, oczywiście, nie zapłaci za wypite do połowy piwo. I tak dalej.

– Jak mawiał Kurt Vonnegut Junior.

– Tak, tak mawiał...

W pokoju skutecznie gasiła ciszę Norah Jones. Słuchałem chwilę jej głosu. Ale nie przyszedłem tutaj po nutki.

– Czyli co? Tu szukamy jakiegoś... Wiesz, tego podfarbowanego gościa z Miedzy nazwałem w duchu kapitanem. Czy takie militarne rozróżnienie ci pasuje? Możemy mówić, że szukamy generała?

– Możemy. Zwłaszcza że akurat on ma nazwę wymawianą tylko przez przypadek... – Poruszył ustami i wypluł: – Fn'thal.

Usiłowałem to powtórzyć, ale nie wyszło mi to nawet w duchu.

– Wiesz jeszcze coś, czym możesz się podzielić ze mną?

Zastanawiał się długi czas, patrząc w podłogę. Jak dla mnie trwało to za długo – musiał przerzucić kilka ton myśli, a to znaczyło, że istnieje kilka ton myśli, do których ja nie mam dostępu.

– Nie. Danych o swojej siatce ci nie podam, bo nie są ci do niczego

potrzebne. A dane o guimonach i ich generale już masz.

– Zabić strzałem w głowę albo zatłuc sygnetem? – sprecyzowałem.

– A co z generałem?

Nie bierzemy jeńców?

– Nie bierzemy! – powiedział z mocą. – Oni nie współpracują, bo nie mogą. To nie są istoty z wolną wolą. Nie dowiemy się niczego, nie podadzą nam żadnych danych. My ich eksterminujemy i koniec. Bezlitośnie i radykalnie. Pamiętaj, że możesz stanąć naprzeciwko garbatego staruszka o lasce albo małej pękatej babuni z puciołowatymi różowymi policzkami, albo wyciągnie do ciebie rękę proszalnym gestem dwunastoletnia uciekinierka z domu!

– Dżizas, to mam strzelać do każdej babci i dziadunia, którzy poproszą mnie, żebym przeprowadził ich przez jezdnię?

– Jeśli mam być zupełnie szczery, to wolałbym, żebyś odstrzelił cztery niewinne babcie, niż przepuścił jednemu guimonowi. Zwłaszcza że on zajdzie cię od tyłu i poderżnie ci gardło pilnikiem do paznokci, który każda taka babunia nosi w torebce.

– Między, kurwa, odcinkami renty? – jęknąłem.

– *Exactly.*

– Tylko jeszcze jeden mały detalik: jak poznam takiego guimona? Jak odróżnię dziadusia poczciwego od gada cthulhowego?

– I to jest dobre pytanie, a na dobre pytania rzadko jest dobra odpowiedź. Tutaj też nie ma. Czasem pomaga – wskazał palcem moją lewą dłoń – pierścień. Innym razem ja. A jeszcze innym sam wyczujesz, że ta babcia, co lezie na ciebie z parasolką, ma w drugiej ręce nóż do trybowania. Zastanawiałem się chwilę.

– Na razie będę się trzymał z dala od domów starców – powiedziałem.

Wzruszył ramionami, co miało oznaczać: „Jak tam sobie chcesz”.

– Nie daj się omotać sączącemu truciznę do mózgu guimonowi.

Kiedy usłyszysz przymilny głosik, wuj albo strzelaj. Nie daj się za skarby świata dotknąć, zwłaszcza gołej skóry.

Coś mi zaczęło świtać. Uniosłem rękę i przez moment łapałem myśl.

– Czekaj, przypomniałem sobie coś... Mówiłeś, że jakoś działa na nie srebro?

Uniósł brwi i wydawszy policzki, odetchnął głęboko.

– Nic nie jest do końca pewne. Guimony ewoluują, z wolna, ale jednak. Tym niemniej wydaje się, że nie lubią srebra.

– Sygnet jest srebrny, nieprawdaż? – drążyłem temat.

– Tak, ale to tylko nośnik. Najważniejsza jest alsterruda.

– Niech będzie, ale jeśli srebro może nam pomóc...

– Proponujesz obwiesić się srebrem jak Mu... Afroamerykanin złotem? – zakpił.

– Nie, proponuję kupić oddychającą bieliznę ze srebrną nitką. Jest wpleciona, bo ma właściwości antybakteryjne. To nie srebrna kolczuga, ale może?

– Hm, nie słyszałem o czymś takim. Ale kupuję.

– Ja też. I to zaraz. Sklep „Bergsona” jest sto metrów stąd.

– Postanowione.

– A co mamy w planie dziś? – Rozśmieszyła mnie pewna myśl, podzieliłem się nią z Jerzym: – Po mszy porannej możemy spotkać najwięcej niebezpiecznych staruszków, pod każdym kościołem.

– Wiem, ale w tłum nie radzę wchodzić. Nie rozśmieszyło go to. Ponurak czy udaje?

Milczał chwilę.

– Gdzie, twoim zdaniem, guimonom najłatwiej znaleźć biednych schorowanych skołowaciałych starych ludzi?

Już miałem powiedzieć, że takich na każdym kroku mamy teraz pełno, ale się powstrzymałem. Gdyby, a taka myśl już wcześniej przyszła mi do głowy, cała ta akcja była jakimś gównem

podrzuconym mi przez Tupoja, nie powinienem się za szybko i za bardzo odsłaniać, że się domyślam. Powinienem rznąć głupa na maksa. Zresztą, obiektywnie, mnie, jako Polaka, wcale to pytanie nie śmieszyło.

– Zawsze są tacy w kościołach, w przychodniach, w ZUS-ie. O! MOPS-y, miejskie ośrodki pomocy społecznej.

– Dobrze, po południu pojedziemy pod taki MOPS. Oni takich właśnie szukają, sprawdzimy, czy się tam kręca. Teraz bym chciał pojechać na jakąś strzelnicę. Gdzie? – Przeniósł na mnie jasne spojrzenie ciemnobrązowych oczu. Myślałem chwilę.

– Dwa warianty: strzelnica policyjna, gdzie mam jakie takie chody, ale to zawsze szansa na dekonspirację...

Pomachał ręką.

– Nie. Dyskrecja.

– No to prywatna. Też jest penetrowana, ale przebieg informacji jest dłuższy i chwiejny, właściciele starają się zapewnić klientom maksimum wygody, w tym psychicznej.

– Kto tam strzela?

– Różnie. Mówi się, że przestępcy też. W zasadzie sprawdzają pozwolenie na broń, ale...

Kiedy pokażę swoje na glocka, to nikt się nie będzie czepiał, że strzelam z czegoś innego.

Popatrzył na zegarek.

– No to jedźmy. – Wstał i zebrał filiżanki. Odnosząc je do kuchni, rzucił przez ramię: – Nie zapomnijmy odwiedzić tego Bergsona, coraz bardziej mi się podoba pomysł ze srebrną bielizną. Czemu wcześniej na to nie wpadłem?



## ROZDZIAŁ 7

Jedliśmy lody, siedząc na drewnianej ławce nieopodal wejścia do Ośrodka Pomocy Społecznej. „Teren zielony” między blokami był zadziwiająco dobrze utrzymany, może dlatego, że bywają tu media z wszechpotężnym telewizorem na czele, sam widziałem.

Ławeczki zawłaszczono przez staruszki, kilku starszych panów. Niemal każdy przychodzący najpierw przysiada się, zbiera informacje: co dają, czy dają, ile dają, jakie mają humory „panie z obsługi”... Nic groźnego, przynajmniej dla nas, dwóch młodych zdrowych byków z podstawową zdolnością bojową.

Słońce przypiekało dość mocno, ławeczki w cieniu były okupowane, musieliśmy zająć taką w słońcu. Bielizna oddychająca sprawowała się jednak dobrze. Kupiliśmy po trzy komplety, szkoda, że była tylko jakaś taka szarobura, ale taki pewnie trend.

W siedemdziesiątej piątej minucie doczłapała do nas pulchna babunia, na oko ponad siedem krzyży, ale wygląd grubasów może ładnie maskować rzeczywisty wiek.

– Uff! – zagała. – Dzień dobry. Otwarte? – Zanim zdążyłem odpowiedzieć, że nie wiem co, cwałowała dalej: – Bo czasem zamykają i nie powiadamiąją. Człowiek lizie tu i całuje klamkę. A to awaria kaloryferów, a to dezynfekcja... Że niby to my takie brudasy zawszone, że muszą się dezynfekować co jakiś czas. Ale my wiemy, że to zawsze jak przychodzi dostawa, grzebią wtedy cały dzień i wybierają. Jeden pan, on tu często bywa, bo z ulicy Zasady jest, ma blisko, to widział, jak po takiej awarii kaloryferów wynoszą całe paki środków higieny, tak, tak! A jak człowiek poprosi o proszek, czy jakieś firanki, to afera! – Pokiwała z oburzeniem I głową. – Panowie z prasy? Tak? No i dobrze – ciągnęła, nie zwracając uwagi na nasze

zaprzeczenia. – Najwyższy czas to opisać, ten bardak tu, to bezhołowie... Kradzieże bezczelne, na oczach potrzebujących – terkotała. – Dobrze, że przynajmniej te złodziejstwa ukrócili, te wymuszanie!

To mnie zainteresowało.

– Wymuszenia? – zapytałem.

– No tak! Przecież tu jeszcze dwa miesiące temu: chodziła banda bezczelnych gówniarów, za przeproszeniem, i zabierała starszym ludziom pieniądze! – Przycisnęła do brzucha torebkę, jakby demonstrując, że teraz i nam taki numer nie przejdzie. – Dopiero jak się pojawili ci agenci, to się skończyło.

– Przepraszam, a jacy agenci? – Jerzy wychylił się, żeby widzieć babusię.

– No ci, co pilnują okolicy – powiedziała zdziwiona, że nie rozumiemy, o kogo chodzi. – Za niewielką opłatą i mamy spokój.

– A ile się płaci?

– Po pięć złotych od łebka. Kto wchodzi, daje pieniądze temu na pierwszym miejscu od wejścia. A on przekazuje następnemu. A chłopaki przychodzą o drugiej i mamy spokój – powtórzyła.

Popatrzyłem na zegarek. Za dziesięć druga. Jerzy chrząknął. Zrozumiałem go.

– To ośrodek ich wynajął?

– Neee tam! A co to ośrodek obchodzi?! Ci tylko patrzą, żeby jakieś lekarstwa zachachmęcić. Myślisz pan, że skąd się potem na bazarze biorą środki opatrunkowe, strzykawki, pampersy? Stąd!

– A ta ochrona to jak się tu znalazła?

– No przecież mówię: łazili tu gówniarze, zabierali co znaleźli, policji ani na lekarstwo! – zasapała oburzona. Słusznie oburzona. – A ci pilnują, szczeniaków już nie ma. Za pięć złotych, panie złoty, mamy teraz raj!

– No tak... – No!

Wystarczy, żeby człowieka przestali bić, i już się czuje komfortowo. Sapnęła i zerwała się na nogi, po czym bez słowa pożegnania poczłapała do budynku. Obliziałem patyczek, wyciągnąłem przed siebie rękę i obejrzałem go ze wszystkich stron.

– Wsadzę go w dupę temu skurwysynowi, który bawi się tutaj w reket – powiedziałem.

– To nie nasza sprawa.

– Wybacz, może nie twoja, ty jesteś zza Wielkiej Wody, pewnie u was emeryt nie musi żebrnąć. – Otworzył usta. – Jeśli zabronisz mi to zrobić teraz, usłucham, ale i tak przyjdę jutro o drugiej, albo pojutrze, więc może lepiej nie marnujmy czasu i jak już tu jesteśmy... – Przerwał tę filipikę, wskazując ruchem brody coś za moimi plecami.

Odwróciłem się. Dwaj modnie podgoleni i wyżelowani z wołomińską elegancją młodzieńcy w czarnych spodniach, półbutach i czarnych koszulach z małym białym logo na kieszonkach, z białymi podkoszulkami widocznymi w rozpięciu kołnierzyków, wolno, godnie i rzeczowo zmierzali do pierwszej ławki. Siedzący na jej brzeжку staruszek uśmiechnął się radośnie – wyraźnie mu ulżyło – i wyciągnął rękę z małą ciemną reklamówką. Jeden z młodzieńców, bez pośpiechu, wyniośle przyjął zapłatę, zerknął do środka, powiedział coś do towarzystwa. Trzy panie pokiwały z uśmiechem głowami, staruszek już się nie uśmiechał.

Widocznie jemu ten raj się aż tak bardzo nie podobał. Zauważył to też drugi z młodzieńców w paramundurze ochroniarza. Oparł stopę na ławce obok nogi dziadka i pochylił się nad nim.

Staruszek odsunął twarz, odchylił się, najdalej jak mógł, ale na pewno słyszał, co mówił reketier. Rumieniec wstydu albo złości wypłynął mu na policzki. Odetchnąłem, przeciągnąłem się trzasnęły stawy.

– Czekaj. Te babusie uważają ich za dobroczyńców, jeszcze wezwą policję, jak się teraz ruszymy! – syknął Jerzy.

Miał rację. Oczekaliśmy, aż młodzieńcy, tak samo wolno i z godnością miną naszą ławkę, nie poświęcając nam więcej niż po jednym krótkim pogardliwym spojrzeniu. Gdy oddalili się o dwadzieścia metrów, ruszyliśmy za nimi. Dogoniliśmy ich, gdy wchodzili w lukę między blokami. Jerzy kopnął tego z prawej w nogę. Zaplątały mu się, runął na ziemię ze szczekliwym „ku-urwa-a?!” na ustach. Ja postanowiłem zrobić sobie przyjemność i wsadziłem pod żebro drugiego lufę Gnata.

– Ani mru-mru! Taki kabaret, znasz? – warknąłem. Wytrzeszczył gały i trwał nieruchomy jak betonowy posąg. Kątem oka widziałem, jak Jerzy siedzi na klatce swojego zawodnika i okłada go po pysku, niestety, tylko plaskaczami.

– Ile takich miejsc obrabiacie, chujki? – zapytałem cicho swój posąg.

– Cz-cztery... – pisnął.

– Od dziś będziecie tam chodzili co dwa dni i sprawdzali, czy ktoś nie zajął waszego miejsca. Gdyby tak się stało, zrobisz im to samo, co my tobie, odstrzelisz jaja, kapujesz?

– Proszę pa... pa...

– Tak, pa-pa, jajca! Zjechałem lufą po żebrach w dół, przeorałem pępek, zaczepiłem o kość miednicy.

– Ja-j... – Nagle się rozplakał. Słoby buchnęły mu z ocz soczyście. – Proszę... nie... ja już nie be...be... nie będę...

– A właśnie, że będziesz. Powiedziałem: jak już wyjdiesz ze szpitala, będziesz co dwa dni chodził i sprawdzał, co się dzieje. Oczywiście, nie bierzesz...

– Sięgnąłem do tylnej kieszeni, gdzie nosił wypchany portfel, imponująca kolekcja kart, dowód osobisty.



– Nie bierzesz, jak mówiłem, Bartku Malicki, żadnych pieniędzy. To, co dziś wzięliście, nie wystarczy wam na leczenie, sięgniecie zatem do swoich kont, na których, mam nadzieję, macie trochę odłożone z reketu...

– Proszę! – ryknął na całe gardło i zachwiał się. Nacisnąłem mocniej lufą na jego krocze, odsunąłem się i teatralnie wbiłem spojrzenie w jego rozporek. Rozlewała się po nim ciemna wilgotna plama.

– To już krew? – zapytałem zdziwiony.

– Błagam! Po zastanowieniu wsadziłem broń do kabury.

– Dawaj komórkę.

Dygocącymi palcami wysupłał motkę z kabury na pasie. Zapisałem w swojej jego numer.

– Dobra, wzruszony twoją skruchą, na razie daruję ci jaja. Pamiętaj jednak, znam twoje dane, zmiana komórki ci nie pomoże. Dorwę cię i będę bezlitosny jak orka. Jeszcze raz... – popukałem go kostkami palców w czoło – ...żeby dotarło do twojego pojebanego zadowolonego z siebie mózgu: otarłeś się dziś o ciężkie kalectwo. Jeśli więc nie chcesz znowu srać w gacie, robisz tak: chodzisz po tych pięciu miejscach i pilnujesz, żeby staruszkom nie działa się krzywda. A najlepiej wróć do szkoły i wyucz się jakiegoś zawodu, bo ja ci na łatwe życie nie pozwolę. Taką mam pierdoloną ambicję: raz do roku ratuję kogoś od życia w grzechu. Won!

Chciał rzucić się do ucieczki, ale podłamały się pod nim nogi, runął na kolana, i – nie zwracając uwagi na spodnie i czarne półbuty – pokutnie pognał na nich precz. Przykucnąłem przy drugim, chwyciłem go za rękę, przewróciłem na plecy, wyszarpnąłem mu portfel.

– Ty, Michałku Wrono, zapytaj Bartka, co jest grane. Zrób dokładnie to, co ci powie.

Inaczej spędzisz dwa tygodnie na urologii, gdzie zaszyją ci dziurę

po siusia, a potem będziesz tylko podglądał ptaszki na ulicy i sarenki w ZOO. Precz!



Nawet nie zabrał portfela. Musiałem go zatrzymać jednym głośnym „stop”. Zareagował jak mistrzowsko wyszkolony owczarek. Cisnąłem mu portfel i pokazałem wylot ulicy. Chwilę później zostaliśmy sami w przejściu.

– Fajnie. Wykonaliśmy dobry uczynek – powiedział Jerzy. – A co dalej?

– Ba! Jest jeszcze wiele dobrych uczynków do wykonania.

Jerzy uśmiechnął się, ale nagle oczy mu spoważniały, choć na ustach jeszcze wisiał lekki uśmieszek. Patrzył za mnie, i to tak, żebym to zauważył.

Zrobiłem krok do przodu i odwróciłem się.

Staruszek, ten, który wręczał gówniarzom w pseudo-mundurach ochrony pieniądze w małej foliówce (teraz uprzytomniłem sobie, że leży ona pod murem), z laseczką, podejrzanie cienką, niemal jak szprycha rowerowa, i tykowata staruszka w loczkach, dreptali w naszą stronę.

– Laska! – szepnął Jerzy.

Też zauważył, że musiała być chyba z tytanu, żeby utrzymać ciało dziadka. Babunia z kolei niosła pod pachą długą cienką parasolkę. Za cholerę nieprzydatną w obliczu upału i zapowiedzi meteorologicznych. Jerzy zrobił krok w bok, przepuszczając parę, ja zrobiłem dwa kroki. Staruszkowie uśmiechnęli się przyjaźnie, przedreptali między nami i zgodnie pomaszrowali ku ulicy. Ruch na niej był agonalny, samochody przejeżdżały raz na minutę.

Patrzyliśmy w ślad za nimi, potem Jerzy uniósł brwi i wzruszył ramionami. Podszedłem pod mur i podniosłem reklamówkę Empiku z kilkudziesięcioma monetami. Zerknąłem do środka, przeważały piątki – świadomi haraczu staruszkowie przychodzili z gotową daniną. Zabić skurrrrrr...

– Uważaj! – powiedział Jerzy twardym głosem. Odruchowo włożyłem monety do kieszeni i odwróciłem się. Para staruszków wracała, ale już nie struchlałym drobnym dreptaczkiem, tylko sprężystym i energicznym krokiem łowców. To było... tak, przerażające – stare ciała, wiotka skóra, wyblakłe spojrzenia i do tego ostry drapieźny krok. Staruszkowi, który ruszył na mnie, zwiotczałe podgardle majtało się przy każdym kroku, nie wiem dlaczego akurat ta część jego postaci przykuła mój wzrok. Potem oprzytomniałem i zrobiłem ruch, jakbym chciał sięgnąć po broń. No nie, w środku dnia, w centrum Warszawy?!

Odsunąłem się na wszelki wypadek i skinąłem na dziadzia.

– Chodź, Piotrusiu Panie.

Dlaczego Piotruś Pan? Nie wiem. Jeśli miało to staruszka zirytować i pozbawić kontroli nad umysłem i ciałem, nie wyszło. Dziadek przestał się opierać na laseczce, uniósł jej czubek, nieprzyjemnie ostry, i zrobił próbny wypad. Stał za daleko, więc się nie poruszyłem. Kątem oka widziałem, że babcia okrąża Jerzego, jakby chciała go wepchnąć w pole działania leciwego kolesia, ten podsunął się jeszcze o krok i znalazłem się w strefie rażenia. Najpierw dźgnął dwa razy laską, bez przekonania, zwiadowczo; uchyliłem się, nie demonstrując przesadnej żywiołowości. Dziaduś wykrzywił cienkie tekturowe wargi i skoczył ostrzej, ciął przed piersią, chciał powstrzymać ruch i dźgnąć znowu, pewnie celniej, ale impet był za duży, laska-szpada opadła do ziemi. Dосkoczyłem i nadepnąłem na nią. Byłem pewien, że dziadek wrzaśnie i wypuści broń, ale tylko dziwnie jęknął i wyszarpnął ją spod

mojego buta; zdążyłem go tylko huknąć w ucho. Dałem podwójnie dupy: raz, że w ostatniej chwili osłabiłem cios – w końcu to taki wątył dziadziś – i dwa, uderzyłem go prawą ręką, a powinienem był lewą, sygnetem. Dziadek zatoczył się, ale zdołał smagnąć laską po moim przedramieniu. Zapiekł, jakby przyłożył mi rozżarzonym prętem. Oż, ty, kurwa twoja bezlitosna! Zanim złapał równowagę, dopadłem go i z całej siły kopnąłem w udo. Rozległ się pożądany i miły trzask kości, noga wykręciła mu się pod niezwykłym kątem, dziadek wydał z siebie ekscentryczne chrapliwe przeciągłe sapnięcie. Pamiętałem o guimonie, moim pierwszym guimonie, który zafasował trzy kulki i mimo to parł na mnie, nie miałem zamiaru popełnić błędu lekceważenia ani, oczywiście, zaniechania. Drugi raz sparowałem uderzenie laski lewym przedramieniem, złapałem guimona za kark i energicznie pochyliwszy, wbiłem mu kolaniem nos w czerep. I nie puściłem, tylko okręciłem go i walnąłem z całej siły w czoło lewą pięścią. Zagulgotał jak kopnięty w jaja indyk i wytrzeszczywszy gały, poleciał na plecy, wolno, jak w zwolnionej projekcji; laska poleciała w bok, niczym słynna kość z *Odysei kosmicznej 2001*. Podskoczyłem do dziadka od strony głowy, nagłym spazmatycznym ruchem poderwałem nogi i usiłowałem j kopnąć, ale ciało go zawodziło, może już i duch opadał w gacie. Kopniak mu nie wyszedł, natomiast ja bez skrpułów poczęstowałem go kujawiaczką w łokieć i ponownie usłyszałem trzask łamanej kości. Pochyliłem się nad gulgocącym guimonem i przyłożyłem mu sygnet do czaszki. Wyprężył się i uleciało mu z ust przeciągłe „o-o-o-ooo”, jakby się zdziwił. Zatelepało nim potężnie, odsunąłem się, bo zacharczał, jakby miał zarzygać całe podwórko, rzuciłem okiem na Jerzego. Trzymał babcię w dźwigni na karku i przykładał jej swój sygnet do szyi. Szyja lepsza od skroni? Nie powiedział tego!

Mój przeciwnik odbił się plecami od asfaltu i wzleciał w powietrze

nie gorzej od nawiedzonych z filmów 3 grozy, choćby z *Omena I*. Zwiotczał. Potem z nagła i nadał się i wtedy serio przestraszyłem się, że – jak w odpowiednich filmach – pęknie i tryśnie z niego koniecznie zielone puree z groszku. Odskokczyłem na cztery metry. Guimon potupał i przekręcił się niczym profesjonalny breakdancer, tak, przysięgam, żeby i mnie widzieć.

Zobaczyłem wytrzeszczone oczy, czarne z czerwonymi źrenicami. Rozbłysła w nich nagle purpurowa salwa, złamany przeze mnie nos zapadł się jeszcze bardziej i w końcu cała postać wpadła w wibrację, do jakiej niezdolna byłaby nawet chińska akrobatka. A potem powietrze nad nim zamigotało, zadrżało jak nad rozpaloną upałem szosą i opadło... na puste miejsce.

Chwilę wpatrywałem się w zakurzony wysuszony słońcem warszawski pieprzony asfalt i pewnie dlatego przegapiłem moment, w którym zniknęła babunia Jerzego. Kątem oka widziałem, że była, że się trzęsała i majtała nogami, a później Jerzy stał już sam, z obrzydzeniem otrzepując ręce. Po jego babci została garstka pyłu, po moim przeciwniku nic.

Czyli zajebałem go skuteczniej niż eksterman? I rym-cyk-cyk i tra-la-la-la, niech się wróg nie przypierdala!

– Znikamy – rzucił Jerzy. – Ktoś mógł widzieć, jak bijemy biednych staruszków.

W samochodzie zapytałem:

– Po moim nie zostało śladu, a po twojej babci było trochę prochu na ziemi.

– Bywa – zbył mnie, najwyraźniej myśląc o czymś innym.

Też chwilę myślałem, też umiem.

– A... słuchaj... zabity guimon znika, tak? – Popatrzył na mnie, ale nic nie powiedział.

Zwolniłem za jakimś czarnym micrym. – Zawsze? Czy zdarza się, że

nie znikają?

Milczał kilkanaście sekund.

– To są najgorsze chwile mojego życia – szepnął w końcu. – Kiedy ciała nie znikają...

– Aha...

Chyba nie było potrzeby drażnić tematu. No to nie drażyłem. Czyli nawet eksterman może dać dupy i zabić człowieka.

*Errare estermanum est...*



## ROZDZIAŁ 8

Teraz, kiedy stracili dwóch swoich – powiedziałem – będą szybko kogoś werbować? – Trzech... Najpewniej już się uzupełnili – odpowiedział, westchnąwszy. – Ich wiedzy o sobie możemy im tylko pozazdrościć.

– A ty nie wiesz, co robią inni ekstermani?

– Dowiem się jedynie, jeśli któryś polegnie.

– Aha... – Zapadła cisza z gatunku tych, których nie lubię. – Wszyscy są... jak ty, zawodowcami? – zapytałem, żeby tylko coś się działo.

– Nie. – Patrzył w kafelki tarasu i masował kostki lewej dłoni. – Tylko ja. Pozostali, zdziwiłbyś się, jak zawodowo odbiegają od działalności ekstermanów.

– W dzień upierdliwy księgowy, w nocy Ninja Światła?

– Coś takiego.

– A ty?

– Co ja?

– Skąd się wziąłeś w tym ekskluzywnym gronie?

– Ja... Ja nie wiedziałem, że mój przyjaciel jest jednym z tej czwórki. Potem guimony rozszarpały mu siostrę, jedną z sióstr bliźniaczek, drugą zdołał uratować, ale zranili go śmiertelnie. Kiedy go odwiedziłem w szpitalu, opowiedział mi wszystko, a ja, oczywiście, wziąłem to za majaczenie wykrwawionego ciężko rannego człowieka. Zgodziłem się jednak na wszystko, on zmarł, a ja nagle poczułem, że jestem ekstermanem.

– Oczywiście pomściłeś go?

– Nie kpyj – rzucił ostro. – Pomściłem, oczywiście. Musiał się zezłościć, po raz pierwszy usłyszałem obcy akcent: „Nie kpyj”...

– Pardon. To nie była kpina, tylko pytanie-stwierdzenie.

– W porządku.

– To co dalej robimy? – zapytałem po chwili. Siedzieliśmy na tarasie kawiarni „Fantazja”, sączyliśmy przeciętną kawę, po ściankach pucharków spływały na dna resztki lodów. Było pustawo, i w kawiarni, i na ulicach. – Aha, zapomniałem powiedzieć: kiedy mój guimon złapał mnie za rękaw, to chyba się oparzył. Wygląda więc na to, że te koszulki ze srebrem działają.

– Nie napawałbym się sukcesem – powiedział Jerzy. – Gdyby srebro działało jakoś szczególnie mocno na wszystkie, życie stałoby się znacznie lżejsze. Na niektóre działa, na inne w ogóle. Nie wiemy dlaczego widać jednak i one ewoluują, czy może inaczej: dyferencjują?

– Nie musiałeś mnie tak gasić – poskarżyłem się. Przez chwilę byłem z siebie dumny.

– I dobrze. Zatłukłeś dwa guimony w ciągu dwóch dni. To bardzo dobry wynik.

– A jakby tak rzucić się do ostrej roboty i tłuc właśnie tak, po jednym dziennie? Nie udałoby się ich wytępić? Czterech ekstermanów, każdy po kilku pomocników? – Wyraźnie się rozkręcałem. – Jakby tak siatkę powiększyć? Pokręcił głową.

– Gdyby oni siedzieli w jednym mieście, to może... Ale są porozrzucani po całym globie, a my nie jesteśmy supermanami, co to mogą na skrzydłach pelerynki dolecieć do Libanu w trzy minuty. To raz. Po drugie, istnieje coś takiego, jak chwiejna, ale jednak równowaga: my ich tłuczemy, oni nas, raz świat ma się gorzej przez nich, raz lepiej przez nas. Kto wie, co będzie, jeśli ruszymy do zacieklej wojny? I kto wygra? Przecież co jakiś czas ekstermani giną... Nie jest powiedziane, że z każdego pojedynku wychodzimy zwycięsko. Oni wkradają się do domów, czyhają na ulicach, miażdżą



samochody ekstermanów za pomocą rozpędzonych ciężarówek, i wreszcie, wysadzają w powietrze kawiarnie, domy, łodzie... Tak, tak. – Uniósł brwi, widząc niedowierzanie w moich oczach. – Jeśli uda im się przybrać powłokę emerytowanego sapera, nieszczęście gotowe. Dotrze taki do zasobów, zmontuje bombę i *bye, bye* – Pomachał łapką.

– Kurde, nie lubię.

– Myślałeś, że zawsze to będzie jakaś babusia z parasolką? O nie, mój drogi. To może być snajper, kowal, cyrkowiec... Tyle tylko się powtarza, że bardzo rzadko są to ludzie w sile wieku, nie wiem dlaczego przede wszystkim „zasiedlają” dzieci i starców. Może dorośli mają mocniejsze charaktery, może przestają wierzyć w takie rzeczy? W każdym razie za mojej pamięci nie było mężczyzny w tak zwanym rozkwicie czy młodej kobiety. Ludzie między dwudziestym a pięćdziesiątym rokiem życia są jakby chronieni.

– No, pięćdziesiątka to jeszcze nie takie zejście – mruknąłem.

Mój ojciec ma pięćdziesiąt cztery i co któryś raz daje mi wygrać w naszym prywatnym triathlonie: dwadzieścia kilometrów biegu, dwa pływanie, czterdzieści roweru. Nie chciałbym się z nim bić nawet w czterech parach gaci ze srebrnymi lampasami.

– Jasne, ale, na szczęście dla nas, guimony wybierają nie... Albo inaczej, nie wybierają najlepszego materiału. Albo ludzie silni zdrowi są poza ich zasięgiem i *jarkie*, te tureckie chuże, mogą sięgać tylko po jednostki w jakiś sposób psychicznie słabsze czy wręcz umierające, albo są głupie i leniwe i rzucają się na takie łatwiejsze. Nie wiadomo.

Cisnął na stół kartonik z reklamą kawiarni i kalendarzem, który obracał w palcach i którym irytująco postukiwał w blat stolika.

– Czy one was wyczuwają? A ty ich?

– Tak. I to, i to. Ja z daleka widzę guimona, ale na przyległej ulicy już nie wyczuwam.

One – nie wiem, chyba lepiej węższą – jakoś do nas docierają.

– Dość lekko o tym mówisz – rzuciłem prowokacyjnie.

– Och, przywykłem już do myśli, że jestem trochę zwierzyną i że się im kiedyś uda. Po drugie, mam przekonanie, że coś w życiu zrobiłem, to cholernie ułatwia pokonanie trasy do śmierci. I pewnie by się jeszcze znalazło „po trzecie” i „po czwarte”, ale po kij to komu?

Popatrzył na zegarek.

– Mamy coś do zrobienia czy ty masz coś do zrobienia? – zapytałem, żeby mu ułatwić pozbycie się mnie.

– My. Patrzą, jak stoimy z czasem... Okej. Rozejrzał się i przywołał kelnerkę. Miała spodnie opuszczone już poniżej bioder, chyba trzymała je na sobie, zwierając pośladki.

Zasadniczo nie mam nic przeciwko aktualnej modzie, ale jeśli się nie tańczy na rurze, to wzgórek łonowy powinien być ukryty w gaciach. Ale co mnie to?

Jerzy zamówił zimną colę, ja tonic z lodem. Słoneczko miło wyhamowywało na koronie drzewa, nie musieliśmy się kryć pod parasolem. Siedziałem, czekałem na swoją szklaneczkę chininy, bezmyślnie kręciłem sygnet na palcu. Dziwnie się lokował: nie dawał się zdjąć, ale obracał się swobodnie, jakby od środka był pokryty teflonem.

– Hu już ich zatłukłeś? – zapytałem, gapiąc się na nielicznych przechodniów.

– Dziewiętnastu.

– A ile czasu...? – Podeszła kelnerka, odczekałem, aż rozstawi szklanki i odejdzie, nie zaszczyliłem spojrzeniem jej wylewających się z biodrówek bioder. – No, działasz?

– Siedem lat. Przeciętna nie imponuje, co?

– Czterdzieści byłoby lepiej, pewnie że tak – przyznałem. – Ale głównie wiem o sprawie, nie mnie to oceniać... Hej, znikaj, mały!

Dwaj dwunasto-, trzynastolatki, którzy powinni jeszcze siedzieć

w szkole, dzierżący pęk podwiędłych róż , wcisnęli trzy młodzieńcowi, tokującemu jak na pierwszej randce o dwa stoliki dalej. Ruszyli w naszą stronę, mimo moich przeganiających gestów.

– Pan kupi różę – jęknął pierwszy, z nadłamaną dolną dwójką.

– Powiedziałem: znikaj. Idź odrobić lekcje.

– Szkoła jest w remoncie – rzucił drugi beczelnym tonem.

Nie lubię. Zamaszyście odsunąłem wolne krzesło, przekonany, że prysną jak wróble na widok kota, ale twardo stali. Wyciągnąłem rękę do tego beczelnego, chwyciłem go za ramię.

Nagle ten drugi zrobił błyskawiczny wypad i chlasnął mnie po drugiej ręce kwiatami. Lewą trzymałem beczelnego, prawa mi zdrętwiała, nie wiem, gdzie patrzyłem, bo jednym kątem oka zobaczyłem, jak beczelny kwiaciarek wykrzywia się i kręci ową w nieprawdopodobny sposób, drugim kątem oka strzegłem, jak Jerzy podrywa kopniakiem metalowe krzesło i chwytając je w locie, uderza w klatkę piersiową szczerbatego. Usiłowałem podnieść prawą rękę, ale wisiała jak podgardle indora. Zacisnąłem lewą z całej siły, szarpnąłem gówniarzem do siebie i od siebie, iż chciałem wypuścić szczyła, gdy strzelił we mnie dojrzeniem. Nie miał oczu dwunastolatka, błyszczało w nich tyle złości i zapiekłej nienawiści, że mógłby nią dobrym skutkiem zatruć połowę miasta.

Jeśli miałem jakieś wątpliwości, to wyparowały w tej właśnie chwili. Majtnąłem chłopakiem i choć nienaturalnie mocno jak na swoją posturę się opierał, udało mi się ustawić go bokiem do siebie, po czym z całej siły kopnąłem go w klatkę piersiową. Nie zdołałem go utrzymać, choć taki miałem zamiar. Wyrwał mi się z ręki, przeleciał przez płotek ze skrzynkami begonii, poderwał się na czworaka i nie podnosząc, pomknął wzdłuż płotku.

Drugiego Jerzy dusił lewą ręką, wykręcając mu jednocześnie głowę... Czekałem na trzask kręgów, ale ciągle go nie było, choć

dzieciak patrzył już niemal na swoje plecy. Za nami rozległ się przeraźliwy wrzask, brzęk tłuczonego szkła. Zrobiłem krok i trzepnąłem napastnika w tył głowy sygnetem. Dopiero teraz zadygotał, ugięły się pod nim nogi, runął na kafelki tarasu. Jerzy odskoczył, chwycił stolik z naszymi napojami i zwałił go na leżącego.

– Spadamy! – syknął.

Było już za późno. Od skrzyżowania biegli ku nam dwaj policjanci. Musieli po drodze minąć pomykającego na czterech kończynach gówniarza, chyba że się wyprostował i udawał, że odrabia lekcje, kurwa mać! Z kawiarni wypadł wysoki chudy szkieletor i przywołując lewą ręką policjantów, drugą, upstrzoną starczymi plamami i drżącą, wskazywał nas.

– Oni! Pobili dzieci! – darł się wysokim dyszkantem. – Faszyci! Zbrodniarze! Dzieci biją!

Jeden policjant zręcznie przesadził płotek, drugi dobiegł do furtki i zmierzał w naszym kierunku. Staliśmy w epicentrum wybuchu: wywrócone dwa stoliki, kilka krzeseł, szkło, napoje...

– Co się tu dzieje? – zapytał ten skaczący.

– Podeszła para bezczelnych gówniarzy z różami, nic chcieliśmy kupić od nich kwiatów, to obrzucili nas wyzwiskami, a potem rzucili się do bójki. Broniliśmy się, choć to zabrzmiało głupio, bo napastnicy mieli po trzynaście lat – powiedziałem. W prawej ręce poczułem mrowienie. Udało mi się ją unieść, miałem widowiskowe pręgi, jakby dwa koty testowały moje przedramię jako drapak. Coś dla Pixela. – Proszę. – Pokazałem zadrapania policjantom.

Jeden uniósł brew, drugi się rozejrzał.

– A gdzie oni są?

– Jednego przerzuciłem przez płotek. Biegł w waszym kierunku. Musieliście go mijać. W zielonym T-shircie z napisem „Brasilia”. – Zerknęli na siebie, mijali go. – Drugi przewrócił się przez krzesło, i... –

Odchyliłem się i popatrzyłem na leżący stół. Nie było tam nic. – Pewnie bryknął na wasz widok. Ja go nie widziałem.

– Wywinął się spod mebli i zwiął – powiedział Jerzy. Spokojnie podniósł krzesło i stuknął nim kilka razy o ziemię, żeby strząsnąć szkło albo colę. – Zapłacimy, oczywiście, za szkody...

– Napadli na dzieci! – zaskrzeczał chudy piernik. Powstrzymałem się od znaczącego spojrzenia na Jerzego: pewnie ich pomagier!

– Zaraz z panem porozmawiamy – rzucił przez ramię policjant. Odwrócił się do nas: – Można prosić...

– Daj spokój – syknął kolega. – Te gnojki kradną kwiaty, albo zbierają ze śmietników, a potem my zbieramy ich nawalonych w cztery litery. – Uśmiechnął się służbowo. – Incydent uważamy za wyczerpany.

– My też – zgodził się Jerzy. Obrócił się i przywołał z uroczym uśmiechem kelnerkę. – Proszę jeszcze raz to samo. I rachunek, łącznie ze szkłem, jeśli ma to panią obciążyć! – zastrzegł się.

– Nie, to idzie w kosza – powiedziała cicho. – Już niosę.

Przesunęliśmy się o stół dalej, postawiwszy na nogi krzesła i stoliki. Usiłowałem wypatrzeć na płytkach tarasu ślady pyłu. Nie było go, zerknąłem na Jerzego.

– Wymknął się – rzucił przez zęby. – Jak wąż. Prześlizgnął się przez płótek, gadzina.



Dziadek bełkotał coś o napadzie na niewinne dzieci, wymachiwał rękami tak, że policjanci musieli cofnąć się o krok, żeby nie dźgnął ich palcami w dziurki nosów. Jeden sięgnął do kieszeni i wyjął notes, dziadek nagle umilkł, wbił się szczapami ramion w lukę między nimi i

przepchnął jak przez luźne sztachety płotu. Roztrąciwszy zaskoczonych policjantów, ruszył długim krokiem w kierunku skweru po drugiej stronie ulicy. Policjant z notesem popatrzył na kolegę, ten wzruszył ramionami i się skrzywił.

Incydent wyczerpany.

– Idziemy za nim? – zapytałem cicho.

– Nie trzeba. Jest pasiony. Aha. Dobra. Skoro ktoś go pilnuje, to możemy spokojnie wypić zamówione napoje. Usiadłem przy swoim stoliku. Policjanci naradzili się, podeszli do nas.

– Jeśli można, poprosimy o dane panów, musimy je mieć do raportu o interwencji – powiedział ten z notesem.

Podąłem mu prawo jazdy. Jerzy uśmiechnął się przeproszająco.

– Ja mogę tylko podyktować, nie mam dokumentów przy sobie.

– Nie szkodzi – szybko zareagował ten z notesem.

– Pana dane w zupełności wystarczą.

Zapisał, co tam chciał, i poszli sobie.

– To nie był przypadek, co? – zapytałem, odczekawszy, aż kelnerka poda nam napoje.

Pomyliła się i postawiła przede mną colę, tonic przeznaczając dla Jerzego. Zamieniliśmy się.

– Jak to się wyraziłeś: pasą nas?

– Na pewno. – Umoczył usta w coli i się skrzywił.

– Jaki zatem mamy plan?

– Czekam jeszcze na pewne dane i chyba się ruszymy z Warszawy.

– Mniej więcej dokąd?

– W tej chwili więcej mniej niż więcej. Wiedzy brak – powiedział, uśmiechając się wymuszenie. – Zależy od tego, co do mnie spłynie.

Zastanawiałem się przez moment, potem zdecydowałem: – A powiedz mi, czy nie można by zorganizować większej siatki, no takich pomocników ekstermanów, na całym świecie, uderzyć w sposób

zsynchronizowany, postarać się wybić ile można tych guimonów?

Od razu, gdy tylko wyemitowałem to pytanie, poczułem, jak głupio zabrzmiało.

– Myślisz, że to, co robię, jest oficjalną operacją Departamentu Obrony czy innej agencji państwowej?

– Pokręcił głową. – Ponieważ mój szef należy do wtajemniczonych i przekonanych, to wykorzystuje swoje osobiste znajomości, żeby działać bardziej lub mniej legalnie. Kiedy się zmieni u was ta wymieniana już kilkakrotnie opcja polityczna i zerwie się kontakt osobisty waszego szefostwa z moim szefem, ustaną działania.

– No, mogę sam działać.

– Na to liczę. – Uśmiechnął się i trącił mnie pięścią w ramię. – Takich aktywnych współpracowników też jest trochę na świecie. Około czterdziestu. Ale mają w różnym stopniu skrępowane ręce. Ty przecież też musisz działać tak, jakbyś nie działał, prawda?

Przytaknąłem, a potem zapytałem:

– Możemy pójść za tym dziadkiem i wywiedzieć się, kto go zwerbował... Ach, już sobie przypomniałem, oni sami nie wiedzą, tak?

Znowu odpowiedział mi skinieniem głowy. Dziwna ta nasza akcja: albo siedzimy i gadamy godzinami, albo siejemy śmierć wśród staruszek i wyrostków.

– Ciekawe – powiedziałem – jak załatwiają takie sprawy. My zabiliśmy dwoje staruszków, i co? Nikt się tym nie zainteresuje.

– W gazetach jest sporo ogłoszeń o zaginięciu starszych ludzi – rzucił niedbale.

– No tak, i młodzieży. Wszyscy sądzą, że dzieciaki są na gigancie. – Odsunąłem swój tonic, odechciało mi się pić. – Idziemy?

– Jeszcze moment. – Wyjął telefon i chwilę poklepywał klawiaturkę. – Możemy iść.

Ciekaw byłem dokąd, ale zmilczałem. I tak zasypywałem go

pytaniami jak dziewczica matkę przed nocą poślubną. Zostawiłem na stoliku pięćdziesiąt złotych, pomachałem do kelnerki, ruszyliśmy – czego się spodziewałem – na skwer, śladem starszego pana, który stawał w obronie niewinnych kwiaciarczków. Przemierzyliśmy alejkę w cieniu starych kasztanów, ominęliśmy niedawno uruchomioną po półwieczu niemocy fontannę i wyszliśmy na Szarą. Jerzy skierował się bez namysłu w lewo, po kilkudziesięciu metrach przeszliśmy przez jezdnię i weszliśmy do wysokiej chłodnej bramy. Interesowało nas, jak się okazało, mieszkanie numer cztery. Drzwi wyglądały solidnie, jak zawsze takie stare „przedwojenne” drzwi, choć zdobiona półkolumienkami płyta była pewnie strupiesząca i wyleciałaby z trzaskiem pod pierwszym kopniakiem. Bez sekundy wahania Jerzy nacisnął klamkę i znaleźliśmy się w mieszkaniu.

Panowała tu cisza, duszny chłód i mocna stęchlizna, czyli to, czego się w takim lokalu można było spodziewać. Długi i wąski jak tramwajowy wagon przedpokój prowadził do rozwidlenia na końcu, po drodze, po prawej, łypiąc na nas czworogiem drzwi. Za pierwszymi była łazienka z ubikacją, długa jak diabli, przy biegunce można by podać architekta do sądu.

Za drugimi zachłamiona do stopnia przerażającego spizarka, zwyczajny domowy śmietnik; za trzecimi drzwiami była kuchnia, z emaliowaną archaiczną konchą zlewu, łyskającą plamami odbitej emalii kuchenką marki – o matko! – Junkers, lodówką z czasów, kiedy na miejscu wrocławskiego Polaru szumiała i kołysała się buraczana nać. Ze strachu, że zobaczę w jej wnętrzu mortadelę sprzed trzydziestu lat, nie dotknąłem nawet drzwi. Drzwi na końcu korytarza prowadziły do sypialni. Muzeum sypialnictwa: nachtkastliki, na każdym lampka z malowanego w „picassowski” wzór szkła – jak komuś udało się przeżyć dwadzieścia czy czterdzieści lat i nie rozbić takich nieporęcznych lampek? Podwójne małżeńskie łoże, używane



tylko w połowie, druga, nienaturalnie gładka, jakby wyprasowana, trzymała widocznie ważne dla kogoś ciepło innego ciała. Ogromna, na wysoki połysk, szafa.

– Idę tam – powiedziałem, wskazując drzwi naprzeciwko.

– Yhy – mruknął Jerzy, stając przed szafą, wielką jak gomułkowska wnęka kuchenna.

Pokój po lewej był olbrzymi, odpowiednio wielgachne łukowate okno z trzema otwieranymi skrzydłami, zastawiony kaktusami parapet. Gdy podszedłem do okna, okazało się, że niektóre kaktusy nie zdołały przeżyć zafundowanej przez hodowcę chyba wielomiesięcznej suszy. Biblioteczka z dwiema seriami *Przyjaciółki* i *Książki dla mas* oraz dwiema półkami bezładnej zbieraniny romansów, kryminałów i powieści milicyjnych – Maigret, Kosteczki, Zeidler-Zborowski, Chmielewska, MacLean, Chandler, Kłodzińska.

Przejrzę może potem.

Biurko, dwa metry na jeden, moje marzenie, ale w koszmarnym stanie – szuflady brak, zamki w obu szafkach wyłamane chyba jeszcze przed moim urodzeniem, blat w kilku miejscach ze spuchniętym, wypaczonym i popękanym fornirem. Wypalony na biało ślad po żelazku. Nawet dla dobrego renowatora co najmniej parę tygodni wyteżonej pracy. Obok biurka, z prawej, stos kolorowych pism i *Nie*, do czytania którego nikt dobrze wychowany przyznać się nie może, a ćwierć miliona nakładu rozchodzi się między niewychowanych. Po kilku kilogramach tego typu rozrywki znalazłem siedem kolejnych numerów *Strażnic*.

– Co to? – zapytał Jerzy. – Co czytał?

– To pismo świadków Jehowy – powiedziałem. – Ale wygląda, że to zainteresowanie sprzed roku czy dwóch, z lokalizacji w stosie sądząc. – Rzuciłem pisma na stertę. – Znasz dowcip, jak facet otwiera drzwi, a tam stoją dwaj inni i jeden mówi: „Jesteśmy świadkami Jehowy”. A

gospodarz na to zdziwiony: „Świadkowie? A co, żeni się?”.

Prychnął grzecznym śmiechem. Zaczęliśmy wspólnie grzebać w kawałku życia kogoś, kogo widziałem przez chwilę i pewnie już nie zobaczę.

A właśnie.

– To był guimon?

– Tak.

– Hej, no to mamy na koncie cztery okazy w dwa dni. To nie jest najgorszy wynik, nie?

– Taki sobie. Zawsze na początku jest łatwo, potem one się rozpraszają, kryją, uciekają albo grupują, i już nie jest tak miło.

Miło to już na pewno nie jest: przecież przed półgodziną zostaliśmy zaatakowani, to ma jakąś tam swoją wagę.

– Nie, to nie ma sensu, chodźmy na świeże powietrze – powiedział Jerzy po kwadransie.

– To standard. Oni nie prowadzą dzienników, nie zapisują telefonów... – Chwytał do ręki i pomachał postrzępionym trzydziestodwukartkowym zeszytem w błękitnej okładce z wypłowiałymi adresami w środku. – Ani jednego wpisu młodszego niż sześć lat...

Skinąłem głową, wystartowałem pierwszy do drzwi. Po minucie byliśmy na ulicy. Czarne clio Jerzego cudownym sposobem zaparkowało przy chodniku. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Udałem, że się niczemu nie dziwię, wsiedliśmy i ruszyliśmy przed siebie.

– Tak na twój węch, gdzie może być najwięcej guimonów?

– Zastanawiałem się nad tym wcześniej.

– Jeśli one zawsze nurzają się w tłumie potencjalnych kamratów, to widzę Częstochowę, Toruń, parę co większych sanktuariów, Licheń, Piekary Śląskie...

– A Toruń dlaczego?

– Radio Maryja.

– A?! – To mu jakoś umknęło. Zmarszczył czoło. – Przybliź?

– W kilku słowach? Bo za wiele nie wiem – zastrzegłem się. – Mówi się o tym: Imperium medialne. Radio o dużym zasięgu, redemptorysty Rydzyka, nadaje też w Stanach i Kanadzie.

No bo i tam można podoić. Jakaś wyższa szkoła o rozmytym profilu i podejrzanym poziomie. Do tego gazeta *Nasz Dziennik* i telewizja *Trwam*, ale tu już zdecydowanie słabiej oddziałuje. Mimo wszystko wierni chcą ciekawego programu, a im to nie wychodzi. Rydzyk to przywódca tak zwanych moherowych beretów, bo wszystkie te babcie jesienią przywdziewają je niczym żołnierze Budionnego budionówki. Niepodważalny dla nich autorytet, wyłamujący się spod kontroli władz kościelnych, żądny władzy satrapa i tak dalej. Ciemnogród to oni.

– Dużo ich tam?

– Podobno mnóstwo. Ja mam wiedzę tylko z telewizji, jak coś się dzieje, to są tłumy.

Agresywnych staruszków, przepędzających kamerzystów, bo „pokazują wszystko nie tak, jak jest naprawdę”. Szacuje się, że to kilkumilionowy wierny elektorat, oceny się wahają, miało być od czterech do ośmiu milionów, teraz podobno mniej, około dwóch. Wymierają, zmieniają poglądy, tetryczeją...

– Z Warszawy mamy do Torunia niezbyt daleko,

– Co?

– Bliżej niż do Częstochowy, a Licheń to me wiem, musiałbym sprawdzić. Sprawdzić?

– Potem, nie śpieszy się. Zresztą, może dostaniemy inny namiar. Zgrupowanie wiernych nie musi być od razu ośrodkiem ich działania... – Włączył kierunkowskaz i skręcił w lewo. – To może być szpital, sanatorium, nawet prywatny dom.

Zadzwoił telefon, nie mój, Jerzego. Wysłuchał formacji, skwitował ją lakonicznym „OK”, nawet nie wiem, czy po polsku, czy po angielsku.

– Gdzie cię podrzucić? Zastanawiałem się przez moment.

– Do domu – zdecydowałem. – Mam kota do wyczesania.

Chyba nie usłyszał drugiej części wypowiedzi. Prowadził pogrążony w namyśle. Nie przeszkadzałem mu, tylko czujnie śledziłem drogę, by w chwili zagrożenia zareagować, ale nie było potrzeby.

Pixel wcale się przesadnie nie ucieszył z mojego powrotu.

Będę musiał wyłączyć mu ten programowany samoczynny automatyczny rzutnik laserowej „myszki”, który włącza się co godzinę, by przez cztery minuty ganiać po podłodze, od balkonu do przedpokoju, dostarczając kotu uciechy i eliminując mnie z grona istot niezbędnych mu do życia. No, przesadziłem, puszeki nikt poza mną mu nie otwiera, ale co do rozrywek – kosztujący czterdzieści funtów prezent od siostry pozbawił mnie złudzeń.



## ROZDZIAŁ 9

W kolanie ulicy Improwizacji, równoległej do Encyklopedycznej – konia z rzędem temu, kto, poza mieszkańcami okolicy i rodzinami pochowanych na pobliskim cmentarzu wie, gdzie to jest – znajduje się prywatna strzelnica „Kanonada”. Kiedyś Ludowe WP miało tu taką młodzieżową czy może przedszkolną filię swojej strzelnicy dla dorosłych. Tam, w dorosłym gronie działy się rzeczy nie zawsze odpowiednie dla oczu młodych sprzyjających ustrojowi, bo przecież innym nie dałoby się broni, nawet małokalibrowej, do ręki, dlatego ktoś wpadł na pomysł, żeby gówniarzy wysyłać na drugi koniec świata, niech tam sobie podziurawią wały i las z kabekaesow. Szymon z partnerem wykupili to za legendarną złotówkę i teraz tu szlifowały rękę i lufy tuzy stołecznego strzelectwa. Nie bardzo lubiłem tu przyjeżdżać, choć lubiłem właścicieli, zwłaszcza Tomasza. Mimo to zdarzało mi się bywać w „Kanonadzie”. I służbowo, i prywatnie.

Gdy byłem tutaj dwa dni temu z Jerzym, firmą sterował Tomek, dzisiaj byli obaj.

Uściskaliśmy się, poprosiłem o stanowisko z brzegu, dalszego brzegu. Miało się zwolnić za pół godziny. Wypiłem energetycznego bezalkoholowego drinka z czerwonego grapefruta, siedząc w kącie niemal całkowicie zasłonięty kompozycją z zamiokulkasa i zwisających z donicy pnączy. Jak mówiłem Jerzemu, można tu było spotkać ludzi z firm, ludzi biznesu, strzelających dla przyjemności, dla szpanu lub z obawy o swoje bajońskie życie, zdarzali się też ludzie, których potem widzieliśmy na ławie oskarżonych, że tylko wspomnę „Kalarepę” Kalacińskiego z gangu „Pstrego” czy „Wajchę” Wachowicza, albo psychola „Bezdomnego”.

Wolałem więc nie pokazywać się tu przesadnie, choć chodziło mi

raczej o to, by nikt z mojej czy innych firm nie widział mnie z Gnatem. Dlatego w torbie miałem oba pistolety.

I to właśnie od Glocka zacząłem strzelanie. Odpukałem uczciwie sześć serii na oba dystanse, potem zrobiłem sobie przerwę na napoje, wyjąłem stopery z uszu, rozejrzałem się dyskretnie. Dwa stanowiska obok mnie były puste, pewnie zawdzięczałem to Tomkowi, potem strzelał jakiś gostek z dużym brzuchem, typ dobrodusznego karczmarza, który z gardła lub tyłka, bez różnicy, opornego klienta wyszarpię monety za kufel piwa, w czwartej strzelała para młodych, o dziwo – to ona była ta kompetentna, on chłonał jej nauki, ale najchętniej zapuszczał żurawia w dekolt, na którym producent zaoszczędził jedną trzecią materiału.

Czyli mogłem działać.

Wyjąłem Gnata i odczekawszy na początek salwy ze stanowisk po prawej, włączyłem się do zabawy. Magazynek ze specjalną antyguimonową amunicją odłożyłem na bok.

Strzelałem już z Jerzym z Gnata, znałem już więc jego wagę i zadziwiająco mały odrzut, a dużą celność. Dziś te paradoksy tak mnie nie dziwiły, dzisiaj usiłowałem spleść z Gnatem nić porozumienia. Miałem ją kiedyś z Makaronem, ale krótko, bo przeszedłem na Glocka, z którym współzycie mi się nie układało. Niby był niezawodny, niby urodziwy, i celny, i poręczny, ale jakiś... jakby nie dla mnie stworzony. Tak samo kiepsko czułbym się w mercu, nie podobał mi się żaden, żadnego nie łaknąłem, i byłbym zły, gdyby mi ktoś sprezentował taki wózek – musiałbym przyjąć, po cichu sprzedać i zerwać stosunki z ofiarodawcą.

W przeciwieństwie do pistoletu, który dała mi firma, merca nikt mi nie wciskał. Strzelałem godzinę z Gnata. Niestety, nie zrodziło się między nami żadne głębsze, bardziej „ogniste” uczucie. Trudno, miałem nadzieję, że rozwinie się później.

– Jak się strzelało? – zapytał Szymon, gdy wróciłem do barku i przekazałem mu torbę.

Otworzył elektroniczny zamek i położył torbę w przegródce z numerem siedem.

Wydawało mi się, że chce zapytać o coś innego.

– Z glocka normalnie, choć bez rewelacji. Z tego drugiego gorzej, ale bardziej go lubię – powiedziałem. – Można tequilę?

– Już. – Nalał mi kieliszek schłodzonej, podzielił dwoma ostrymi cięciami limonkę na ćwiartki i podał.

– Jakiś bombowiec?

– Desert eagle – rzuciłem niedbale.

Nie znosiłem nowobogackiej czy też młodojapiszońskiej manieri solenia dłoni do tequili.

Poruszyłem kieliszkiem, a gdy alkohol zwilżył jego ścianki oprószyłem ją szczyptą soli.

Pomijam, że mało kto tak pił tequilę i wychodziłem na szalenie oryginalnego znawcę tematu.

No i tak mi smakowała bardziej. Wypiłem.

– Mało tego w Polsce. – Szymon odczekał, aż wykonam swój rytualik.

Włożyłem do ust limonkę, więc nie mogłem od razu się odezwać, żeby nie spryskać śliną barmana-właściciela.

– Ma-ho! – „Mało” udało mi się powiedzieć bez zaślinienia okolicy. Przełknąłem wszystko, ślinę i limonkę.

– Nowa zabawka, niestety, tylko do pobawienia.

Nie wszyscy i nie wszystko muszą o mnie wiedzieć. Uniósł brew i skrzywił się: „Takie życie”. I zaraz przeniósł wzrok za moje plecy. Wydawało mi się, że uczynił to znacząco, zerknąłem w lustro. Zbliżała się do nas blondynka z torebką, taką co to mieści rocznik Dziennika Ustaw RP, dwa zestawy do manicure’u, palmtopa i dwa terminarze, i

trochę drobiazgów. Poza tym miała grzywkę jak York i rasowy bajerancki plecak-kartusz, w którym na pewno ukryła rasowa i bajerancką spluwę. Z rozmachem cisnęła jedno i drugie na blat.

– Witaj, Szymonie – powiedziała. Przypominała jako żywo aktorkę... tę, cholera, co to się zamieniła płcią ze Stevem Martinem? A, Birkin?! Nie... Barkin! Barkin!

– Dzień dobry, panu – dodała, patrząc przed siebie.

Złapałem jej spojrzenie w lustrze za plecami Szymona.

Skinąłem głową i udałem, że powiedziałem coś powitalnego.

– Można gruszkę?

Szymon uśmiechnął się lekko i podniósł dłoń, w której trzymał już kieliszek z – zapewne – absolutem *pears*. Wyciągnął rękę w kierunku... stawiałem na wiceprezeskę banku, radcę prawnego albo właścicielkę fabryki minibusów.

– Pani mecenas nie zmienia przyzwyczajień – odezwał się Szymon, stawiając kieliszek na serwetce.

Wzruszyła ramionami. Pani mecenas, powiedział do mnie Szymon. Dlaczego? Wypiła, oblizwała wargi. Ale nieprzekonująco. Grała coś od wejścia do baru. Co? I dla kogo? Musi dla mnie? Cicho zagruchał telefon. Szymon podniósł słuchawkę, po sekundzie powiedział „już idę” i zwrócił się do nas: – Muszę państwa na chwilę przeprosić? Czy coś podać już teraz?

Pokręciłem głową.

– Na razie dziękuję, Szymonie. Tylko torbę. Wyjął ją z sejfu. Wyszedł, cicho sączył się jakiś dżezik z niewidocznych głośników. Sięgnąłem po miseczkę z orzeszkami, wygrzebałem garść i wrzuciłem połowę od razu do ust. Tak lubiłem.

– Pan Kamil Stochard, jeśli się nie mylę? – powiedziała pani mecenas. – Komisarz Kamil Stochard, zwany Kosą?

– Niech sobie pani nie wyobraża niczego nadzwyczajnego –



odparłem, odwracając się do niej. – To tylko od inicjałów.

– Nie wyobrażam sobie niczego nadzwyczajnego, ale mogło być „Kasa”, a jest „Kosa” – odparła spokojnie, sięgając po serwetkę ocierając usta. Miała trwałe transparent na wargach, ich kolor nie zmienił się po otarciu. – Mam pewne pojęcie o pańskiej karierze zawodowej.

Opierdala się pan na maksa. A jak już śmierdzi czymś nieprzyjemnym, wykonuje pan spektakularny numer i przełożeni chowają na spód szuflady formularz P-26: „Zwolnienia, przeniesienia, kary administracyjne”.

– Ja pierdołę, skąd pani to wie? – rzuciłem wściekły.

Nie lubię kobiet zmaskulizowanych, udających chłopów, równiach, kolesianków...

Ohyda.

Roześmiała się. Co gorsza, szczerze. Pierwsza szczerza rzecz, jaką zrobiła od wejścia do tego baru.

– Wiedza, wiadomo, jest lepsza od broni palnej. Poklepała swój plecak. – Staram się wiedzieć możliwie dużo o ludziach, którzy wchodzi w orbitę moich zainteresowań.

– Droga koleżanko mecenasie, przestań szyć do mnie tekstami z hollywoodzkiego dramatu ze środowiska waszyngtońskich prawników. Przypominasz Elen Barkin... – Kurwa, to nie ten film! Trudno. – Ale to wszystko. A ja nie przypominam i nie chcę przypominać Richarda Gere.

– Nio, nio! – Poklepała mnie po dłoni. Zdążyłbym jej uciec, ale lubię udawać głupszego, niż jestem, wolniejszego, słabszego. Przystojniejszego? – Nie obrażamy się. Sygnalizuję tylko, że nie przychodzę z byle gadką, z byle czym, byle jaka i do byle kogo. Skoro zmusiłam się do spenetrowania pańskiego żywota, to sprawa jest poważna, nie chwaliłam się więc, tylko sygnalizowałam.

– A to już pani problem. Ja nie muszę nikogo i nic penetrować. I nie podzielam pani wyceny, co jest ważne, a co nie. – Zsunąłem się ze stołka i uśmiechnąłem do pani mecenas.

Wytrenowałem kiedyś taki niemiły uśmiech: samymi ustami. – Do miłego zobaczenia.

– Proszę poczekać! – warknęła wściekła. To lubię. – Mam coś do przekazania.

– Bez odbioru od anonimów – rzuciłem i pochyliłem się po torbę.

– Szymon mnie zna!

– To proszę z nim sobie rozmawiać.

Zeskoczyła ze stołka i zastawiła mi drogę, zrobiłem niezgrabne pół kroku i nadepnąłem jej na czubek mokasy:na:

– Oj, bardzo przepraszam, tak mnie pani zasko... zastawiła...

Syknęła i odskoczyła. Minąłem ją i cicho pogwizdując, cholernie z siebie zadowolony, posuwałem do drzwi.

– Ty pierdolony pedale! – usłyszałem z tyłu. – Cwelu jebany, jak się nie przestaniesz prowadzić za rączkę z tym amerykańskim chujem, to spotka cię to, o czym marzysz co noc w swojej jedwabnej pidżamce: wsadzą ci w dupę rurę od kompresora i wolno odkręca kurek.

Zatrzymałem się przy donicy przy wejściu, pochyliłem i powąchałem blad różowy storczykowaty kwiatek.

– Słyszysz?!

„Słysz, słysz” – korciło mnie rzucić jak Zając do Wilka, gdy ten rozdarł się: „Za-a-aja-ac, ty mienia słyszysz?!”. Ale powstrzymałem się, tu skuteczniejsze wydało mi się kompletne lekceważenie.

Zatrzymałem się dopiero na parkingu. Miałem brudną przednią szybę, a to – przyznaję – mój słaby punkt. Włożyłem torbę do wozu, wyjąłem z bagażnika spray na owady i zlawszy solidnie szybę, zająłem się przecieraniem jej papierowymi ręcznikami. Ciekawe, kto tę kurwiozę napuścił na mnie i po co? Zresztą, po co – wiadomo,

żebym się przestał prowadzić z tym „amerykańskim chujem”. Czyli mają nas już na celu. Dobra. To lubię. Niech się wykażą. Ruchomy cel może trudniej jest trafić, ale łatwiej zlokalizować.

Zgarnąłem pół tuzina płatków zużytego ręcznika i poszedłem w stronę kosza na śmieci.

Otworzyły się drzwi, pojawiła się w nich pani mecenas, młody, ale wysoki jak słup TP S.A. mięśniak i Szymon. Mięśniak trzymał oba bagaże pani mecenas w jednej ręce, drugą dłoń zakleszczył na jej łokciu i wypychał ją skutecznie przed siebie.

– Puszczaj, chamie! – wizgnęła pani mecenas.

– Adamie, odprowadź panią Samolej do samochodu, przypomnij jej na pożegnanie, że właśnie zmieniamy karty klubowe i reaktywacja jej karty może potrwać długo, bo skończyły nam się formularze. Zatem może niech się zapisze do innego klubu – powiedział Szymon, Odwrócił się do pani Samolej. – Przykro mi, ale przyjęliśmy zasadę, że tylko posiadanie karty upoważnia do wejścia na teren klubu. Zapraszamy... – uśmiechnął się szeroko, samymi wargami – za rok, może dwa?

– Ty gnoju! Pójdiesz z torbami, ja...

– Właśnie, proszę nie zapomnieć swoich toreb, droga pani!

Szymon był bardzo dobry w tej roli.

Wrzuciłem zużyte farfocle do urny, wróciłem do samochodu i odjechałem. Samolej, powiedział Szymon. Wyrzucając ją przy mnie, dał sygnał, że nie jest przesadnie ważna, że można sobie pozwolić na wojenkę z nią. Nie miałem jednak co do tego takiej jak on pewności, w końcu dotarła, i to błyskawicznie, nie tylko do mojego służbowego dossier, lecz i do jakichś ocen środowiskowych. Ciekawe, kto z nią, za ile i od kiedy trzyma? To mogło mi się przydać nie tylko w tej sprawie, ale i na przyszłość, powinno zainteresować przełożonych, bo co to jest, do chuja wuja? Kto chce grzebie w naszych profilach? Jak

potem mamy z kimkolwiek się bić, skoro byle pierdolona papuga z pięcioletnim stażem sięga do naszych, jak do swoich z majtkami, szuflad?!

Wyjechałem na Pułkową, w stronę miasta ruch był znikomy, trochę ludzi wyjeżdżało. Zastanawiałem się chwilę, potem wystukałem numer do Jerzego. Odezwał się po sześciu sygnałach.

– Słucham?

– Cześć. Słuchaj, nie masz w planie dzisiaj spotkania? Mam trochę przemyśleń...

– No, raczej nie. Siedzę sobie, słucham Radia Maryja, wino piję. Nie chce mi się.

– Chyba go pogię...

– Aha. No to jak nie, to nie naciskam. Jutro?

– Tak. Jutro. Z samego rana zadzwoń.

– Dobra. No to naraziska. Rozłączyłem się i wcisnąłem gaz niemal do dechy.

Sięgnąłem pod deskę i włączyłem antyradar. Nie mam czasu na przekomarzenie się z drogówką, zresztą, nie mam też skutecznych na nich dokumentów. Tym razem zwyczajny obywatel musi pokonać dziewięć kilometrów – może więcej? – migiem!

Zajął mi to dwanaście minut. Podjechałem pod dom od Żelaznej, podwórko było puste, ale nie czaiłem się przesadnie. Czas pracował nie dla nas. Na schodach skorzystałem z parapetu, żeby wyjąć oba pistolety, torbę zarzuciłem na plecy, podszedłem bezszelestnie pod drzwi i wsłuchałem się. Nie grało żadne radio, a wiem, że byłoby słyszalne. Wsunąłem glocka za pasek, chwyciłem Gnata w lewą dłoń, włożyłem do dziurki klucz i możliwie cicho przekręciłem, a potem, już nie starając się o ciszę, wpadłem do mieszkania.

Mogłem być z siebie dumny: zaskoczenie było pełne. Tak pełne, że miałem sporo czasu, dobre dwie sekundy na kontemplację sceny:

Jerzy z zakrwawioną twarzą, spuchniętymi wargami i ustami wypełnionymi papierowymi ręcznikami, spętany jak baleron, niefachowo, ale skutecznie, usadzony na krześle z Ikei, stabilnym, drewnianym, z surowego drewna...

Jakiś Ingolf czy inny Ivar. Czterech starszych panów i jedna chuda niska dziewczyna z nobliwym rogalem z warkocza. Ona trzymała w ręku tłuczek do mięsa, ale nie za trzonek, lecz za element tłuczny, widocznie nie zamierzała za szybko pozbawić Jerzego przytomności.

Miała dziwne jasnozielone oczy, blade, jakby spleśniałe, zgniłe... A może nie zielone, tylko koloru nadgniętego wymoczonego w wodzie mięsa?

Dziadkowie zamarli, zdzira syknęła. Najdalszy z dziadków, nazwałbym go z powodu wypielegnowanych wąsów Emerytowanym Ułanem, poruszył się i wyciągnąwszy niczym klasyczny lunatyk ręce, pomaszerował na mnie. Wystrzeliłem najpierw do bliższego, Łysego Pączka, który też drgnął w moim kierunku, potem do Ułana. Z przyjemnością patrzyłem, jak specjalne pociski, zaoferowane przez Jerzego, bez specjalnego huku wsiąkają w ciała guimonów, wchodzą jak mocz w pampersy i jak mocz nie wychodzą. Widziałem, jak tamci nieruchomieją, a potem jakby flaczeją, zapadają się w siebie. Dwa guimony z lewej przyspieszyły ruchy, jakby śmierć współplemieńców, uświadamiała im bliski koniec własnej egzystencji. Kątem oka zobaczyłem jednak, że zgniłooka malutka damulka przekłada tłuczek i szczerząc kły zamierza rozwalić czaszkę jeńcowi. W nią miałem z grubsza wycelowanego glocka. Strzeliłem, cisnęło nią o ścianę, z Gnata wypaliłem do sunących na mnie zadziwiająco szybko dziadków. Nabierali impetu, byli tuż-tuż, nawet nie zdążyłem w myślach obdarzyć ich imionami...



Pierwszy zatrzymał pocisk mostkiem, wspaniale nim miotnęło i dlatego spudłowałem do drugiego, musiałem poprawić, i to z obu luf. Glock robił zadziwiająco dużo hałasu, przynajmniej w porównaniu z Gnatem. Obejrzałem się. Drzwi były zamknięte, ale i tak nawet w domu słyszających inaczej starców musiałem już wzniecić panikę. Skoczyłem do Jerzego; potrząsał głową i pokazywał mi na coś oczami. Ach, zapomniałem, że małe guimoniałtko dostało tylko zwyczajnym pociskiem. Już się podnosiła, miałem trochę szczęścia, że oparła się dłonią w kałuży czegoś, co wylewało się z jej brzucha, dłoń pośliznęła się, zamach tłuczkiem poszedł w ścianę. Przymierzyłem z Gnata, wypaliłem w środek jej twarzy. Jerzy coś myczał, więc szybko się obejrzałem, spodziewając się jeszcze jednego guimona. Nic jednak się nie działo. Poza tym, że dwaj starszuskowie już zaczęli się rozpadać.

– Ktoś jeszcze jest? – zapytałem Jerzego. Pokręcił głową. Zabrałem się do rozwiązywania go, uwolniłem rękę. Wyszarpnął kłęb wilgotnej bibuły z ust.

– Szkoda, że ją dobiłeś – wychrypiał.

– Mówiłeś, że nie bierzemy jeńców – powiedziałem z wyrzutem.

Schowałem broń do torby, torbę błyskawicznie wrzuciłem do szafy.

– Zaraz będą tu gliny – poinformowałem go.

– Tak, wiem. Migiem, jeszcze nie werbalizując planu, sprzątnęliśmy linę, poustawialiśmy meble. Trzy ciała już się rozsypały na pył, który tajał w oczach. Dziewczę jeszcze podrygiwało, ale i ją dopadł rozpad: rozrzucone stopy już nie istniały, „ciało” bladło, szarzało, wysychało od środka i w oczach zmieniało się w tłusto połyskujący przez chwilę proszek. Jak w dobrej animacji, takiej 3D.

– Umyj się – rzuciłem do Jerzego.

Wybiegł do łazienki, wrócił po chwili, czysty, ale i nieźle pobity. Skoczył do DVD, nerwowo szarpnął do siebie folder z płytami.

– Gdzieś tu było... – syknął. – Jest!

Włożył płytę.

– Zamknij drzwi! – krzyknął do mnie przez ramię. Przekręciłem zamek, rozejrzałem się.

Po dziadkach ślad zaginął, może podłoga w tym miejscu wyglądała jak przesmarowana jakimś żrącym płynem, ale nie były to wyrysowane na panelach kontury. Dziewka rozpadała się wolniej, jakby się czepiała swej praludzkiej egzystencji. Może powinienem był wpakować w nią dwa pociski? Może wypełnione tym jakimś kwasem, przyspieszyłyby dezintegrację?

– Masz, przewiń trochę! – Jerzy rzucił mi pilota.

Sam pobiegł do kuchni. Za oknem rozległo się wycie syreny; biorąc pod uwagę dobre dźwiękoszczelne okna, wóz musiał być niemal pod bramą.

Wcisnąłem „forward” i sylwetki na ekranie pomknęły przewijając swoje role. Mel Gibson właśnie przeczochorywał sobie włosy, stojąc przed sprzedawcami choinek. Jeszcze moment...

Już...

„Play”, głos niemal na maksa, fotele przed ekranem. Tylko jak Jerzy wytłumaczy...?

– Może być?

Odwróciłem się nerwowo i niemal sięgnąłem do paska po broń.

Jerzy stał w drzwiach kuchni z uniesioną twarzą. Miał ją grubo posmarowaną serkiem homogenizowanym, na czole, policzkach i brodzie były przyklejone krążki ogórka.

Otworzyłem usta i... I stałem z otwartymi ustami. Do drzwi ktoś załomotał. Jerzy uniósł palec i pokiwał nim: „Nie, nie ruszaj się!”. Miękkim krokiem, żeby nie pogubić warzyw z maseczki skierował się

w stronę fotela.

– Szybko siknij dezodorantem! – Wskazał mi półkę przy drzwiach.

Skoczyłem do niej, przebiegłem przez pokój, wymachując we wszystkich kierunkach strugą woni o nazwie „Ocean”.

Walenie do drzwi przebiło się przez krzyki Gibsona do kolegów.

– Już! Co jest?! – ryknąłem w stronę drzwi. Rozejrzałem się. Wyglądało na to, że już niczego nie da się poprawić w krajobrazie po bitwie. Podszedłem do drzwi i energicznie przekręciłem zamek.

Wpadło dwoje, przydusili mnie do ściany, nie opierałem się. Dwaj następni skoczyli na Jerzego. Kwiknął i wbił się plecami w fotel, unosząc ręce i nogi.

– Co się tu dzieje?! – wrzasnął sierżant wciskając mi lufę w dołek.

Jęknąłem i postarałem się udąć wzbierające mdłości. Odsunął się trochę, nacisk na moje wątpia osłabł.

– Ale o co chodzi? – wymamrotałem drżącymi wargami.

– Strza... Hałasy! – ryknął.

– Oglądamy film – jęknął Jerzy. – Tylko ja byłem w łazience i poprosiłem przyj a... kolegę, żeby zgłosił!

Nastała długa chwila, w której Gibson z kolegami wpatrywali się w ciała wystrzelanych dilerów w szeregach choinek. Potem ryknął dialog.

– Kurwa, wyłącz to! – krzyknął sierżant do... do kogoś.

Jerzy porwał pilota ze stolika i „zmute’ował” odtwarzacz.

Nastała błoga cisza.

– Co się tu dzieje? – zapytał sierżant, najwyraźniej szukając dla siebie chwili do namysłu.

– Przecież kolega wyjaśnił: poszedł do łazienki, a ja zrobiłem głośniej, żeby nie stracił

dialogów... – powiedziałem dość płaczliwym tonem.

– Ja-ppp! – warknął drugi z tych, którzy parli na pierwszy ogień. –



Jak głośno musiało to grać, żeby sąsiedzi wszczęli alarm?

– Oni z byle powodu się pieklą – poinformowałem go.

– Tak, tak, byle łyżka upadnie na podłogę w kuchni i już stukanie do drzwi. To furiaci i zgryźliwe padalce! – uzupełnił Jerzy.

Dwaj posterunkowi, stojący przy drzwiach, wymienili spojrzenia. Jeden odchrząknął.

– Który z panów zamieszkuje lokal? – zapytał.

– Ja. Dowód? – Wolałbym nie pokazywać, ale oni powinni wziąć coś do ręki.

– Poproszę.

Podałem mu dowód mówiąc:

– A dokładniej to jest mieszkanie mojej siostry. Opiekuję się nim, a ten pan je wynajmuje. Ja tu jestem gościnnie.

Wpatrywał się chwilę w plastikową kartę, pękniętą, nawiasem mówiąc, a miały być takie trwałe! Nawet nie pokwapił się zapisać danych. Spieszyli się gdzieś.

– Idziemy? – zapytał i zerknął na zegarek, jakby chciał poinformować starszego stopniem, że pora na obiad. – Śmierdzi tu... – Pokręcił głową.

– No ja przepraszam – powiedziałem. – To już chyba nie pańska sprawa, jak tu śmierdzi.

Do smrodu nikt panów nie wzywał.

– Spokojnie! – syknął dowódca. – Proszę sobie nie myśleć! – Zabrakło mu ciągu dalszego. – Tym razem odpuszczamy, ale bez względu na porę, nie wolno przekraczać pewnych... barier... – zakończył z wysiłkiem.

– To był incydent. Może być pan pewien, że się nie powtórzy – zapewnił go Jerzy, nie wstając z fotela.

– Tak – potwierdziłem.

– Idziemy.

Sierżant wykonał ręką jakiś ruch, sugerujący, że salutuje, i szybkim krokiem opuścił mieszkanie. Pozostała trójka nie trudziła się wymachiwaniem rękami. Zamknąłem za nimi drzwi, przekręciłem zamek.

– Ten serek to pomysł genialny – powiedziałem. – Tylko to nas uratowało.

Jerzy zarzął przeciągle i zniknął w łazience. Długo polewał wodą twarz, potem widocznie uznał, że to mało, bo usłyszałem, że bierze prysznic. Otworzyłem okna i zablokowałem, żeby przeciąg nie wywalił szyb, wygrzebałem mopa z kuchennej szafki i sumiennie przetarłem podłogę, dodając poczwórną porcję środka do mycia i denaturatu. Kończyłem drugie przecieranie paneli, gdy z łazienki wyszedł Jerzy w ręczniku, z aprobatą pokiwał głową, po czym, ostrożnie stąpając po wilgotnej podłodze, przeszedł do sypialni. Bez sera na twarzy wyglądał z jednej strony lepiej, z drugiej gorzej. Guz ze skaleczeniem na linii włosów, rozbite obie wargi, podpuchnięta tkanka na kości jarzmowej.

– Przyłóż lód – poradziłem.

Bez słowa poszedł do kuchni, ja tymczasem dokończyłem myć podłogę, wylałem wodę, wypłukałem wiadro.

Usiedliśmy w fotelach, uśmiechnąłem się do partnera. Puścił do mnie oko, tym okiem, które miał odsłonięte, prawym.

– Należesz? – zapytał.

Trzymał serwetkę z lodem na czole, potem przesunął na policzek, usta.

– Dać ci dużo lodu? – spytałem przekornie. – Schłodzi ci...

– Sram na lód! – warknął, udając złość. – Whisky mi daj, człowieku!

Wypiliśmy pierwszą zgodnie i szybko. Dolałem.

– Jak cię dorwali?

– Ta mała... Ona... – Pokręcił głową, sięgnął po butelkę, ale, już

trzymając ją w ręku, znieruchomiał i zastanawiał się, przewijał w pamięci wydarzenia.

– Było w niej coś innego, jakaś, cholera – odpukać modyfikacja. Nie wyczułem jej. – Znowu pokręcił głową, syknął, dolał do szklanek. – Wezmę pigułę jednak...

Poszedł do sypialni, a ja gapiłem się na niemy film, Mel Gibson dawał wycisk gamoniowatemu Danny'emu Gloverowi. Czy ktoś zauważył, że postacie, Martin Riggs i Roger Murtaugh, mają odwrócone inicjały: MR i RM? To umyślny zabieg scenarzystów, który do czegoś im posłużył, albo posłuży w piątce czy szóstce? Czy po prostu tak wyszło?

– Wiesz, że Martin Riggs i Roger Murtaugh mają zamienione inicjały? – zapytałem Jerzego, gdy pojawił się w drzwiach.

– To niedobrze... – odparł wolno.

Chwilę stał w progu, jakby rozważał, czy nie wziąć drugiej dawki leku.

– Dlaczego?

– Co „dlaczego”?

– Dlaczego niedobrze, że Martin Riggs i Roger Murtaugh... – Wskazałem palcem ekran, i zrozumiałem, że mnie nie słyszał, albo nie słuchał.

Miał w dupie, ujmując to krótkimi wojskowymi słowy.

– Nieważne. Co miałeś na myśli, mówiąc, że niedobrze? Co niedobrze?

– Niedobrze, że się zmieniają.

Wypiliśmy. Whisky wyjątkowo mi podchodziła, jak zubr.

– Tak się zastanawiam... – powiedziałem wolno. – Jeden strzał z tej twojej amunicji załatwia sprawę. Czyli potrzeba około tysiąca pocisków, biorąc poprawkę na to, że nie wszyscy tak dobrze strzelają jak ja. – Uśmiechnąłem się. Żeby osłodzić końcówkę wywodu, która

miała być jasna, jak świński ogon: ktoś pierdoli tę robotę! – Tu rozwaliliśmy już osiem czy dziesięć sztuk, w trzy dni. Leżą do nas jak muchy do gówna. Nic, tylko wybrać się na jakąś polanę, z dala od policji i poczekać trochę... Jeśli tak zawsze...

– Nie jest tak... zawsze! – warknął. – Tu się dzieje coś dziwnego. – Nalał tylko sobie i od razu wypił. Cóż, ja też mam rączki, nalałem sobie i też wypłem sam. Nawet nie zauważył. – Zbiegało sobie dziewczę po schodach, wymachując plecaczkiem, uśmiechnięte i promienne, i nagle trzepnęło mnie w łeb tym plecaczkiem, w którym musiało mieć zamrożonego karpia.

Ocknąłem się w mieszkaniu. Dziwne, bo ocknąłem się, jak mnie zaczęli okładać po pysku pięściami... Kościste skurwysyny! Czekali gdzieś daleko, w ukryciu. To było – popatrzył na zegar w DVD – prawie cztery godziny temu.

Nie wiem, dlaczego wyczułem w jego głosie jakby cień pretensji.

– Byłem na strzelnicy... Machnął ręką.

– Jeśli myślisz, że mam do ciebie pretensje, to się bardzo mylisz – powiedział szybko. – Gdybyś był ze mną, pewnie i tobie by przypierdoliła, była szybsza od błyskawicy, kurwiara jedna.

– Nie ma takiego słowa: kurwiara – zaprotestowałem. – Może być kurwiszon albo kur...

– Już jest – przerwał mi z uśmiechem. – I – to muszę powiedzieć – jestem ci usilnie wdzięczny.

– Silnie, nie usilnie – powiedziałem. Jakoś tak się maskuje wzruszenie, czy co?

– Och, nie bądź takim purystą językowym!

Nagle zrobiło się inaczej. Chyba whisky zaczęła działać, albo po prostu zniknął odór po pięciu guimonowych trupach. Poczułem się niezręcznie, nie wiem dlaczego. Chwyciłem pilota i zatrzymałem DVD. Wcisnąłem „Power”, ale pomyliły mi się klawisze i trafiłem na

wiadomości.

Mieszkańcy Włoszczowej wnieśli o usunięcie z listy honorowych obywateli miasta ministra, który naraził ich na szkody moralne i – o dziwo! – finansowe, bo budowa peronu się nie zwróciła, a ekspres przestał być rentowny i wyhamował na innym peronie. Kampania wyborcza rozszalała się na dobre: przywódcy niemal wszystkich partii więcej czasu spędzali na tłumaczeniu się z niegodziwości niż na prezentowaniu programów wyborczych. Biskupi nauczali, szefowie spółek wylatywali ze swoich foteli i gabinetów, i kupionymi za część odprawy limuzynami odjeżdżali do nabytych za drugą część odprawy rezydencji. Sekretarki i asystentki skarżyły, donosiły i kablowały mediom, ministrowie wylatywali i wlatywali.

Nieustająca relacja z ciągłej bitwy trzech tuzinów tych samych w kółko osób o władzę.

Nic nowego, zwyczajne polskie piekiełko...

A tu jeszcze guimony! Lewi oskarżyliby prawych o grzech zaniechania walki z pomiotem Cthulhu, prawi zarzucaliby lewym sprowadzenie tychże do III RP, centrum wydałoby oświadczenie, Kościół przemilczałby problem.

Machnąłem w duchu ręką i wyłączyłem odbiornik. Jerzy pobrzękiwał w kuchni filiżankami.

– Kawy? – zapytał, nie pojawiając się w drzwiach.

– Tak, proszę. Przyniósł po kubku mocnej ciemnobrunatnej cieczy, ale aromat gasł w wysterylizowanym pokoju.

– Co do tego, że jeden pocisk... – zaczął Jerzy. – Chyba ci mówiłem, a może zapomniałem... To teraz mówię: nie zawsze jeden pocisk załatwia wszystko, czyli guimona.

Trafiają się odporniejsi, może gorsze pociski? No i jeden ważny detal: nie mamy dowolnej ilości materiału na kule. Zeskrobujemy delikatnie to, co jest na pieczęci na Klamrze Alstermedara, to

zeskrobane odtwarza się, ale strasznie wolno, dlatego pocisków używają przede wszystkim nowo zwerbowani pomocnicy. – Pokiwałem głową i zaszalutowałem jednym palcem.

– Ci z pewną wprawą, starają się używać innej broni, zwłaszcza gdy są warunki: brak świadków, odludzie, walka jeden na jednego.

– Wtedy tłuczecie sztchetami?

– Czym się da: butelką, kijem, motyką. Można zabić guimona wszystkim, ale to długo trwa. No i nie każdy lubi albo może miażdżyć czerep nobliwej staruszce... Choć babcia posyła takie ostatnie spojrzenie, że wszelkie wątpliwości znikają. Z tym, że to już po.

Mocna kawa okraszona dobrą whisky pozwoliła się odprężyć. Zamilkliśmy na dobre piętnaście minut, każdy myślał o czymś innym. Chyba, bo nie pytałem Jerzego na okoliczność tematu rozmyślań. W połowie swojej kawy odłożył myślenie na potem.

– Uważaj, bo i do ciebie będą się dobierali. Może nie dziś, bo jest za mało czasu na zorganizowanie akcji – uśmiechnął się lekko – ale będą cię szukali. I znajdą.

– Będę uważał.

– Jutro chyba pojedziemy za miasto, może na kilka dni. Spakowany?

– Zawsze.

– Chyba wiem, jak się czujesz – powiedział. – Pewnie każdy przez to przechodzi, trudno uwierzyć, że w starych, takich bezbronnych kruchych ciałach siedzi odpychająca, ohydna, okropna istota. Albo że miły dzieciak może ci wyrwać tchawicę, wbić szpadel w kręgosłup, zachodząc cię od tyłu. Wszyscy się tym dręczą...

– Nagle prychnął przez nos. – Opowiem ci, jak było ze mną. – Przygryzł dolną wargę. – Miałem dobrze, bo „mojego” pierwszego guimona zabiłem nie ja, tylko mój mentor. Ja się zawahałem, taka malutka pękata babunia, miłośniczka lodów i pomadek z truflami, a

skoczyła na mnie jak pantera. Mentor ciął szablą i... I uciął jej podczas skoku głowę.

Pamiętam: stoję oparty o ścianę i gapię się, jak w odciętej głowie eksplodują złote iskry, a ciało kołysze się z boku na bok. A Godfrey przeciera klingę szabli, choć nie ma na niej krwi, i mówi do mnie tak: „Znasz dowcip, jak facet wpadł pod pociąg i odcięło mu głowę?”. Ja w osłupieniu zaprzeczam. A on: „No więc wpadł pod pociąg, koła odcięły mu głowę. Ta poturlała się kilka metrów po nasypie, zatrzymała się, rozgląda. Widzi, że ciało leży dobre pięć metrów od niej, maca rękami dokoła, szuka, jej, głowy. Głowa wrzeszczy: »Hej! Ciało, ja tu jestem! Tu! TU!!! Kurwa mać, tu jestem!!!«, a potem ze smutkiem do siebie: »A po chuj ja się tak wydzieram, przecież uszy mam na sobie...«,,

Nie wytrzymałem, rozryczałem się. Przez łzy zobaczyłem, jak uśmiechnięty Jerzy chwycił butelkę, pokazał mi ją, przytaknąłem nie mogąc nic wykrztusić. Makabra – śmiałem się... A przecież zabiłem dziś, przed dwiema godzinami pięć istot w ludzkich kokonach. Nikt normalny nie powiedziałby, że to nie ludzie, co tam – normalny, ja też nie powiedziałbym w innych okolicznościach. Na dobrą sprawę nadal nie potrafiłem wykrywać guimonów, gdyby same się nie odkrywały, nie odważyłbym się skierować lufy na ich szczere spojrzenia.

Najpierw szczere, potem jadowite, potem błyskające złoto-purpurowymi skrami. Otarłem łzy, odsapnąłem, powiedziałem Jerzemu, że moim zdaniem guimony są strasznie głupie.

– Nie są głupie. Są prymitywne. Krokodyl nie ma w genach wiedzy, że mięso może być sprzężone z bólem, dowiadyuje się tego dopiero wtedy, gdy nadzieje się na hak. One są nastawione na życie na instynkcie, a guimony na życie według uproszczonej receptury – na oczach innych ludzi udawać ludzi: jeść, spać, pić, gadać o byle czym,

a w samotności wyć do Cthulhu, wyrzygiwać ludzkie żarcie, czekać na sygnał do działania.

– A... – No dobra, czas zadać to pytanie. – Czy zabijanie jest jedynym sposobem na uwalnianie świata od nich? Nie można ich... przywrócić?

Pokiwał głową, jakby do swoich myśli, może do swoich pytań.

– Nie, bo one – zaczął – nie zasiedlają nosiciela, jak to było mnóstwo razy opisane w SF, one go zastępują. Tego człowieka nie ma. Tylko jego kształt, forma, powłoka. Przywrócić?

Raczej wyrwać. Teoretycznie, gdyby trafić na człowieka, który niedawno został zagarnięty...

– Jak niedawno? Odpowiedziało mi wzruszenie ramion.

– Rozumiem. Gównu rozumiem. Ale próbowaliście? Jakieś badania, jakieś... – Poszukałem natchnienia, wachlując prawą dłońią powietrze.

– Przecież ci mówiłem, że jest nas czterech – odparł z lekkim wyrzutem. – Co jakiś czas dołącza do nas nowy, entuzjasta, że tak powiem. Usiłuje coś zrobić, wciąga do grona jako tako kompetentnych ludzi, którzy mają znaleźć sposób na wytrzebiecie pomiotu Cthulhu...

Wynik jest taki, że do szerokiej publiczności docierają strzępki wiedzy i nic więcej. Stąd wiadomo, że czarcie dzieci mają „sześć-sześć-sześć” na karku, że trafione śmiertelnie rozsypują się na pył, że oczy im błyszczą... Wszystko mniej czy więcej pomieszane, wykoślawione, podbarwione...

– Nie jestem entuzjastą – rzuciłem, niespodziewanie dla samego siebie urażony.

– Nie mówię o tobie. – Wychylił się z fotela, żeby poklepać mnie po kolanie. – To były z reguły kobiety.

– Kobiety ekstermanki? – zdziwiłem się.

– Ba! Nie masz pojęcia, z jakim entuzjazmem tłuką guimony. One



mają rodzenie i zabijanie we krwi, przepraszam, za nędzny kalambur...

Mnie się spodobał. Butelka, jak się okazało, miała rozmiar S, no, może M, ale my potrzebowaliśmy dziś XL. Zastanawiałem się, jaką firmę taksówkarską zaprząć do roboty, gdy Jerzy powiedział:

– Jeśli myślisz o alkoholu, to daj sobie spokój. Ja już mam dość. Ty też wypieś za dużo, żeby prowadzić. Otworzyłem usta, żeby mu przypomnieć, jak wracam do domu, ja i mój samochodzik, gdy dokończył: – Lepiej zostań tu.

I tak się stało.



## ROZDZIAŁ 10

Jerzy jeszcze spał, kiedy się obudziłem i pomaszerowałem do łazienki. Wiedziałem – po tej ilości whisky musiały mi na policzkach wyskoczyć czerwone plamy. Trudno, kosztą kosztowania. Pomyszkowałem po drogerii Jerzego, coś tam znalazłem, wziąłem prysznic.

Wyszedłszy z łazienki, stwierdziłem, że w kuchni bulgoce zaparzarka, a pierwsza para tostów już wchłania masło. Nie lubię chrupiącego żarcia, krakersów, chipsów, paluszków, tostów. No, ale nie cały świat o tym wie. Na razie.

Jerzy odbijał się w sypialnianym lustrze, zapinał guziki koszuli i jednocześnie coś czytał z ekranu palmtopa. Nie miał wesołej miny i potrzebował kosmetyczki do zamaskowania wybroczyń na kości policzkowej. Rozbite wargi jakoś tam zasłaniał wąs, zadrapanie na czole – włosy.

– Masz coś maskującego? – zapytałem. – Zasmaruję ci tego sińca i będziesz jak nowy.

Pokiwał w roztargnieniu głową, wyglądało na to, że w żadnym stopniu nie zajmuje go w tej chwili własny *image*. Uj, jaki zapracowany!

Poszedłem do kuchni, zalałem kawę, pozbierałem śmietanki, cukry, słodziki. Wyjąłem kromkę tostowego z woreczka i przełożyłem plastrem pastrami i sera. To mi wystarczy. Jerzy wyszedł z pokoju z miną kota, który właśnie odkrył gniazdo z tuzinem malusieńkich świeżuteńkich myszek.

– Co tam wiemy o ojcu dyrektorze? – rzucił.

– Na jakim poziomie szczegółowości ci zależy? Nic o nim nie wiesz?

– Coś tam wiem, ale ostatnie kilka tygodni miałem zajęte czymś

innym. Zresztą w moich serwisach każda wiadomość przechodzi przez tyle klawiatur, że czasem nie wiadomo, o co chodzi, bo po kilku cenzurach może zmienić wydźwięk. No i ty, miejscowy, masz inną optykę, masz przegląd historyczny, a ja jeszcze pół roku temu nie sądziłem, że wyląduję na akcji w Polsce.

– Okej. Będę się streszczał. A ty słuchaj aktywnie i koryguj. Tak więc, poza tym, co ci już mówiłem, ostatnio trochę znowu o nim głośniej. Raz, bo krytykuje Unię Europejską, co mu nie przeszkadza, i to podobno z dobrym skutkiem, ubiegać się o środki z jej funduszy na swoją szkołę, dołączając, zresztą, w rankingach. Dwa, ujawnione niedawno nagrania z jego wykładu wywołały falę krytyki na całym świecie, naraził się kolejny raz środowiskom żydowskim. Centrum imienia Szymona Wiesenthala w Los Angeles zaapelowało do papieża o odwołanie ojca dyrektora, a założyciel i dziekan Centrum, Marvin Hier, nazwał Rydzyka „Goebbelsem w koloratce”, i tak dalej, i tak dalej. Pluje w twarz Pierwszej Damie Rzeczypospolitej, ale pluje w imieniu kilkumilionowego elektoratu, więc... – Wzruszyłem ramionami.

– Okej. To za dużo, żeby... – Chwycił grzanekę i włożył jej rozek w zdrowszy kącik ust.

Zajął się gryzieniem, starając nie poruszać rozbitymi wargami.

– Chcesz powiedzieć, że za bardzo się pcha na pierwszy plan, żeby być Fn'thalem? – wyręczyłem go.

– Yhy...

– Też mi się tak wydaje. Na dodatek nie jest, chyba, aż tak szkodliwy jak Coresh, Moon czy Jones.

– Ja-szsz-ne... Tylko że oni mieli swoje tysiącosobowe kościółki, i te kościółki wraz z przywódcami się skończyły. Moon i Rydzyk mają wiernych liczonych w miliony i to zmienia nieco optykę, z jaką na nich patrzę. Ale i tak to są próżne rozważania. Przynajmniej do czasu,

kiedy w tej optyce coś się nie zmieni. W tej chwili wygląda raczej na to, że guimony pławią się tam, gdzie istnieją rozbuchane emocje.

– Ja myślę...

Odezwała się moja komórka. Służbowa, znaczy ta normalna, nie prywatna. Tupolew.

Tupolew?!

– Słucham?

– Cześć... Tak sobie dzwonię, żeby zapytać, czy wszystko w porządku?

– Tak. W najlepszym porządku. – Ciekawe, nigdy go moje porządki nie interesowały. – Niewiele mam do roboty, więc szanuję ten stan, nie naruszam go przesadnie.

– Aha. No to dobrze. Nie naruszaj, to ci dobrze wychodzi. Bo ci żadna prawniczka nie pomoże.

Czy mi się wydaje, czy słyszę tu jakiś akcencik na słowa „nie naruszaj”? I „prawniczka”?!

– Ale właśnie mnie beczynność się chyba kończy. Pewnie się ruszę...

– Twoja sprawa, ja ci urlopu nie będę moderował ani modelował. Właściwie to nie chciałem ci tego przedwcześnie mówić, ale... Właściwie... – To mu się nie zdarza: powtórzyć to samo słowo na początku kolejnych dwóch zdań! – Dzwonię, żeby cię ostrzec. Po urlopie jest spora szansa, że wyjedziesz na placówkę. I nie będzie to Sri Lanka, Burkina Faso ani Ukraina.

– Wow! Szefie! Pan mi zepsuł urlop w tej chwili! Jak ja wytrzymam z tym modelowaniem... – paplałem co mi ślina na język przyniosła, a jednocześnie wgryzałem się całym swoim umysłem w przekazywaną mi na niesłyszalnym poziomie informację. – Modelki już zamówione, zapas viagry po sufit, a pan mi takie sugestie? No nie...

– Ja nic nie sugeruję, chciałem ci podnieść poziom hormonów,

zaoszczędzisz na viagrze albo zabierzesz ze sobą do... Sta... – Udał, że się zająknął. – F-fu-sss-ts... I tak dalej. No, w każdym razie nie próbuj tego numeru z przedłużeniem urlopu L4, jak to zrobiłeś dwa lata temu. Teraz zaszkodziłbyś sobie samemu. No, cześć... Co? – Jakby słuchał kogoś innego. – Aha, Stefcia cię silnie pozdrawia. Do zoba!

Rozłączył się.

Stefa nigdy mnie nie pozdrawiała, w ogóle nikogo nie pozdrawiała, a Tupolew nigdy by nie przekazał pozdrowień, gdyby jednak je wyemitowała. Tupolew nigdy nie dzwonił do nikogo na urlopie. Tupolew nie używał skrótów „zoba”, „siema”, „wporzo”... Tupolew, wreszcie, wiedział, jak i ja, że nigdy nie przedłużałem sobie urlopu za pomocą zwolnienia lekarskiego. Miałem więc cały zestaw sygnałów, może aż przesadnie wielki, rozbudowany, jak bazylika w Licheniu, i miałem nad czym myśleć.

– Coś dobrego? Niedobrego? – ponaglił mnie Jerzy.

Miałem w swoim korniszonie ustawione nagrywanie wszystkich rozmów. Znalazłem tę ostatnią i odtworzyłem ją przez głośnik.

– Patrz... – Wyprostowałem palce i zginałem w miarę wyliczania. – Raz, nigdy wcześniej nie przerywał mi urlopu. Dwa, placówka. Nie zanosilo się na nic takiego. To jakby obietnica, że jak będę grzeczny? Trzy, gadka o przedłużeniu urlopu. Nie było niczego takiego, to wyraźny *funt*, ostrzeżenie, żeby dobrze się w tę rozmowę wsłuchać. Cztery, Stefcia mnie pozdrawia, to jest druga wskazówka, gdybym zdumiał doszczętnie i nie zrozumiał, że rozmowa ma dwa czy trzy dna. Pięć, prawniczka. – Zgiąłem kciuk. – I sześć... – rękę w łokciu. – Te skróty „do zoba”! To kompletnie nie jego styl.

– A prawniczka? – zapytał, marszcząc czoło.

– Ach, prawda! Zapomniałem ci powiedzieć. Byłem wczoraj na strzelnicy, zahaczyła mnie jakaś młoda papuga, Ostajew... Nie, Samolej! Coś ci to mówi? – Pokręcił głową. – W każdym razie

niedwuznacznie dała mi do zrozumienia, że wie, kim jestem i gdzie robię. A także, chyba, co robię. I że komuś się wydaje, że powinienem tego czegoś nie robić. – Jerzy miał minę w stylu: „hm, o co tu, stary, chodzi?!”. – Przez ten atak na mieszkanie zupełnie o tym zapomniałem.

– Szkoda – powiedział bardzo poważnie.

No, słusznie mnie zjebał. To jest poważna sprawa, to była poważna sprawa, a ja dałem się ponieść emocjom. Atak na dom to żadne usprawiedliwienie, nawet nie wytłumaczenie. Chyba się zaczerwieniłem.

– Opowiedz mi jak najdokładniej, co się tam wydarzyło – poprosił spokojnie Jerzy.

Opowiedziałem: sprężyłem się i złożyłem niemal stenogram rozmowy i scenopis sytuacji.

– Zgadzasz się, że mamy sygnał, że wiedzą już o nas? – rzucił w przestrzeń niezbyt ładne stylistycznie pytanie, gdy skończyłem.

– Jak na drugie życie! – zapewniłem go. Omal nie uniosłem ręki, jak do przysięgi, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili.

I właśnie gdy się powstrzymywałem, gdy przez ułamek sekundy byłem napięty, odezwała się jego komórka. Specyficzny sygnał, inny niż dotychczasowe. Jerzy zareagował jak szpadzista: ćwierć sekundy i już słuchał.

I nie podobało mu się to, co usłyszał. Poderwałem się i skoczyłem do swojej torby. Po półminucie miałem na sobie szelki z Gnatem – lekka bluza z oddychającą pianką maskowała, na ile mogła, jego wypukłość. Jerzy w tym czasie pognął do sypialni, czymś stukał, szcząkał, coś szurgotało po podłodze...

– Skaner w wozie wykazał, że ulicą Żelazną piąty raz przejechał ten sam samochód – rzucił do mnie, wpadając na chwilę do kuchni. – Ten sam wóz był tu wczoraj cztery razy.

– Kurwa, dotychczas takimi bajerami dysponował tylko Owen Yeates! – Przerzuciłem przez ramię torbę z glockiem, wyjąłem z niej Pana Puka, czyli moją pałeczkę na skórzanej pętelce.

– Nie znam gościa, ale zostawię ci to, jak będę wyjeżdżał – obiecał bez uśmiechu Jerzy. – Zmykamy!

„Zmykamy!”, zajebioza! Kto tak dzisiaj mówi? Co jakiś czas wyłazi z niego polski z czasów Jacka i Agatki, Bolka i Lolka, i Misia z okienka, który kazał dzieciom pocałować siebie w dupę. (Według pokutującej wśród ludzi pokolenia autora legendy, nieżyjący już Mieczysław Czechowicz, zamknąwszy kiedyś okienko Misia (a było to w telewizji, w której wszystko szło na żywo), powiedział: – A teraz, dzieci, pocałujcie Misia w dupę! I poszło to w eter, a od następnego odcinka ktoś inny był przyjacielem Misia z Okienka. Jeśli tego, czytelniku, nie wiedziałeś – ciesz się, jesteś młody!) Podskoczyłem do drzwi, przysłuchałem się, na wszelki wypadek. Otworzyłem je, wyjrzałem. Pusto, czysto, ładnie. To lubię.

Zeszliśmy po schodach, nie spotkaliśmy nikogo.

– Chodźmy na Żelazną – zaproponowałem. Skinął głową. Nie wiem, czy się zgadzał, bo znał to wyjście, czy chciał je poznać. Wyszliśmy. Ulica zaprezentowała zwyczajny poranny ruch, nieliczni przechodnie, dwaj obrośnięci menele...

– Nie widziałem jeszcze w życiu łysego menela, zawsze mają wspaniałe czupryny i gęste brody. Jak Karol Marks, co mnie napawa głupimi myślami w temacie jego sypialni – powiedziałem do Jerzego. Staliśmy i rozglądaliśmy się na boki. – Bo wygląda mi na to, że jak się chce zachować włosy, trzeba kilka nocy w miesiącu przespać na śmietniku. Widocznie swoisty mikrokli...

Jerzy syknął, po czym zaklął po angielsku i ruszył ostro przez jezdnię. Skoczyłem za nim. Jeśli coś się działo, to postępowaliśmy idiotycznie, wystawiając się jak sroki w stadzie wróbli. Przeszliśmy na

drugą stronę. Teraz zobaczyłem tu zaparkowaną pod kasztanem ciemnozieloną micrę. W środku spała starsza pani, ta, która otworzyła nam uprzejmie bramę na marymonckie działki. Jerzy przystanął obok micry, postawił torbę na ziemi i zaczął poprawiać zamek. Przez chwilę sądziłem, że wysłuchuje meldunku, ale poderwał się i lekko skinął głową. Podeszedłem i też pochyliłem się nad torbą.

Starszej pani nie sądzone było zestarzeć się jeszcze bardziej. Poniżej klatki piersiowej, wbity ukośnie z góry, tkwił zwyczajny nowiutki nóż od trybowania. Świeże nielakierowane drewno było mało widoczne na tle beżowego sweterka. Gdyby nie strużka krwi, skierowana na spódnicę, w zagłębieniu której utworzył się mały purpurowy owalny staw, można by spokojnie uznać, że kierowca się zdrzemnął albo miał udar. Jerzy podniósł torbę.

– Prowadzisz – syknął.

Wrzucił torbę do tyłu, wsunął się do samochodu i energicznie pociągnąwszy starszą panią, przesadził ją na fotel pasażera, potem wskoczył na tylne siedzenie.

W bagażniku znalazłem foliową torbę, reklamówkę niereklamującą nikogo i niczego, położyłem ją agentce na brzuchu, zdjąłem kurtkę i zakryłem nią przód jej ciała. Wychyliwszy się, zapiąłem jej pasy. Jasne, nasze wozy mogą być nieźle już nafaszerowane: czujnikami, nadajnikami, plastikiem. Zerknąłem w lusterko, energicznie zawróciłem i pojechałem w kierunku Świętokrzyskiej. Jerzemu biegały kciuki po klawiaturze palmtopa.



Skoncentrowałem się na wyszukaniu dobrego miejsca na przepakowanie wozu. Znalazłem podziemny parking. Tam migiem



upchnęliśmy agentkę w bagażniku, udało nam się nie poplamić krwią ani siedzeń, ani ubrań.

– Co teraz? – Włożyłem do ust dwie tabletki „*Mad-Croc Power Peppermint Energy Gum*”, świństwo, ale kopie jak cztery Red Bulla. Jerzy odmówił ruchem ręki. – Sprawa jakby nabiera tempa. Ruchy odwetowe.

– To dobrze – powiedział, myśląc zapewne o czymś innym. Mógłbym chyba go poinformować, że właśnie zesrałem się w spodnie, i usłyszałbym te same słowa aprobaty.

Skinąłem głową i ruszyłem na obchód parkingu. Na górnym piętrze było stosunkowo mało samochodów i tylko w jednym polonezie tablice były przykręcone wkrętami. Trochę się zasapałem, zamieniając tablice micry z numerami poloneza, ale po dwudziestu minutach podstawowy ruch został wykonany. Rozważałem w myślach wizytę w domu – moja torba, w której było kilka pożytecznych rzeczy, latarki, minizestaw narzędzi, wytryszki... Ale trochę strach było tam wchodzić. Ktoś nas wytropił, ktoś wytropił nierzucającego się w oczy agenta, zlikwidował go. Kto? Guimony, z tego co już wiedziałem, nie działają tak „na zapas”, z wyprzedzeniem. Atakują bezpośrednio, nie prowadzą gierki, nie osaczają, nie przygotowują pułap... Coś mi zaskojarzyło w głowie. To znaczy, poczułem, że jakaś trafna myśl jest tuż-tuż, że podskakuje w tłumie innych i usiłuje uniesioną łapką zwrócić na siebie uwagę.

Wstrzymałem oddech, ale Jerzy trzasnął klapką palma i odetchnął energicznie.

– Nie mam pomysłu – przyznał.

Wtedy moja myśl wyskoczyła wreszcie ponad inne.

– To nie guimony. A przynajmniej nie bezpośrednio powiedziałem szybko. – To przyjaciele i mocodawcy pani radczyni Ost... Kurwa, co mi się tak pieprzy? Samolej! Pani Samolej. – Palnąłem się w czoło,

żeby wbić sobie to nazwisko i nie mylić z kimś niewinnym.

– Czy te two... nasze guimony używają innych ludzi? Znaczy, czy zlecają morderstwa?

Pokręcił głową, zaciskając zęby.

– Jeśli coś takiego nastąpiło wcześniej, to w zakresie bardzo... takim prostym: jakiś otumaniony człowiek podpalił dom za pieniądze od guimona, może coś jeszcze.

– No to ewoluują – stwierdziłem. Chwilę milczeliśmy. – Może nasz kraj je stymuluje? – Zobaczyłem pytanie w oku Jerzego. – Żartuję, mamy do wykonania oczywisty ruch. Pani...

Samolej!

– Daj tej gumy – zażądał. Żuliśmy zawzięcie coś, co smakowało jak kiszona opona, leżąca od roku w zalewie z mięty „spieprzonej”. Ten smak pobudzał, nie mógł nie pobudzić.

– To jest tak oczywiste, że aż wygląda na pułapkę.

– Wtedy musielibyśmy włożyć pomiędzy podejrzanych i mojego szefa.

– Musielibyśmy. I tak musimy. – Wymierzył we mnie długie spojrzenie brązowych oczu.

– Skoro coś wie, to jest potencjalnie podejrzany.

– Jest.

Oparłem się o bagażnik, ale przypomniałem sobie, co zawiera, więc odsunąłem się, oparłem stopę o oponę, a łokcie na kolanie.

– Możemy coś wydusić z Samolej, możemy z mojego szefa. Wolałbym z Samolej. Szef nie będzie zadowolony. – Westchnąłem.

Dotarło do mnie z całą wyrazistością, że chyba właśnie rzuciłem pracę w firmie. Jak mam pracować pod kimś, kto – być może – przechodzi w razie potrzeby na drugą stronę, na stronę ciemnych mocy. Albo na stronę tych, którzy aktualnie mają w Polsce władzę. Może to jest wyjście? – przemknęła mi myśl. Przesłuchać Tupolewa,

zlikwidować go i wrócić do roboty jak gdyby nigdy nic. Jedna kulka, jedna wiązanka pogrzebowa, jedna mina kamiennie-współczująca. Przypomniałem sobie dwójkę synów Tupolewa, dwanaście i czternaście lat.

Hm, chyba jednak się zwolnię. Przejdę do BOR-u? Albo prywatna ochrona, stu najbogatszych potrzebuje osłony, kolejnych dwustu nie potrzebuje, ale lubi i stać ich na nią.

– Hej? – usłyszałem.

– Tak? – oderwałem się od, mimo wszystko, przygnębiających myśli.

– Pytałem, co robimy?

– Samolej – rzuciłem z mocą.

– A nnie to śmierdzi – poskarżył się.

– To guma.

– Guma też. Niczym gówno z pieprzem. – Żuł przez moment zawzięcie, jakby chciał szybciej pozbyć się tego obrzydliwego smaku.

– Jest też taka opcja: olewamy zanętę i robimy to, co chcieliśmy zrobić.

– A co chcieliśmy? – Rozłożyłem dłonie w geście: „Niech łaska Pana zejdzie...”.

Roześmiał się.

– Prawda. Niewiele mieliśmy zaplanowane. Podróż do... do Torunia?

– No. Jak nie masz co robić, to zawsze możesz pojechać do Torunia.

– To jakieś polskie powiedzonko?

– Tak. Właśnie wymyślone i implementowane do leksyki narodowej.

Znowu chwilę myśleliśmy. Jak zawsze w takich razach, kiedy nie wiadomo co robić.

– A może... – odezwaliliśmy się jednocześnie. – Ty pierwszy... – znów

w idealnym synchronie.

– Dobra, ja – zgodziłem się. – Może dwa w jednym: do Samolej i nieznacznie puścić bąka o Toruniu?

– To niesamowite! To samo wymyśliłem – skłamał.

– Jak ją znajdziemy?

Zastanowiłem się.

– Można przez Szymona. Musi mieć w karcie klubowej jakieś jej dane, to wymóg regulaminowy i w ogóle – warunek istnienia strzelnicy. Ale to może być wskazówka i wiesz...

– Rzuciłem przez ramię spojrzenie na klapę bagażnika. Jerzy pokiwał głową. – Możemy też przez kancelarie, to najprostsze. Jedźmy pod Pałac, w hotspocie znajdziesz ją migiem.

Jerzy wyjął gumę z ust, myślałem, że ciśnie nią w przestrzeń, ale rozejrzał się dokoła i nie widząc śmietnika, sięgnął do kieszeni po chusteczki higieniczne. Nie chciał zaśmiecać swojego *country* czy bał się zostawić DNA? Połknąłem swoją gumę. Przez chwilę pławiłem się w radości: niech sobie pobierają próbkę mojego DNA z takiej wydalonej kulki.

– A wiesz, jak się porozumiewa z pacjentkami głuchy ginekolog? Nie? Czyta z ruchu warg! – popisałem się dowcipem, wsiadając do wozu.

Wyjechaliśmy z parkingu, zgodnie chichocząc, trochę nerwowo. Ciało w bagażniku zaczerniało i tak czarny dowcip. Ale na zewnątrz nie było czasu na rozleniwione zrelaksowane życie. Marszałkowska już oferowała to, czego miała najwięcej: nieudolnych gamoni i chryżych chamów. Micry nie szanowali ani jedni, ani drudzy, jednakże mimo ich oporów dotarliśmy jakoś pod Bazylikę Stalina, zaparkowałem, wysiedliśmy.

– Zjedzmy coś – zaproponowałem. – Trzy w jednym?

– Okej. Menu nie szokowało, raczej dołowało, ale kawa była.

Poszedłem w cukier: dwa rogaliki, ekler, bajaderka. Jerzego zaintrygowała ta ostatnia, nie tłumaczyłem mu historycznej „zmiotkowej”, a może i aktualnej receptury bombki.

Smakowała mu, wziął drugą. W połowie drugiej kawy skinął głową.  
– Mamy adres.

Zamówiłem jeszcze jedną kawę. Jerzy nie korzystał z hotspota. Oczywiście, tylko oszczędzający na wszystkim Polak mógł sądzić, że nie stać go na łącze satelitarne. W duchu obśmiałem się ze swojej zaściankowości. Potem machnąłem na nią ręką.

Jakoś nie potrafiłem wykrzesać z siebie entuzjazmu do roboty, do odwiedzin u pani radczyni. Zdarza mi się, że widzę piękną koszulę, ale coś mnie serce do niej nie ciągnie, albo schłodzone piwo, a mnie się pić nie chce, albo... Albo widzę naturalny ruch, ewidentnie dobry kierunek działania, lecz coś mnie powstrzymuje. Kiedyś ukułem sobie własną prywatną teorię, z którą nie zapoznałem dotychczas nikogo, że żyję właśnie dlatego, że słucham swojej intuicji. Bo zawsze słuchałem.

Powiedziałem to Jerzemu.

Zamyślił się.

– No to odpuszczamy – rzucił po minucie. – Skoro nie masz do tego serca, to albo intuicja cię nie zawodzi, albo i tak jesteś nie do końca efektywny. A mnie też się to nie podoba. – Podniósł serwetkę spod filiżanki i kilkunastoma dopracowanymi ruchami zrobił z kóleciska jaskółkę. Cisnął ją na stół. – Jak nie radczyni, to co?

– Może zmodyfikujemy plan... – zacząłem wolno, jeszcze nie bardzo wiedząc, jak go chcę modyfikować, ale musiałem mieć coś na myśli, skoro otworzyłem gębę.

– No-no? – zainteresował się żywo.

– Ee... Nie będziemy jej nachodzili, tylko... – Zaznałem iluminacji. – Tylko ją będziemy paśli! Śledzili.

– O! Dobrze! – pochwalił mnie.

Pewnie, zawsze potrafię wymyślić coś na usprawiedliwienie własnego lenistwa!

No dobra, nie do końca tak jest. Jedynie skromność każe mi tak myśleć. To nie było lenistwo, lecz uleganie profesjonalnemu instynktowi. Tak, właśnie.

I gdy już ostatecznie oblałem siebie rozkosznie ciepłą i miękką falą samozadowolenia, zobaczyłem coś, co natychmiast mnie z tej fali wyszarpnęło, otrząsnęło i cisnęło na stertę... czegoś... no, gnoju.

Zobaczyłem Posokę.



## ROZDZIAŁ 11

Od dobrych trzech minut wpatrywaliśmy się w metalowe drzwi. Jak to szło? „Branża metalowa nigdy nie była moją ulubioną dziedziną przemysłu. Poświęcałem jej wyrobom tyle uwagi, co kot nasionom sosny kanadyjskiej. Chyba że jakaś gruda metalu została uformowana w zgrabną karoserię, albo nawiercono ją, tworząc jednookiego potomka Samuela Colta...”.

Mniej więcej tak się zaczynała jedna z moich ulubionych powieści. Coś jest na rzeczy, co mnie obchodzą szyny, kraty ściekowe – dopóki są na swoich miejscach! Co mnie obchodzą drzwi, choćby metalowe?! Chyba że są, a za nimi czai się jeden albo dwóch skurwysynów, których dawno należało usunąć z grona bardziej czy mniej zasługującej na życie ludzkości. A nawet co by mnie obchodziły te wszawe odrzuty, gdyby nie fakt, że trzymali ze sobą dwójkę chłopców, na oko ośmio – i jedenastolatka, których zgarnęli z szosy, czując na plecach oddech pościgu.

Kiedy dogoniliśmy ich zasranego golfa dwójkę, zanim kazali chłopcom pokazać się w tylnej szybie, poszła długa i celna seria po ich oknach. Rysiek triumfalnie splunął i syknął: – Ten z prawej dostał, na pewno!

I wtedy kierowca odwrócił głowę, wrzasnął, sięgnął ręką za siebie i zaczął coś szarpać.

Po chwili w oknie pojawiły się dwie zapłakane, umorusane i przerażone buzie.

– Kurrrwa! Wstrzymać ogień! – ryknął Bojo do słuchawki. – Powtarzam: bezwzględny zakaz ognia! Ścigani mają zakładników, to dwaj chłopcy, poniżej dziesięciu lat. Pasiemy ich.

– Odwrócił się do Żaby. – Co z blokadą?

– Jest. W Małogorzu.

Bojo przygryzł dolną wargę i zapatrzył się w mapę.

– Niech się migiem przesuną o siedemset metrów do przodu i ustawią sto metrów od rozjazdu w polną drogę. W każdym razie tak, żeby te gnoje ich zobaczyły z daleka i miały czas skręcić. Młynek niech polecą chyłkiem, nad lasem, i ustawi się gdzieś kilometr od szosy, zapora i tak dalej. Bez strzału, zakładnicy ponad wszystko!

Żaba pochyliła się nad radiotelefonem i zaczęła nadawać, szybko i dokładnie wymawiając słowa. Bojo, Rysiek i ja popatrzyliśmy po sobie, tylko Maciej wciąż uważnie śledził drogę.

– Spierdoliliśmy, panowie – powiedział Bojo. Miał na myśli to, że jechaliśmy za nimi w za dużym odstępnie i że daliśmy im szansę na wzięcie tarcz. Nie było co dyskutować.

Wskazałem mapę, uniosłem brwi.

– Droga wzdłuż lasu, cztery kilometry, potem łączy się z inną, a ta prowadzi do...

Sydzyny i do Jarmolina na północy. – Nie odrywając wzroku od mapy, Bojo dźgnął palcem Żabę. – Jarmolin i Sydzyna, tam mają być blokady, na wszelki wypadek. – Tym samym palcem przejechał po mapie, popatrzył na nas. – No nic. Jedziemy za nimi, doganiamy przed blokadą i zaczynamy rozmowy. Rysiek, ty negocjujesz.

– Rysiek strzelał, szefie – przypomniała Żaba. Ta baba miała jaja! – Jeśli zobaczyli, kto strzelał, a zwłaszcza jeśli trafił, to marna jego dupa!

– Zamknij się – wycedził spokojnie Bojo. – Powiedziałem, że Kamil negocjuje, to znaczy, że Kamil, i już!

Powstrzymałem ręce, żeby nie obmacywały ciała, siódmy czy ósmy raz sprawdzając oporządzenie. Byłem przygotowany, wiedziałem o tym, przygotowany na kilka okoliczności.

W ćwierć minuty mogłem przeistoczyć się ze szturmowca w



negocjatora, też mi! Zdejmujesz broń, podnosisz ręce, *smile* i heja!

Milczący, jak od roku Wolna Europa, Maciej przyspieszał wolniutko, dochodząc do chrypawicznego golfa. Wybrali najgorszy dla siebie wóz, ale tylko przy tym golfie kręcił się młody wygolony dupek, który oberwał po pysku od ludzi, na których naiwnie się wzorował: tatoo, pearsing i knajacki uśmieszek. I kluczyki od liftowanego w Kierszowej golfa. A tu z bocznej uliczki wypadają dwaj chwaccy wujkowie – po pysku, po ryju, kluczyki niemal z palcem wyrwane, kolczyk wbity w nos tak, że wyjęcie bez prucia mięska wykluczone. I zabrali golfa... Ech, życie, żebyś ty dupę miało, to bym ci w nią świerka wsadził. Ze szpicem i bombkami!

Roześmiałbym się, gdyby w tym golfie nie siedziały dwie zapłakane buźki. Obejrzałem się, za nami stado milczących, ale siejących niebieskie błyski wozów, środkiem, powstrzymując powiatowych huzarów, posuwał Dzielny Kazimierz i jego czterej Nieprzemakalni – nieprzemakalni od chwili, kiedy pomylili biegi i wtranzolili się na wstecznym do Wisły.

Wszystko by było dobrze, gdyby nie te dzieciaki; szły ze szkoły pewnie. No tak, bo gimbusy to ciągle jak sznurek do snopowiązałek, sprawa nie do załatwienia w naszym pięknym dobrym miłującym kraju.

– A może zatrzymać ich przed lasem? – powiedziałem. – W szczerym polu, niech zobaczą, że dokoła multum glin, że nie mają żadnych pierdolonych szans. To nie są Bonny i Clyde, to zasrane gnojki, pierdoło...

– Zamknij się, Kamil! – rzucił Bojo. – Umysł cię uwiera? Czy może dowodzisz akcją?

Co?

Zamknąłem się. Bojo przejechał palcem po mapie.

– Nie zdążymy – syknął. – Do twojej wiadomości, panie, kurwa,

mądry. Nie zdążymy!

– No to chuj, ustępuję przed realnością – mruknąłem.

Wsadziłem do ust trzy paski bezcukrowej gumy, przeczekałem pierwszy spływ smaku, strzyknąłem śliną na podłogę, omal nie trafiając w mapę Boja. Na szczęście akurat patrzył przez ramię na szosę przed nami. Rysiek naprężył ścięgna szyi w powszechnie zrozumiałym grymasie: „Oż-kurwamać!”. Odpowiedziałem takim samym.

No dobra, za chwilę skręca... Chyba żeby byli kompletnymi idiotami i chcieli się przebić.

I gdyby byli takimi kompletnymi idiotami, toby dobrze na tym wyszli, bo blokada się rozsunie jak spieprzony zamek rozporoka i przepuści ich. No, zobaczymy. Miejmy nadzieję, że nie mają czasu ani głowy, ani potencjału w tych jebanych głowach do myślenia.

Nie mieli. Skręcili grzecznie w gruntowe, z blokady jakiś ochoczy dureń pognał za nimi przez pole na skos, zarył się w ściernisku, policjanci wyskoczyli, zaczęli biec, zapadając się po kostki w piaskach, kurwa, Mazowsza. Co za głąby – wędzony śledź goni zająca na łyżwach! Skręciliśmy za bandytami, Bojo podniósł mikrofon, pewnie chciał powstrzymać tych durni, ale widząc, że na dogonienie golfa mają szanse mniejsze niż na siódemkę w lotto, opuścił rękę i zapomniał o nich.

Za ściganym wozem snuł się obłok kurzu, nie za gęsty, na szczęście, widzieliśmy ich świetnie. Zwolnili bardzo, amatorzy i dupki, najgorsza mieszanka, poza dupkami i bufonami.

Połać lasu nadpełzała z prawej, miałem co do tego lasu kiepskie przeczucia. Mogli zapuścić się weń i szukaj wiatru, pół biedy, gdyby rzucili się sami, to nie była puszcza biało wiejska otoczyłoby się ich i wyciućkało po trzech dniach głodówki, ale gdyby zabrali ze sobą dzieciaki?

– Podgońmy ich trochę, co, szefie? – nie wytrzymałem. – Żeby im nie przyszło do głowy uciekać do lasu z dziećmi.

– Ta. Użyj nogi, Maciej. Skoczyliśmy do przodu.

– Za czterysta metrów piaskownia – poinformował nas Bojo. Wcisnął klawisz łączności.

– Macie tam kogoś z miejscowych? Dawać szybko! – Odczekał chwilę. – Ta piaskownia...

czynna? Nie? Dobra. – Rozłączył się. – Pusta. Dalej mamy znowu pół kilo lasu i obszerną polanę, na jej drugim końcu stanie śmigło i tam zaczniemy działać.

Posłał mi znaczące spojrzenie. Skinąłem głową. Byłem gotowy i miałem jeszcze kwadrans – jazdy – i drugi, zanim się dogadamy na dogadywanie.

Pomyliłem się.

Las uciekł obłym rogiem w swoje wnętrze, odkrył się widok na zaskakująco dużą nieckę, od strony drogi, wiadomo, łagodnie opadającej i wżerającej się w pagór, owłosiony, porośnięty na czapie drzewami, z których najbliższe wysuwały skotłowane kępy korzeni.

Kilka zwaliło się lub miało zwalić za dwa pacierze. Po lewej, stojąc twarzą do niecki, teren był ogrodzony wysokim „ażurowym” betonowym płotem, w środku stały ponure masywne, sklecone z betonowych płyt trzy budynki, dwa większe i jeden mniejszy.

– Co to, do kurwy przepastnej, jest? – syknął Bojo.

Ścigani skręcili z „piskiem-na-piasku” opon, zakurzyli i wpadli w... co? Obejście?

Zagrode? Fabrykę?

– Pewnie w ramach prywatyzacji ktoś umyślił sobie, że się dorobi – rzucił przez zęby Maciej. Odezwał się po raz pierwszy od trzech godzin. – A im się dymi spod machy.

Golf, z rzeczywiście dymiącym czy parującym silnikiem, dopadł

środkowego budynku, jednego z dwóch większych, i niemal palnął lewym reflektorem w ścianę betoniszczą. Maciej zatrzymał się w charakterze bramy, wyskoczyliśmy z wozu i przyłgnęliśmy do muru.

Wchodzić na teren, powiedzmy, zarządu obiektu, nie można było, za blisko. Zdesperowane głupki mogły się nadmiernie podniecić. Tak jak w banku, nikt im nie przeszkadzał, nikt nie zaprzeczał, nie włączał alarmu, ale jeden, jak zeznali świadkowie, potknął się o ławkę i rozjuszony strzelił do grupki klientów. Cztery strzały, trzy trupy.

Żaba padła na ziemię i zerknęła za ścianę.

– Wleźli do środka – rzuciła przed siebie. – Z dziećmiakami.

Cofnęła się, ale nie wstawiała z ziemi. Usiadła, opierając się plecami o mur, z berettą na kolanach. Popatrzyła na Boja, ale się nie odezwała. Dowódca skinął na podjeżdżający nasz drugi wóz, pokazał na usta i zabudowania, Czerpak szybko wyrwał z bagażnika głośnik, ustawił na murze i podał Bojowi mikrofon. Bojo włączył go.

– Posłuchajcie mnie... – Chyba chciał ich jakoś określić, ale nie znalazł niczego.

„Chłopaki”? „Koledzy”? „Panowie”? – Jesteście otoczeni i nie macie najmniejszych szans na ucieczkę. Za porwanie dzieci dołożą wam do rabunku po dysze. Nie opłaca się. Wyjdźcie z podniesionymi rękami, bez broni i zakończymy tę zabawę.

Nie powiedział im, rzecz jasna, że za trójkę zastrzelonych jeden już ma maksa, a drugiemu się zbiera. Odpowiedziała mu cisza.

– Wypuście dzieciaki – ciągnął Bojo. – Wyrzućcie broń i wychodźcie, nikt do was nie strzeli. – Odczekał chwilę. – Narobiliście głupstw, ale przecież nie musimy ich mnożyć.

Maciek pomachał palcami i wskazał swoje słuchawki. Bojo wyłączył mikrofon.

– Bracia. Marek i Józef Warniccy, mieszkają nie daleko, w Owianie Starym. Starszy, Marek, ma jedno dziecko, młodszy, ten, co strzelał,

to kawaler. Popegieerowska bida.

Bojo zaklął bezgłośnie. Włączył mikrofon.

– Marek, masz dziecko, nie żal ci tych chłopaków?

– Żal! – wrzasnął nagle ktoś z obłożonego budynku. – Dlatego chciałem im kupić parę rzeczy. Bank nie zbiednieje, jest ubezpieczony! A ja nie!

Nawet nam się nie chciało wymieniać znaczących spojrzeń – zawsze to samo: „oni mają więcej, to się mogą podzielić”. Rozbrzęczała się drukarka w laptopie Macieja, wolno wysunęła się kartka z dwoma portretami, bracia Warniccy. Nierzucające się w oczy twarze. Wytrzeszczone do obiektywu tępawe gały. Bojo pokazał mi ich i ruchem głowy wskazał dom.

– Idzie do was mój człowiek. Pogadacie, dobrze?

– Niech pokaże, że nie ma broni! – krzyknął któryś z braci.

Odpiąłem szelki z bronią, podałem Żabie, odpiąłem oba granaty, pochwę z nożem, poprawiłem pas.

– Kamil, dasz radę? – zapytał z troską Bojo.

– Z palcem w dupie – zapewniłem go.

– A jak wyjmiesz palec, też? – rzuciła starym grepsem Żaba.

Zwyczajowo powiedziałem „ha!” i jeszcze raz „ha!”.

Podszedłem do bramy i wolno wysunąłem się na środek luki w murze. Obróciłem się wokół własnej osi, demonstrując brak broni. Nie czekając na zaproszenie, ruszyłem do budynku z parującym golfem przed wejściem. Kątem oka przepatrywałem teren, ale patrzyłem tylko w drzwi i okna.

– Chodź tu! – wrzasnął Warnicki, pewnie Marek. Z jednej strony wyglądało na to, że on tu dowodzi, z drugiej – w banku, jak zdążył zauważyć pobity ochroniarz, to ten młodszy szalał, straszył, bił, kopał... I to on strzelił do tłumu, nie raz, ale cztery razy, posługiwał się bronią z dużą wprawą, tak powiedział ochroniarz. Skąd u

wsiowego niedojdy wprawa w posługiwaniu się bronią? Skąd, w ogóle, u niego broń? Wojsko? Był w wojsku?

Drzwi do budynku się uchylły, po czym ukazała się ręka i pomachała do mnie.

– Wypuście dzieci! – zawołałem. – Będziecie mieli mnie.

– Chodź tu i nie dyskutuj, bo będzie krzywda! – rozległ się inny głos.

Zaleciało fałszem. Podniosłem ręce wyżej i opuściłem – to był nasz sygnał „Uwaga!”.

Podszedłem do drzwi i zobaczyłem, że stoi tam mężczyzna z bronią. Nie starszy z braci, Marek, tylko... I nie młodszy, Józek. Ktoś inny, bardzo marnie przypominający Józka. Wykrzywił usta w pogardliwym grymasie i pomachał lufą tetetki.

– Zrzuć kamizelkę! – warknął.

Wolno odpiąłem rzepy, podniosłem płat brzuszny, obróciłem się i podniosłem to, co miałem na plecach. Przy okazji wy skandowałem bezgłośnie, samymi ustami do wpatrzonych we mnie Boja i Żaby: „To. Nie. Jó. Zef”. Znowu stanąłem twarzą do bandyty.

– Ściągaj, powiedziałem.

– Wolę mieć na sobie...

– Możesz se woleć. Zrzucaj, kurwa! Po chuj tu przylazłeś? Kłócić się ze mną?

Odpiąłem jeszcze dwa rzepy i rzuciłem kamizelkę na suchą trawę.

– Włóż!

Wszedłem do budynku.

Bandzior się cofnął, skinął na mnie i pokazał, że mam stanąć twarzą do ściany. Przejechał ręką po moich plecach, bokach i kroczu, podejrzenie sprawnie. Coś tu śmierdziało, coraz mocniej. Szarpnął mnie za ramię i pchnął w stronę otworu drzwiowego na wprost drzwi wejściowych; w korytarzu, w którym staliśmy, biegnącym wzdłuż

ściany zewnętrznej, były jeszcze trzy drzwiowe otwory, jedno po prawej i dwie pary po lewej. We wszystkich brakowało nawet ościeżnic, zaradni miejscowi wypruli kiedyś wszystko, co się dało. W pokoju, do którego mnie wepchnął „Józek”, było okratowane okno. Do krat z lewej i prawej przywiązali za nadgarstki dzieciaki. Chłopcy stali zapłakani, z buziami, na których rozsmarowały się łzy i brud. Uśmiechnąłem się do nich, tylko czy to mogło dodać im otuchy?

Dorośli może by się ucieszyli, że odsiecz jest blisko, a czy ośmiolatka może pocieszyć świadomość obecności posiłków?

Ten drugi, to był Marek, miał za pasem broń. Znaczą gazowiec. Może dlatego nie strzelał, żeby się nie zdradzić. To on został „trafiony” – draśnięty w głowę powyżej ucha. Ale tylko draśnięty. Krwawienie już ustało.

– Dzieci was obciążają – powiedziałem, przekroczywszy próg. – To dla was tylko kłopot.

Nie męczcie ich, wypuście, a ja przecież zostaję. I będziemy rozmawiali.

– O czym, kurwa?! – Podskoczył do mnie ten z tetetką i wsadził mi lufę pod brodę.

Potulnie zadarłem wysoko głowę; nie patrzyłem mu w oczy. – O czym, ty wszo pierdolona?

„Wesz” – szpieg. Albo gość umyślnie popisuje się kminą, albo rzeczywiście siedział, czyli na pewno nie Warnicki.

– Przecież chyba nie macie złudzeń, że się stąd wyrwiecie? – Za lasem zaburczały silniki.

– Śmigłowiec, słyszycie? Za kilka minut nawet zając nie wymknie się z kordonu.

– Pierdolę zające – powiedział i stuknął mnie kolbą w czoło.

W gruncie rzeczy dałem ciała. Trzeba było wyrwać mu broń; ten drugi, z gazowcem się nie liczył. Po pierwsze, w zasadzie nie miał

broni, po drugie, chyba widział, że się wpackował w niezłe szambo. No i nie strzelał do ludzi, on miał o co się targować. Ale trudno, dogodny moment umknął. Potarłem czoło, żeby bandzior poczuł satysfakcję. Odskokczył.

– Chcesz gadać, to najpierw słuchaj – powiedział. – Chcemy jedną waszą furę, siadasz za kierownicą, bierzemy bajtla i jedziemy sobie stąd. Jak będziemy poza kordonem, wypuścimy was i po krzyku. Nie bój się, nie będziemy wyrywać chwasta.



„Wyrwać chwasta” – zabić przedstawiciela prawa. To też mi śmierdziało. Musiał wiedzieć, że zastrzelił kogoś w banku, że nie ma co liczyć na okoliczności łagodzące, i patrząc mi prosto w oczy, udawał, że nie ma takiej wiedzy. Na co liczył? Na wóz liczył, na wóz, potem trzepnie się w tył głowy kierowcę, z czystej sadystycznej nienawiści do wszystkiego i wszystkich, którzy nie mają takich kłopotów jak oni, zabije Warnickiego i dzieciaki, i runie w Polskę. Zdesperowany, rozjuszony, rozgrzeszony we własnym popierdolonym sumieniu. „Postępuję tak, bo oni mnie do tego zmusili! Gdyby się nie pchali ze swoimi spluwami, gdyby mi pozwolili spokojnie odjechać... A tak to macie!”.

– Wiesz, że to niewykonalne. Nikt mi nie pozwoli dać wam fury – powiedziałem. – Choćby dlatego, żebyście nie mogli narozrabiać więcej. – Popatrzyłem na Warnickiego. – W tej chwili jeszcze nie wszystko stracone, ale jeśli odrzucicie okazję do uwolnienia zakładników, prawo zacznie doliczać wam miesiące i lata z każdą godziną przetrzymywania dzieci.

Warnicki obrzucił rozpaczliwym spojrzeniem dzieci; młodszy



chłopiec zaczął płakać. Odwróciłem się do niego, żeby powiedzieć coś uspokajającego, ale nie zdążyłem. Ten z pistoletem odskoczył jeszcze o pół kroku, nagle odwrócił się i strzelił do współnika.

Mężczyzna zgiął się wpół, trafiony z odległości metra w brzuch i z jękiem zwałił się na kolana. Przyciskając ręce do tułowia, wytrzeszczył oczy.

– Poso... ka? Co ty robisz-sz?

Zwałił się na bok. Obaj chłopcy ryczeli na cały głos.

Posoka popatrzył na mnie. Spokojnie podniósł pistolet.

Cholera, ile jeszcze miał tam naboji? Przeładowywał wcześniej? Miał zapasowe magazynki czy zostały mu tylko trzy pociski? Nie, za pewno się czuje, musiał mieć zapas amunicji – i wycelował do mnie.

– Nie będziemy negocjowali, psie! – wycedził. – Albo zrobisz, co ci każe, albo rozwalę jednego szczyła...

– Przesunął lufę i wymierzył w młodszego z chłopców.

– Pif! – powiedział i udając podrzut, uniósł z uśmiechem pistolet.

– Posoka-a... – jęknął Warnicki. Posoka odwrócił się do niego.

Nie było już na co czekać. Prysnałem do przodu, żeby uderzyć w złączenie kręgosłupa z czaszką – to miło rozłącza świadomość z ciałem obiektu – ale Posoka okazał się szybszy, niż myślałem. Odchylił się, trafiłem tylko w bark, to mu nie zaszkodziło, ale powstrzymało rękę z pistoletem. Wykorzystałem impet uderzenia, przesunąłem jego rękę do nadgarstka, uchwyciłem go i dokończyłem ruch w dół, a potem – zanim strzelił mi w stopę – za plecy, do góry i w bok. Wrzasnął, wypuścił pistolet, ale zwinął się i kopnął mnie w bok żeber kolanem.

Wyłamałem mu za to kciuk i puściłem go. Mała zemsta nie zaszkodzi. Ucieszył się, odskoczył i od razu wybił się w powietrze, zamierzając podwórkowym kopniakiem w szczękę skończyć zabawę. Ale ta dopiero się zaczęła. Zablokowałem jego kop, złapałem za stopę

i przekręciłem energicznie. Chrumknęło coś, nawet wiedziałem co, Posoka runął na pysk na ziemię. Ale jeszcze miał coś do powiedzenia. No, nic dziwnego – Trzy trupy?! I Warnicki – cztery... Umyślnie nie wołałem nikogo, dzieciaki zamilkły, ranny poruszył słabo palcami. Właściwie tylko z jego powodu postanowiłem zakończyć spektakl, aczkolwiek chętnie bym mu jeszcze połamał kilka elementów kostnych.

– Leż, gdzie leżysz, gnoju! – rozkazałem Posoce.

Nie usłuchał. Usunąłem się więc, gdy wstawał, odczekałem, aż wyjmie swój scyzor. Nie mógł sięgnąć nim ani agonizującego kumpla, ani tym bardziej dzieciaków. Skinąłem nań złączonymi palcami: „Dawaj!”. Kicnął w moją stronę na jednej nodze. Ale udawał, wiedziałem to. I już mi się odechciało zabawy. Gdy zamarkował pchnięcie, nie robiłem uniku, czego oczekiwał, tylko skoczyłem na cofający się nóż, chwyciłem nadgarstek, bujnąłem w górę, zawinąłem się, z przyjemnością słuchając pięknego ryku bólu, nóż wyprysnął w powietrze, okręciłem Posokę, i z całej siły kopnąłem podszwą w kręgosłup.

Trochę mi podjechała lewa noga na zalegającym na podłodze żwirze, kopniak, który miał wbić Posokę w ścianę i znieczulić go na siedem pacierzy, ledwie wytrącił go z równowagi. Osłonił się ręką, odwrócił i widząc mnie przykucniętego, szurnął nogą, by śmieciami z podłogi zasypać mi oczy. Tego nie lubię.

Poderwałem się, pociągnąłem klamrę paska i zrywając go z siebie, wykonałem półobrót, wytrenowanym do perfekcji ruchem wydarłem ukrytą pod klamrą kotwę, szarpnąłem – wypełniające przestrzeń między pasmami skóry, nanizane na stalowe ścięgna płytki zazębiły się, wysunęły z krawędzi paska, który stał się w pół sekundy twardym i ostrym jednostronnym, niestety, mieczem. Posoka już zobaczył mój ruch, odwracał się w poszukiwaniu noża, pistoletu, czegokolwiek,

czas popłynął wolniej, jakby się przedzierał przez gęsty kisiel rzeczywistości. Zamierzałem płazować Posokę w głowę, ale był szybszy, niż przypuszczałem już sięgał do innej kieszeni, pewnie znowu po nóż, nie celowałem więc w głowę, i nie płazem: krawędź paska-miecza trafiła Posokę w dłoń. Trysnęła krew, wypuściłem miecz i z obu nóg rąbnąłem wrzeszczącego Posokę w pierś. Poleciał dwa kroki, huknął w ścianę plecami i głową, osunął się na ziemię i znieruchomiał.

– Nie strzelać! – wrzasnąłem w kierunku okna. – Nie strzelać. Sytuacja opanowana!

Sekundę później w pokoju był Bojo z Ryśkiem. Pokazałem im Posokę.

– Ten jest groźny, choć mam nadzieję, że zmiażdżyłem mu czerep. Tego drugiego zabił, bo mu się postawił. Ale może i żyje...

Rysiek podskoczył do nieprzytomnego bandziora. Sprawdził puls na szyi.

– Żyje. – Uniósł jego rękę. – Odchłastałeś mu dwa i pół palca. – Szybko przeniósł się do Warnickiego. Tu badanie trwało znacznie dłużej. – Zipie, ale ledwo się trzyma...

– To do dupy. Chciałem cztery – powiedziałem, patrząc na Posokę. Żeby tak się ocknął. Dołożyłbym jeszcze te półtora!

– To znowu ten twój pierdzielony *shingum*.

– To nie jest, dupku, *shingum*. *Shingum* to koreański tradycyjny miecz, a to jest tylko miecz, *geom*. Nazywam go tak dla prostoty. Takie miecze nie istnieją, ale skoro go mam, to jakoś musiałem nazwać.

– Wiesz co, Kamil, ty to jesteś pokręcony jak zreumatyzowany korkociąg.

Wzruszyłem ramionami i podszedłem do młodszego z chłopców, zasłoniłem sobą pokój.

– Jak się nazywasz?

– Łukasz...

– Łukasz. No i pięknie. Już po wszystkim. Odwiązałem go, jego kolegę odwiązywała Żaba.

– Lekcje macie odrobione? – zapytała.

Obaj chłopcy gapili się na nią z otwartymi buziami. Kątem oka zobaczyłem, że Rysiek kręci z niedowierzaniem głową, ale nie patrzyłem tam – chwyciłem Łukasza na rękę i wyniosłem, odwracając go plecami do pokrwawionych napastników, na zewnątrz.

– Chcecie się przelecieć helikopterem? – zaproponowałem.

Popatrzyli na siebie.

– A może wylądować na boisku koło szkoły? – spytał z niedowierzaniem ten starszy.

Siąknął nosem, ale gil z górnej wargi zniknął dopiero pod językiem.

– Pewnie.

– No to tak. – W oczach rozbłysło mu szczęście. Chłopcy odlecieli z Żabą, karetka z Warnickim odjechała.

Skuty i obandażowany Posoka leżał na ziemi, czekając na transport. Stali nad nim dwaj chłopcy, mierzyli z peemów i jednoznacznie czekali na pretekst do użycia ich. Posoka im go nie dał.

– Dostał dwadzieścia pięć. A rok później doszło do mnie, że załapał się na świadka koronnego, co musiało przynieść mu spore korzyści.

– Ale że aż takie?

– Zwolnienie?

– No bo został zwolniony. To na pewno był on. Obcięte palce mu nie odrosły, gęba paskudy została. Wąs i przefarbowane na Rubika włosy nie zmieniły go na tyle, żebym nie rozpoznał plugawca.

– I on też mnie rozpoznał.

– Patrzyłem mu w oczy, a do Jerzego powiedziałem: – Może być dziwnie. Widzę tu gościa, którego trzy lata temu pomogłem wsadzić

za kratki.

Nie dodałem: „Wiedząc, że usiłuje sobie nagrabić słomy pod dupę, rozpuściłem przez znajomych klawiszy pogłoskę, że jest pedofilem i gwałcicielem”. Myślałem, że to załatwi sprawę, ale – co widziałem teraz naocznie – nie załatwiło.

Podpatrzonym na filmach gestem Posoka wycelował do mnie z palca. Użył tego, który miał – wskazującego lewej dłoni. Nie poruszyłem się, patrzyłem na niego bez ruchu, starałem się, żeby to było spojrzenie kobry, chwilę przed atakiem na szczura. Szczur opuścił rękę i z krzywym uśmieszkiem odwrócił się i szybko wpasował w tłum.

– Idziemy – powiedziałem do Jerzego.

Włożyłem kelnerce w dłoń pięć dych i nie zwlekając ruszyłem w odwrotnym do Posoki kierunku. Micra grzecznie czekała na nas, ułożony na uszczelce szyby listek nadal tam leżał; na razie nie było powodu do nadmiernego niepokoju.

– To co, Toruń? – zapytałem. Jerzy milczał chwilę.

– Trochę to takie... – Pokręcił głową. – Nieprzygotowane...  
Zwolniłem do przepisowej pięćdziesiątki.

– Zmieńmy przynajmniej wóz – rzucił w przestrzeń Jerzy. Wywołał z pamięci swojego palma jakiś numer i po angielsku zażądał zmiany wozu. Umówił się na spotkanie w parku Kaskada.

Swoją drogą, pomyślałem, najpierw oficerowie Armii Czerwonej rządzą się u nas, jak u siebie, albo i gorzej, a teraz nowy ukochany sojusznik pracuje tu bez żadnej kontroli? Czy to może ja jestem tym kontrolerem? Nie chcę.

Mieliśmy sporo czasu, zużyłem go na kluczenie po kilku uliczkach, na których musiałbym zauważyć ogon. Oczywiście można było podłożyć nam nadajnik i w ogóle nie jeździć po mieście. Pół godziny później byliśmy na Popiełuszki. Jerzy odebrał telefon, wskazał głową

wsuwającą się przed nas toyotę.

– Na najbliższych światłach po skrzyżowaniu z Armią Krajową przesiadamy się do nich.

Ja prowadzę.

Dobra, rzuciłem okiem do tyłu, nic nie zostało po mnie w tym samochodziku. Jerzy otworzył skrytkę, wyjął płaskie ciężkie pudełko i po chwili wahania ułożył je sobie na kolanach. Słusznie, jedna pukawa więcej, to zawsze o jedną pukawę więcej.

Akcja zamiany wozów odbyła się sprawnie i nawet nie wzbudziła specjalnego zainteresowania pasażerów stojącej na przeciwległym końcu skrzyżowania mazdy. Kłócili się o coś, z tyłu dziewczynka okładała starszego brata, a ten zabierał się do pokazania jej, kto w tym kraju nie lubi przesolonej zupy.

Grafitowy nissan navara dogonił nas za miastem. Już wcześniej ustawiłem sobie lusterko na przysłonie tak, że obserwowałem drogę za nami, przez długi czas miałem za plecami słońce i pustą drogę, potem, za zakrętem, gdy słońce skryło się na pół minuty za drzewami, zobaczyłem, że dogania nas para, właśnie navara i opel turan. Navara zawisła za nami, Turan nas wyprzedził, ale odchodził bardzo wolno, tyle tylko, żeby się wydawało, że odchodzi.

– Czyżby? – mruknąłem.

Przez chwilę bawiła mnie myśl, że wóz, wypełniony pewnie półtuzinem uzbrojonych bandziorów ma rybę na tylnej klapie. Postrzelamy se, pospowiadamy się!

Jerzy uważnie patrzył w lusterko, potem jakby się namyślił, bez słowa otworzył trzymaną przez cały czas na kolanach kasetę i wyjął miłego oku hecklera & kocha, dwa magazynki włożył do kieszeni, pustą kasetę cisnął za siebie.

– Uciekamy? Wydajemy bój? Czekamy? – zapytałem zaciekawiony.

– Nie wiem, dwa vany to kupa ludzi. Guimonów chyba nie ma,

raczej bym je wyczuł...

– O? To zmienię amunicję!

Zabrałem się do roboty. Wymiana magazynków zajęła mi pół minuty. Jerzy w tym czasie powiadomił kogoś gdzie jesteśmy. Sięgnąłem po omacku do torby, wyjąłem Pana Puka i pas *georn*, potem się zawahałem: Posoka musiał dobrze zapamiętać giętką zmię zmieniającą się w mgnieniu oka w prostą szablę. Ale gdyby doszło co do czego, to Posoka, czy będę miał pas, czy nie, i tak mi da popalić. Włożyłem więc pas pod koszulę, z trudem lecz udało się.

Zbliżaliśmy się do skrzyżowania. Turan przed nami zwolnił, w okolicy było jednak sporo zabudowań i pojawiło się kilka samochodów, nic więcej nie mogli zrobić.

– Podkręcimy obroty – mruknął Jerzy.

Włączył prawy kierunkowskaz, skręcił w lewo i gwałtownie dodał gazu. Turan, oczywiście, pomknął w prawo, rozjarzyły mu się światła stopów, zniknął za stojącą w rozwidleniu dróg willą. Nabieraliśmy prędkości, navara za nami utrzymywała jednak dystans bez specjalnego wysiłku. Nie było co liczyć na niemoc umysłową konstruktorów nissana.

– Pokaż tego swojego GPS-a.

Jerzy sięgnął do paska, odpiął i podał mi jakieś nieznane wypasione na Maksia amerykańskie чудо. Ale kilka wskazówek później miałem na ekranie naszą pozycję i okolice, zwiększyłem skalę.

– Wiesz co, mamy za trzy kilometry odnogę w prawo, pod wiaduktem, którego moglibyśmy bronić, przynajmniej przez moment, dopóki nie zaczną przełazić górą, a dalej mamy rzekę, rozlewisko jakiegoś dopływu Wisły i mostek. Tego tak szybko nie sforsują.

– Okej.

Wcisnął gaz do dechy, oderwał się nieco – bardzo nieco – od navary, zyskaliśmy może siedemdziesiąt metrów, ale i to było dobre.

Na razie nie otwierali ognia, może mieli wsparcie od frontu?

Odpiąłem pasy, pochyliłem się, wymacałem automat stopu i wyszarpnąłem kabelek.

Mogłem od tej chwili żywić nadzieję, że światła hamulców nie zdradzą przedwcześnie naszych zamiarów.

– Co tam szarpiesz? – zapytał chyba zirytowany Jerzy. – Chcesz nas pozbawić prądu?

– Nie, to tylko, tak sądzę, światła stopu. Wyluzuj, Jerry.

– Aha. Dobrze. Bardzo dobrze. – Pół minuty żuł w milczeniu szalonego krokodyla. – To ten zjazd?

– Tak. Zaraz za wiadukciem wyrzucić mnie, a sam podjedź jeszcze kilkanaście metrów, żeby nie mieli wozu na widoku.

Jerzy wszedł w zakręt efektownie i skutecznie. Prędkość spadła nam nieznacznie, prześladowcy natomiast palili po dyletancku gumy. No, może nie palili, ratował ich ABS, ale weszli w zakręt jak banan w rurę. Dupki.

Dopadliśmy do wiaduktu po trzech minutach, Jerzy wykorzystał zwiększający się odstęp od pościgu i wyrzucił mnie dopiero, gdy zniknęliśmy im z oczu. Pędem wróciłem do ceglanego muru-obudowy wiaduktu i przylgnąłem doń. Chwilę potem usłyszałem pracujący na wysokich obrotach silnik, a z tyłu szurgotanie na żwirze stóp Jerzego. Wysunąłem się i posłałem cztery pociski w kierowcę navary i dwa w oponę. W oponę spudłowałem, kierowca – albo trafiony, albo szybko reagujący – wcisnął pedał hamulca. Wóz zarzuciło na szutrze, majtnął się w lewo, w prawo, znowu w lewo i jakimś cudem nie kapotując, ustawił się w poprzek drogi, niemal ją blokując. Zapamiętałem, że niemal. Wysypałem w kadłub cały magazynek, ale ktoś przeżył, bo otworzyły się drzwi z przeciwległego boku. Jerzy gruchnął na ziemię i posłał całą serię pod karoserią, ktoś tam wrzasnął i zwałił się na ziemię, zaturlał się za koło, znieruchomiał, ktoś inny uskoczył też za



koło, potem dwie sylwetki wytrysnęły ładnymi łukami zza wozu i runęły do rowu. Ostrzelaliśmy je, ale nie postawiłbym na efektywność więcej niż dwóch setek. Na razie nikt do nas nie wystrzelił ani razu i taki układ wydał mi się całkiem uroczy.

Przyłożyłem się i pozbawiłem luftu oba koła lewej strony, coś poruszyło się w okienku przy kierownicy, jednocześnie z Jerzym posłaliśmy tam po kulce. To coś przestało się odpinać z pasów. Odezwał się natomiast rów, chłopcy się rozpetzli, sypnęli po obfitej serii z kałachów. Jerzy przeturlał się pod osłonę muru z przeciwległej strony. Wyglądało na to, że siły były równe: dwaj w rowie przeciwko dwóm za wiaduktem. Ale nie, navara zadrzała i jeszcze ktoś wyskoczył z wozu, rzucił się do rowu z lewej. Wydawało mi się, że drgnęły mu nogi, gdy posłałem do lecącego ciała kilka pocisków z glocka. Ostatnie trzy naboje wydałem kolegom z kaemami i zająłem się zamianą magazynków.

– Gdzie ten ich turan? – zapytałem.

– Właśnie, żeby nie próbował jakiegoś obejścia. Próbował.

Pod karoserią zdefekowanej navary zobaczyłem, że turan zatrzymuje się dwieście metrów przed nasypem. Ależ ze mnie dupa!

– Jerzy, potrzymaj ich chwilę. Ja skoczę na górę, co?

– Dawaj! Migiem wdrapałem się na nasyp, przeskoczyłem tory, lekko podrdzewiałe, raczej pociąg nam nie groził, rzuciłem się na ziemię i zobaczyłem kątem oka, jak zbliżają się do mnie małe gejzerki żwiru: któryś z rowu wpadł na ten sam pomysł co ja i zrealizował go sekundę wcześniej. Przeturlałem się przez szyny, grzmotnąłem lewym łokciem w metal, wystrzeliłem z Gnata.

Przeciwnik poderwał się na równe nogi i wymierzył jeszcze raz. Dał mi bezcenne pół sekundy, Gnat dał mi zaś celny pocisk, który gruchnął go w mostek. Dotychczas wydawało mi się, że tylko kaskaderzy w amerykańskich i – ostatnio widzianych – rosyjskich

filmach tak efektownie padają na plecy, spektakularnie rozrzucając ręce na boki. Nie, ten gość albo rzeczywiście umarł chwilę temu, a energia pocisku wywołała ten filmowy upadek, albo skończył kurs kaskaderki.

Nie, nie skończył. Albo skończył, tylko że już do niczego nie wykorzysta dyplomu. Chwyciłem glocka, wychyliłem się i poczęstowałem dwoma pociskami drugiego rezydenta w rowie. To by było tyle w temacie nissana i jego załogi. Ale zbliżały się sylwetki, i było ich nieco więcej, sześć, z turana. Siódma wyglądała zza wozu i nerwowo zdawała relację do słuchawki mobila. Wydawało mi się też, że w navarze coś się poruszyło, palnąłem cztery kontrolne razy. Wóz znieruchomiał.

Przezołgałem się trochę w bok, zdobyłem kałacha, coś tam jeszcze było w magazynku, posypałem tym turana, szyby miło wytrysnęły w powietrze.

Cholera, jak na razie szło nam wspaniale. Zdaniem Jerzego zawisły na nas nie guimony, ale ludzie, z tym że ci ludzie zachowywali się niemrawo, z fatalnym dla siebie skutkiem. Zza turana wychylili się: z jednej strony, od przodu, ten gość z telefonem (już nie z telefonem), z tyłu zaś wyłonił się pysk Posoki. Obaj posłali serdeczne porcje w moim kierunku.

Przylgnąłem do ziemi. Leżąc między szynami, byłem na razie całkowicie bezpieczny, przezołgałem się z powrotem na swoje pierwotne stanowisko.

Czego można się było spodziewać? Że strzelanina zaalarmuje jakichś ludzi, ktoś z nich wyjmie komórkę i wystuka 112 albo 997. Można było także spodziewać się posiłków dla Posoki, nieważne, wynajętego przez... tak, Samolej, czy może działającego z własnej i nieprzymuszonej zemsty. Być może mogły też do nas dotrzeć posiłki Jerzego. W końcu starsza pani, której ktoś perforował jamę brzuszną,

nie była jedyną jego pomocnicą. Ciekawe, do jakiego stopnia Jerzy może korzystać z rezydentury USA, jawnej i tajnej? No i co zrobimy, jeśli pojawi się policja?

– Kamil? – usłyszałem z dołu.

Wypaliłem kilka razy na wycucie, nie wystawiając głowy, przeczołgałem się na drugą stronę torów. Szkoda, że nie jeździł nimi pociąg. „Wsiąść do pociągu byle jakiego, nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet...” – ani o Posokę i jego kumpli, i pojechać parę kilometrów stąd...

– Tak?

– Sytuacja?

– W najbliższej okolicy mamy tylko ciała, z turana wyległo sześciu i wolno się zbliżają.

– Oślaniaj, skoczę po ich broń!

Wróciłem, ale na inne stanowisko. Sypnąłem nabojami w tych najbardziej ochoczych; zrozumieli aluzję, zalegli, odpowiedzieli ogniem. Poprzez trzask broni palnej usłyszałem szcęk drzwi – Jerzy penetrował wnętrze navary. Przesunąłem się jeszcze kawałek, wycelowałem w najbliższego oblegającego, posłałem mu pakiet z ośmiu pocisków, któryś trafił, bo koleś wrzasnął, poderwał się na równe nogi, i trzymając za bok, pokuśtykał do turana. Usłyszałem krótką serię, gość złamał się w pasie i odwrócił, by runąć na łękę głową w stronę opła, twarzą do nieba. Po półsekundzie wszyscy napastnicy wpadli na ten sam pomysł: posłali do navary przeciągłe serie. Chętnie bym znowu zwalił pół tuzina pocisków na kolejnego, ale powoli widmo braku amunicji zaczęło podnosić łeb.

I jeszcze jedno widmo – posiłków.

Wzniecając kurz, od szosy mknęło białe volvo kombi. Takie kombi może przewieźć kupę amunicji. Nie nam.

– Jerzy?! – wrzasnąłem.

– Widzę! – I po chwili, po długiej serii poślanej w opla, po której osiadł na drodze: – Spadamy!

Dla żartu wystrzeliłem w drogę przed volvem, kierowca na widok gejzerka kurzu zarzucił nerwowo kierownicą, ale nie wywrócił wozu ani nie zjechał na łąkę, zwolnił tylko i się zatrzymał.

Z kabiny wyskoczyło pięciu bysiów i błyskawicznie prysnęło na boki. Mieli do przebiegnięcia jeszcze dwieście metrów. Nie pokazując się, przeturlałem się kolejny raz za szynę i zjechałem na dół; Jerzy już był obok toyoty. Wskoczyłem i ruszyliśmy.

Przeładowywałem magazynki, mogłem to robić, nie patrząc, więc się odwróciłem.

– Szybko się otrząsnęli – poinformowałem Jerzego.

Volvo już wynurzyło się spod wiaduktu. Musieli jednak jakimś cudem zobaczyć, że odjechaliśmy. Wóz najeżył się lufami, w naszym, z bardzo grubsza, kierunku sypnęło ołowiem. Spod wiaduktu wyłonił się też turan, ale po kilkudziesięciu metrach znieruchomiał.

Z jego wnętrza wypadło trzech, pognali pieszo za wzbijającym kurz volvem. Z tyłu coś pyknęło, raz i drugi, Jerzy przyspieszył, zwolnił, zaczął kręcić kierownicą na boki, ale i tak nagle jakiś pocisk, zbłąkany, miałem nadzieję, przedarł się przez tylną szybę, musnął górny róg mojego fotela i wyleciał przez przednią. Jerzy wcisnął gaz do dechy, mostek był już blisko. Chyba kamienny z murowanymi barierami, nawet wznoszący się nieco nad płaszczyznę pół, a raczej mokradeł, na pewno nie było tu nic lepszego do obrony. Chwyciłem klamkę drzwi.

– Zaraz za mostkiem droga skręca ostro w lewo, uważaj – powiedziałem. – Na moście zwolnij, ja już tam wyskoczę...

– Okej – rzucił, dzieląc uwagę między lusterko i drogę przed nami.

Przemknęła mi przez głowę myśl, że mieliśmy jak dotąd, zwłaszcza dzisiaj, furę szczęścia. Największe zasoby fartu prędzej czy później się

jednak kończą, co dowodnie udowodnił ten skoczek, któremu nie otworzyły się oba spadochrony, wpadł, co prawda, do stawu, ale wybił mu oko profesjonalny wędkarz ostrzeliwujący z procy akwen kulami z twardej zanęty.

Nam też się skończyło babci sranie: tuż przed mostkiem któremuś ze ścigających nas farciarzy udało się trafić w tylną oponę. Huknęło silnie. Wbijaliśmy się już w łuk na mostek, rzuciło nami w prawo, potem mocno w lewo, Jerzy skontrował. Trzymałem ciągle palce zahaczone o klamkę, drzwi otworzyły się, cisnęło mną o nie, a gdy Jerzy szarpnął kierownicą, walnęły w barierę i odbiwszy się, mnie w gło....wę...



## ROZDZIAŁ 12

Trzasnęło, jakby ktoś walnął młotkiem w cztery ułożone na sobie warstwy szkła. Nawet nie zabolalo, po prostu po umyśle rozlała się czerń i cisza, a potem zafalowało, rozplynęło się chłodem i – dopiero teraz – bólem.

– Już musi być przytomny, tylko udaje, kurwisyn – usłyszałem.

I była to prawda, już byłem przytomny, już pamiętałem co się stało, i udawałem. Poza synostwem wszystko się zgadzało. Otworzyłem oczy. Nie słyszałem strzałów. Bandydzi, a widziałem ich siedmiu, mieli schowaną broń. Czyli już po zabawie.

Skrzywiłem się teatralnie, ale chodziło o zamaskowanie eksplozji niepokoju: co z Jerzym?! Skrzywiony rozejrzałem się. Ósmy stał na szosie i wpatrywał się w stronę, z której przyjechaliśmy, kuśtykał stamtąd jeszcze jeden członek grupy. To było z lewej, z prawej, plecami do mnie stał Posoka i rozmawiał z kimś przez komórkę. Za nim zobaczyłem wystające z rozlewiska koła naszej toyoty. Nic więcej nie było widać.

– Posoka, masz go! – powiedział jeden ze stojących tuż przy mnie i kopnął mnie w zębra.

Zawołany obejrzał się, ale od razu odwrócił z powrotem, tam, w słuchawce, było coś ważniejszego. Miałem skute kajdankami ręce, Gnat z glockiem leżały na balustradzie mostu... Ha, niemal Brzechwa: „Gnat srebrny z glockiem w jednym stali domku... Czy to Tuwim? Cholera, wybili mi z głowy foldery z pamięcią codzienną? Dlaczego obie moje spluwy nie poszły „między ludzi”? Czyżby miały do czegoś posłużyć? Najprościej: ja wystrzeliłem w Jerzego, on do mnie. Ale nie mają Jerzego. Czy tylko stąd zwłoka?

Posoka skończył gadać, złożył motkę i odwrócił się do mnie.

– I co, kurwa twoja zapieczona? – rzucił wesoło.

– Jesteś mój! – Aż podskoczył w miejscu z radości, – i zaraz cię zabiję i pójdę za to do pierdła, cieszysz się? I będą mnie tam jebali inni więźniowie, okej? Będę buzował, będę się złościł, będę się jarał swoją nienawiścią. Czujesz to? Odsiedzę osiem lat, wyjdę i złapię twoją siostrę, wiesz? Mamy na nią namiar. Kapujesz? I potem ją zjebimy z ziomami tak, że jej cipa będzie wyglądała jak kilo drobiowej wątróbki, czujesz to, koleś?

Podszedł i czubkiem buta posłał mi na twarz piach, żwir, kurz i słomę. – Cieszysz się? No to się nie ciesz, bo tylko zakończenie jest do wykonania. Do pierdła nie pójdę.

– Na pewno nie. Nie dożyjesz pierdła. – Splunąłem kurzem z warg.

Jego radość i wesołość bardzo mnie zmartwiły. Oznaczały, że jemu szło dobrze. Mnie było smutno, czyli nie szło gładko. Czułem, że mam na sobie *geom*, nawet skutymi rękami mógłbym od biedy wyszarpnąć go i usztywnić, a nawet ciąć, tylko kogo? Ilu bym zdążył, zanim któryś nie wyciągnie spluwy? No i jak ochronić Marzenkę? Już miałem na końcu języka jakiś dowcipny tekst o jego zapieczonej w trakcie odsiadki dupie, ale się powstrzymałem – musiałyby mnie zabić, a tego nie lubię. No i wolałbym wiedzieć, kto ich nasłał.

Milczałem więc.

Posoka zrobił jeszcze krok w moją stronę, już chyba dojrzał, żeby glanować mi trochę żebra, ale z jego kieszeni dobiegło mamrotanie Eminema. Wyszarpnął komórkę i odwrócił się do nas plecami. Z drugiej strony dokuśtykał ten ranny w nogę; sądząc po ilości krwi wylanej na pociachane dżinsy, nie miał długiej kariery przed sobą, ale był dzielny. Był to dobry czas, zwałił się o dwa kroki przed czekającym na niego kumplem, ten obejrzał się bezradnie.

– Kurwa, róbmy coś, nie?! – rzucił do ziomów. – Przez, kurwa, przekręci się, nie?

Ziomy przestąpiły z nogi na nogę, wszystkie niemal jednocześnie popatrzyły na Posokę, ale ten kiwał głową jak spierdolony japoński piesek Aibo.

– Siedmiu... – powiedział w końcu. – Jednego mamy, drugi utonął.

Powiedzieć, że poczułem zimne ciarki na plecach, to nic nie powiedzieć. Zacisnąłem zęby. Odetchnąłem.

– Ośmiu! – zawołałem do Posoki. – Tu jeszcze jeden kopie w dyktę!

Najbliżej stojący nie wytrzymał i poczęstował mnie szpicem w bok, częściowo zasłoniłem się przedramieniem, to go rozjuszyło, pewnie zaboląło podbicie. Pochylił się i huknął mnie w ucho. Zwaliłem się na bok, ale od razu wyprostowałem i splunąłem w wykrzywiony nienawiścią pysk. Nawet nie otarł śliny, tak się śpieszył. Najpierw przymierzył się do powtórki w ucho, ale okręciłem się i wyprostem obu nóg wyrzuciłem go w powietrze, miał pecha, natrafiając na barierkę, jęknął i przeleciał przez nią.



A to było sygnałem dla reszty. Nie czekając na znak czy przyzwolenie, skoczyła do mnie cała szóstka czy siódemka, wszyscy poza zdychającym na drodze i rozmawiającym przez komórkę Posoką. To było dobre – w tłoku nie potrafili wyprowadzić porządnego kopniaka ani naprawdę bolesnego ciosu. A te, co dochodziły, były mi dziwnie obojętne. Nie podobały mi się i tyle, tylko tyle.

Jerzy nie żył, mnie zostało kilka minut... Ogarnął mnie jakiś szalony rodzaj apatii, przejawiającej się w obojętności do siebie, wewnętrznego chłodu i zacieklej nienawiści na zewnątrz. Kręciłem się na ziemi, kopałem na wszystkie strony, waliłem rękami, w co mogłem i – niestety – ciągle nie miałem pozycji do wyszarpięcia *geomu*, do



chłaśnięcia, cięcia, rżnięcia, krojenia! Krojenia! Mordowania!

– Won! – usłyszałem ryk. Potem ktoś strzelił.

Kopnięcia ustały w jednej chwili. No, nie wszystkie, jeszcze któryś włożył mi szpica w nerkę. Zawyłbym, gdybym mógł.

– Won, kurwa, powiedziałem!

Otarłem twarz rękawem kurtki. Stali dokoła mnie, dyszący, pochyleni, z zaciśniętymi piachami, sapiący i spluwający. Pierdolone odrzuty, panowie życia! Z nienawiści do takich szumowin, takich rzygów, poszedłem do policji, i udało mi się wielu takim zaszkodzić. To lubię...

Usłyszałem, że mówię to na głos.

– To lubię! – powtórzyłem.

– A nie lubisz bardziej, jak cię jebie twój kochaś? Co? – rzucił Posoka. – Jak ci zasadzi swojego knedla...

Za jego plecami coś się poruszyło. Za palisadą z nóg poruszyły się inne nogi. Mokre nogawki, chyba znałem te dzin... Rozpętało się piekło.

Trwało krótko, przez siedem strzałów, jakieś trzy i pół sekundy. Już po czwartym przeturlałem się w bok, nie zwracając uwagi na wijących się bandytów: jedni już prawie leżeli, drudzy dopiero upadali, powaleni egzekutorskimi strzałami w kark i głowę.

Poderwałem się, szarpnąłem pas. Posoka, odwracał się do strzelającego, on stał piąty w szeregu, jeszcze nie został trafiony, ciałem, tym razem ostrze trafiło idealnie. Z rozplątanej lewej strony szyi buchnęła radosna struga ciemnej krwi, Posoka okręcił się na czubkach palców, rzucił mi zdziwione spojrzenie... W tej samej chwili pocisk trafił go w spojenie małżowiny usznej i czaszki. Runął na drogę. Na jego miejscu pojawił się jeden z rannych, musiał wstać przed sekundą, ale nie zdążyłem ruszyć na niego. Usłyszałem huk wystrzału, kula ugodziła go w nos, bryzgi z kości, tkanki mózgu i

niewielkiej ilości krwi trysnęły na szóstego w kolejności zakapiora. Jeszcze dwa strzały, ostatni z innej broni...

Koniec.

Któryś jeszcze drapnął pył ziemi piętą. Zatoczyłem się i oparłem o barierkę. Coś zachlupotało na dole.

Ten wykopany przeze mnie!

Zanim zdążyłem otworzyć usta, Jerzy zrobił krok i się wychylił.

– Wyłaż, migiem! – powiedział przez zęby. Potem zrobił dwa kroki ku mnie i z ociekającej wodą kieszeni kurtki wyjął kluczyk do kajdanek. Nie spuszczał z oka i celownika ostatniego bandziora, gdy ten, pochlipując, kaszląc i dygocąc, gramolił się na nasyp przy moście. Podniosłem z ziemi czyjś pistolet i wystrzeliłem dwukrotnie do wykrwawionego zioma. Martwego już, co prawda, ale posłużył jako pogładowe narzędzie kruszenia uporów.

Ostatni żyjący wydostał się na drogę i poruszając bezgłośnie ustami, z rękami wysoko uniesionymi, na ugiętych nogach włókł się do nas. To lubię. Taki widok – zaślinionego, jęczącego, płaczącego, szlochającego, żałującego za wszystkie grzechy zioma – uwielbiam.

To lepsze niż wysoka odprawa i medal za zasługi. To mi daje poczucie spełnionej misji.

– Ja... ja... kurwa... już... Sowa-Nieeee!

– Ty, kurwa, już. Zgadza się – powiedziałem i popatrzyłem na tego, którego „dobiłem” przed chwilą. – Po tobie. Umiesz się modlić?

– Łaj... jaj... ja-jaj – zająknął się i jak zdarta czarna płyta ciągnął dalej: – Ja i jaj... łaj... – ryknął na koniec, uwalniając igłę z pokancerowanego rowka.

– Nie? – Jerzy podszedł do niego i wcisnął mu lufę H&K z micry w usta. – A inni tak?

Innych można jebać, bo to barany, których życie nie jest nic warte? Wasze jest ważniejsze? – Szybko opuścił trzymany w drugiej ręce

rewolwer i bez celowania wsadził pocisk w stopę bandziora. Ten na sekundę zawisł nadziany gębą na lufę pistoletu, potem poderwał się na zdrowej nodze. Przez chwilę zdrowej. Jerzy wpakował mu kulkę w tę drugą. I nadal trzymał go na muszce. – Teraz szybko, w trzech zdaniach powiesz nam, kto zlecił, i może przeżyjesz.

– Ja przecież za chuja nic nie wiem! – zatrajkotał ziom, chwiejąc się na postrzelonych stopach. – Posoka motał, on miał zlecenie...

To i racja. Podeszedłem do zalanego posoką Posoki i wyjąłem mu z kieszeni jego motkę. Wypasiona razora, no pewnie, przecież zabrał ją komuś, gnój jeden.

– No to wiesz coś, co mi się przyda, czy umierasz? Szybko! – wrzasnął Jerzy. – Nie będę tu czekał zmiłowania pańskiego.

Chyba to nie była odpowiednia polszczyzna. Ziom otworzył usta i stał tak z rozdziawioną gębą – ogolony czerep, skończony jełop...

– Kończ z nim, on nam nie pomoże – powiedziałem.

Dałem mu jeszcze jedną szansę. Widok ekstremalnie bulimicznej babusi w kapturze i z ręczną kosą przywraca czasem pamięć. I mowę.

– Ja tylko widziałem, jak gadał z dwoma staruchami! Błagam!

– Jak wyglądali?

– Je... je..

– Tak, szilaws ju. Je-Je! – wrzasnąłem. – Kończ!

– Nie! – Runął na kolana. – Jeden taki wyso... soki... z dużym jasnym wąsem, w takiej...

kiej... leninówce... Drugi nie pamiętam, przysięgam. Daleko było, ten z wąsem i młoda pizda z dyplomatką albo laptokiem... przeszli obok naszego wozu. Ich widziałem...

– Ta laska? – Zwolniłem ścięgną, strzepnąłem paskiem, wrócił do swojej podstawowej roli, zapiąłem go na sobie.

– Szczupła... Matko... takie jasne włosy, proste... z grzywką...

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nagle poruszył się jeden z tych,

którzy leżeli już pokotem. Jerzy go nie widział, gnojek go nie widział, a ja zobaczyłem, jak podnosi rękę i niemal nie patrząc, strzela. Nasz informator chwycił się za szyję, ale nie ma szczelnego chwytu na tętnicę szyjną.

Jerzy odwrócił się błyskawicznie i dwukrotnie wystrzelił do zawziętego bandziora. W gruncie rzeczy dobrze się stało. Dobrze dla nas. Rozglądaliśmy się chwilę po pobojuwisku. Potem coś mi przyszło do głowy.

– Daj mi to, co? Na zawsze.

Nie zastanawiał się nawet pół sekundy. Schowałem hecklera.

– Jedziemy volvem, prawda? – zapytałem. Skinął głową. To było oczywiste, nic tu poza tym volvem nie było na chodzie. Nagle dopadł mnie histeryczny śmiech. Przez długą chwilę nad pobojuwiskiem rozlegał się tylko mój chichot.

– No? Co jest? – Jerzy mną potrząsnął. Potem mnie objął i przytulił, poklepał po plecach.

– Blisko byliśmy, prawda?

Pokręciłem głową, wytarłem „śmieszynki”, jak je nazywała moja mama, z kącików oczu.

– A z czego się śmiejesz? – zapytał Jerzy.

– Ach, takie tam... Kretynizmy...

– Gadaj, ja też bym się pośmiał! – Podniósł nogę i potrząsnął nią w stylu Charliego Chaplina, biorącego ostry zakręt na rogu ulicy. – W tym momencie mam mało, jakby, powodów do chichotu, więc dawaj.

– Nie, no... Ja tylko pomyślałem, że jak nie volvem... to... no nie mogę!.. – Spazm dzikiego rechotu, mimo bólu w klatce piersiowej, zgiął mnie w pół. – Moglibyśmy popłynąć tą rzeczką. Przecież to dopływ... – oż, kurwa – Wisły, nie? A Toruń leży nad Wis... Wis... Ja przepraszam! Nad Wisłą...

Zamiast iść do tego volva cztery minuty, szliśmy kwadrans, ale za

to wytarzaliśmy się w rechocie po polu, po łące do rozpuk...pu...  
puku...



## ROZDZIAŁ 13

Wjeżdżaliśmy do Torunia osobno, każdy swoim samochodem. Już pierwszej nocy w hotelu „Sampan” stał się cud organizacyjny: zniknęło białe dwunastoletnie volvo, pojawiły się nasze wozy, clio Jerzego i mój seat. Mogliśmy w miarę bezpiecznie ruszać dalej, ale uznaliśmy, że z obitymi pyskami jesteśmy bardzo niewiarogodni, leczyliśmy się więc – okłady, masaże, kremy z niezłej apteczki Jerzego.

Byczyliśmy się.

Trochę też czekaliśmy na rozwój wypadków.

O strzelaninie na popielskich łęgach pisały wszystkie dzienniki, portale i wortale zachłystywały się wersjami, ale nieodmiennie zaczynały się one – albo kończyły – czymś takim: najprawdopodobniej sza wersja wydarzeń to porachunki w bandzie Karola albo próba przechwycenia władzy przez innego bandytę. Wiele poszlak na to wskazuje. Nasz anonimowy informator...

I zdjęcia ze śmigłowca TVN i zdjęcia inne, malowniczo rozsiane po polu ciała, szesnaście ciał.

Wyraźnie było widać progresję w naszych działaniach: zaczęło się od jednego obitego pyska, choć zakończyło strzałem, potem kilka ciał, teraz prawie półtora tuzina.

Ile pojutrze?

– Zleceńodawca Posoki wie, czyja to robota. I że zwialiśmy – powiedział Jerzy, machając sobie przed twarzą jakimś soluksem.

– Nie do końca – zaoponowałem. – Może sądzić, że na przykład jeden z nas jest ranny albo załatwiony. O ile wie o nas – zastrzegłem, unosząc palec z kopczykiem kremu, który zamierzałem wetrzeć sobie w twarz. – O nas obu. Może ma tylko mnie na celowniku?

– Nie. Przecież zabili mojego człowieka.

– Prawda.

Milczeliśmy chwilę, zajęci swoimi twarzami.

– Przyjmijmy, że wiedzą o nas obu, i że przyjmują, że żyjemy, też obaj. Dlatego na jakiś czas się rozdzielimy, tak? Pojedziemy do Torunia oddzielnie.

– Zgoda.

Właśnie wjeżdżaliśmy E75, od strony Ciechocinka, i po korku na moście wydostaliśmy się na Grudziądzką, z zamiarem skrętu w Żwirki i Wigury.

Mieliśmy już Sejm rozwiązany i kampanię wyborczą tuż po starcie, ale starcie rozgorzało, że tak powiem, na całego. Agencje reklamowe zacierały łapki, zwały z billboardów wszystkie proszki do prania i stringi. Na ogromnych tablicach widniał, rozbity na poszczególne partie, ten sam zestaw twarzy szczerych Polaków, bezinteresownych wojowników o wolność, demokrację i dobrobyt. Na dodatek wydawało się, że ten sam kupywrighter pisze im slogany i hasła, oparte na tej samej słownej zabawie z akronimami: PO

PO TYLKO POTOP! na jednym, KOLPRRRROMITACJA, A NIE UPRAGNIONA WŁADZA! na drugim. Obok: PISKI I ZGRZYTANIE ZĘBAMI, A co z PROGRAMEM?, kawałek dalej jedyny nieco odbiegający od reszty: W OBRONIE SAMYCH SWOICH INTERESÓW i pod spodem obowiązkowe odwołanie się do mądrości narodu. Naprawdę mądry naród sprowadziłby sobie rząd profesjonalistów z zagranicy, nieuwikłanych w rozgrywki partyjne fachowców, ale to, oczywiście, wykluczone.

Nie z powodu, bynajmniej, głupoty narodu...

Nosząc się zatem z zamiarem skrętu w Żwirki i Wigury, wrzuciłem kierunkowskaz i... napatoczyłem się na pana drogowego, który okrągłym gestem zaproponował mi, żebym się włączył z powrotem do

ruchu na wprost Grudziądką. W perspektywie interesującej mnie ulicy, w lewo, było widać pustą jezdnię i gęste skupisko ludności przy drugiej, chyba, przecznicy. Nie widziałem z tej odległości nakryć głowy, ale wydawało mi się, że nie przeważały w nim bejsbolówki i patrolówki. Szlag!

Bez pośpiechu, żeby nie zgubić Jerzego, poczekałem na przerwę i wsunąłem się w dość gęsty sznur samochodów, skręciłem w następną w lewo, zatrzymałem się. Czarne clio ominęło mnie i zatrzymało się w pierwszej luce. Spotkaliśmy się w połowie drogi między samochodami.

– Proponuję, żebyśmy tam podjechali jednym wozem, drugi zostawiając w odwodzie.

– Tajest! – Zasalutowałem małym palcem.

– Jedziemy twoim – zdecydował. – W moim jest za dużo potrzebnych... – Pstryknął palcami.

Ruszyłem z powrotem.

– Dupereli – podpowiedziałem. – Szpejów.

– O, dupereli. Wsiadłem do swojego toledo.

Podciągnąłem rękaw oddychającej koszulki ze srebrną nitką, której, nawiasem mówiąc, nie widziałem i nie wyczuwałem, ale guimony tak. Jerzy chwilę grzebał w swoim bagażniku, w końcu wyciągnął składany metalowy trójczłonowy teleskop i plecak z kamerą. Położył te szpeje-dupereli na tylnej kanapie i wsiadł.

– Musimy być poczwórnice czujni – powiedział cicho. – W tłumie oni mają przewagę, mogą się skradać, podchodzić nas, zachodzić, napierać, atakować i jednocześnie wrzeszczeć, że ich bijemy. Tłum podnieconych staruszków w miejscu swojego kultu to banda, która może rozszarpać człowieka na strzępy. Dlatego nie wchodzimy – podkreślam: nie wchodzimy – w tłum. Snujemy się po obrzeżu, penetrujemy wzrokiem, robimy zdjęcia, kręcimy filmik i tyle. I



obserwujemy swoje plecy.

– Czego szukamy? – zapytałem pro forma. Jakoś dziwnie nie miałem ochoty na spotkanie i ocieranie się o rozjuszonych staruszków, nawet jeśli nie są guimonami. Widziałem w telewizji, w czasach, kiedy jeszcze ją oglądałem, takich zacierzewionych, oślinionych, wrzeszczących w hysterii obronnej. Obmierzły widok. – Wszystkim tam pewnie oczy błyszczą, cholera...

– Guimonom błyszczą inaczej. Uwierz mi, że od razu odróżnisz niewinnego szaleńca od przyczajonego guimona.

Pojechałem kawałek do przodu i skręciłem w lewo. Na samym początku stał policjant i zmęczonym gestem zatrzymywał wszystkie samochody, ale po krótkim pouczeniu przepuszczał.

– Dzień dobry. Proszę nie parkować... – zobaczył kamerę i statyw, odrobinę podniósł głos – ...na tej ulicy, ale dopiero za skrzyżowaniem. Może nawet dla własnego dobra – dodał i sam się sobie zdziwił.

– Dziękuję, stanę za skrzyżowaniem.

Wolno potoczyliśmy się po ulicy Legionów. Tłum na chodnikach gęstniał, ludzie szli i stali, szli w jednym kierunku, stali różnie. Zaparkowały tu wozy z naklejkami czołowych, nie tylko krajowych czy lokalnych gazet, rozgłośni radiowych i stacji telewizyjnych: TV1, Polsat, TVN, Gazeta Wyborcza, RTL, Fakt, RAI. Dziennikarze chwyтали niemal każdego przechodnia i kazali mu mówić do mikrofonu, i ustawiać się twarzą do słońca, w tle mając gęsty tłum zaraz za rogiem. Przez głowę przeleciała mi cyniczna myśl, że gdyby tu i teraz walnęła atomówka, przeciętna wieku w kraju, a już na pewno w Toruniu, spadłaby o osiemdziesiąt lat. A sprzedawcy wełny z kóz angorskich popłakaliby się, posypali głowy popiołem i zaczęli wybijać swoje stada.

Jeszcze kilku policjantów z drogówki i kilkunastu krawężników, tuzin strażników miejskich. Przez skrzyżowanie przejeżdżaliśmy

centymetr po centymetrze. Podnieceni staruszkowie ustępowali niechętnie pola, obrzucali nas złymi spojrzeniami – jeden rzut oka, oszacowanie wieku i werdykt: nie nasi! A w tłumie wreszcie czuli się mocni.

Zatrzymaliśmy się kilkadziesiąt metrów za skrzyżowaniem i wysiedliśmy. Jerzy ponad dachem seata gapił się chwilę na zielone kity drzew i widoczne między nimi dachy budynku czy budynków i wysoki maszt nadajnika. Dziwnie westchnął i wyciągnął statyw.

– Komu w de, temu ce – rzuciłem lekkim tonem. – Kto się nie rusza, ten tyje.

Pokiwał głową, wyraźnie myśląc o czymś innym. Nie lubię, jak ktoś nie docenia moich dowcipnych kwestii, ale Jerzemu to wybaczyłem.

Ruszyliśmy z powrotem. Dobiegł nas śpiew, wysokie drżące głosy, kilka nadgorliwych, ale nieutrzymujących się w tonacji, zawsze kilku takich atonalistów znajdowało się w kościelnym chórze. Tłum, jak się okazało, zajmował całą możliwą przestrzeń przed rozgłośnią, czyli ulicę i chodniki, wypływał na skwer naprzeciwko terenu rozgłośni, był zwarty, jakby nikt nie chciał snuć się po obrzeżach. W przestrzeni poza jądrem zwolenników dyrektora ojca sнуło się kilku młodzieńców z biało-czerwonymi naszywkami na rękawach skórzanych kurtek oraz ludzi od pierwszego wejrzenia przypisywalnych do plemienia żurnalistów. Statywy kamer były rozstawiane dobre dziesięć metrów od tłumy, co – pamiętając o krewkich obrońcach wiary i Ojdyra – nie było dziwne. Jan Paweł z postumentu za płotem jakoś z goryczą spoglądał na wiernych, jakby trochę nie byli mu bliscy...

– My też nie za blisko – mruknąłem do Jerzego. Mógł nie wiedzieć, mógł nie widzieć, ale posłuchał.

Rozstawił statyw, zamocował kamerę, ustawił obiektyw, włączył nagrywanie, spokojnie wykonał panoramę, kilka najazdów, wycelował obiektyw w centrum tłumy i odsunął się.

– To zwyczajna kamera? – zapytałem.

Miałem na myśli jakiś optyczny, laserowy czy mentalny wykrywacz guimonow. Jerzy zrozumiał mnie właściwie.

– Tak. Nie ma czujnika na guimona. – Nie uśmiechnął się. – Niedobrze się tu czuję – poskarżył się nagle.

A kto normalny czuł się tu dobrze!

– Słuchaj – przypomniałem sobie coś. – Wypytywałeś mnie, czy jestem wierzący. Czy to ma znaczenie? To znaczy, czy wierzący łatwiej sobie radzi z guimonem? Czy wiara broni przed nimi?

Od razu się zorientowałem, że zwłaszcza w tym miejscu zadaję idiotyczne pytanie.

– Nie udało się stwierdzić, czy wiara, jakakolwiek, hinduizm, taoizm, katolicyzm pomaga w walce z guimonami. Ale przecież wiadomo, że odwiedzanie świątyń nie jest jednoznaczne z głęboką wiarą, choćby nawet taki gorliwy świątynny gość był o tym przekonany. Być może same obrzędy o niczym nie świadczą, może wiara rodzi się i istnieje gdzieś indziej. Lecz, wybacz, gdy stwierdziliśmy, że to nie ma ze sobą wiele wspólnego, odpuściliśmy.

Szczegółowych badań nie ma kto, jak i kiedy wykonać. Zapytałem, bo gdyby się okazało, że jesteś gorliwym katolikiem, praktykującym i szczerym, i na dodatek dobrze by ci szło z guimonami? O, to byłby temat do przemyśleń. – Cofnął się, najdalej jak mógł i skierował na mnie obiektyw. – Staramy się jak najwięcej wiedzieć o swoich ludziach, może odkryjemy jakąś prawidłowość, może się okaże, że blondyni są skuteczniejsi od rudych, albo programiści, albo wiccianie. – Odsunął kamerę i zastanawiał się chwilę. – Czytałeś może Johna Ringo *Princess of wands*.

– Nie...

– No właśnie, dziwna sprawa, prowadzimy dochodzenie, czy ktoś mu czegoś nie powiedział, czy nie było przecieku. Bo tam jest jakiś

dziwaczny zbrodniczy kult, niemal Cthulhu, rozrywanie kobiet, zawłaszczanie dusz... Walczą z tym agenci specjalni FBI i inni, jeszcze bardziej specjali. Tylko tam wiara bardzo pomaga. Aha, i akcja lokuje się również w Nowym Orleanie! Inna sprawa, że nudniejszej książki rozrywkowej nie czytałem w życiu...

Z mądrą miną pokiwałem głową, ale już na mądre słowa zabrakło mi konceptu. Jerzy zabrał się do ustawiania kamery. Wyciągnąłem ze swojej torby hasselbata, którym nie za bardzo potrafiłem się posługiwać, ale przecież miałem tylko udawać, że robię zdjęcia, a nie robić je naprawdę. Odsunąłem się o kilka kroków, ustawiłem obiektyw na tłum, nacisnąłem migawkę. Cholernie głośno szczęknęło, i to serią. Szybko wycofałem się, ale już wzbudziłem niechętnie zdziwienie kilku osób z obrzeży tłumy. Odnotowałem jakieś dziwne rozdwojenie mentalności: z jednej strony ci ludzie chcą tu być, i są, przekonani o swojej słusznej drodze życiowej, z drugiej, jakby wstydzieli się tego i nie chcieli być utrwalani tu i teraz, nie chcieli być widoczni, pokazywani... Częściowo tłumaczyło ich to, że często komentarze do zdjęć bywały nieprzychylne, ale jak mogły być przychylne, jeśli wątpią babcia tłukła parasolką po kamerze, sycząc „Won, skurwysynu!”?

Poruszając się niczym satelita krążący dokoła zwartej gwiazdy, obszedłem tłum. A dokładnie mówiąc nie cały, tylko łukiem tę jego część, która odstawała od znajdującego się za płotem budynku. Aparat zaczął popiskiwać, widać coś w nim załomotałem. Kilku fachowców obrzuciło mnie zdziwionym spojrzeniem, najpierw zdziwionym, potem zniesmaczonym: ot, idzie, fiut z aparatem za trzy tysiące dolarów i nie umie robić nim zdjęć! Kompletnie innymi spojrzeniami, nie zawistnymi, ale nienawistnymi obrzucali mnie ci, którym słuch pozwalał usłyszeć alarm mojego aparatu.

Ukradkiem otworzyłem pokrywę zasobnika z bateriami i

szarpnąłem jedną. Piszczenie ustało. Uff!

Wróciłem wolno w okolice pomrużającej czerwoną diodą kamery. Jerzy najspokojniej w świecie przysunął się do jakiejś ekipy i wymieniał z nią uwagi na temat przypuszczalnego rozwoju wydarzeń. Nie chciało mi się rozmawiać, pilnowałem więc naszej kamery, ale – chcąc czy nie – słyszałem opowieści tamtych ludzi: o potłuczonych obiektywach, o połamanym parasolkach, o podrapanych pyskach. Typowali, że dziś nic się nie wydarzy.

I mieli rację, rozciągała się ta racja na najbliższe parę godzin na pewno.

Z budynku rozgłośni wyszedł młody ksiądz, przystanął na schodkach i pokazał mikrofon w wyciągniętej do góry ręce. Że niby będzie mówił. Na ulicy szybko zaległa cisza, kilka plansz z napisami: KIELCE – KOCHAMY!, RADOM POZDRAWIA OJCA DYREKTORA zaczęło podrygiwać, niczym buława w ręku tamburmajora.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – huknęło z zamocowanych na stałe pod zadaszeniami, chyba kilkusetwatowych kolumn. Tłum odpowiedział, w ogóle nie dbając o synchronizację. – Cieszymy się, że jesteście tu z nami... – Młodzian zrobił pauzę, ale tłum jakoś nie miał ochoty mu wiwatować. – Mam dla was, kochani komunikat! A mianowicie, Ojciec Dyrektor jedzie tu do nas z Gdańska i będzie z nami o osiemnastej.

Rzuciłem okiem na zegarek, dochodziła pierwsza.

– Ojdyrydykowy maybach się spieprzył? – zakpił półgłosem trzymający mikrofon dziennikarz z TCM4.

Ale to był półgłos wyważony, skierowany tylko do najbliższych stojących.

– Nie ma maybacha tylko audi A6 za ćwierć miliona. Jerzy skinął głową tecemom, ruszył w moją stronę.

– Chyba nie mamy tu nic do roboty przez trzy-cztery godziny –

mruknął. – Zróbmy tak: zostawimy kamerę w samochodzie, niech nagrywa, zapis cyfrowy pozwala na osiem godzin nagrania. A my sobie pójdziemy na obiad.

– Okej.

Ustawiliśmy kamerę na tylnej półce, zasłoniliśmy kupionym na rogatkach miasta planem Torunia, przesłoniłem kasetą migającą diodę i pomaszerowaliśmy na poszukiwania posiłku.

Wróciliśmy pod budynek kwadrans po piątej. Tłum zgęstniał, ale niewiele, z daleka było słychać jakąś kościelną pieśń. Transparenty falowały i podrygiwały, na większości była tylko Maria, logo radiostacji i miasto, skąd przybyła grupa wspierająca. Niektóre miejscowości zdobyły się jednak na bardziej wylewne dowody zaangażowania. Poza Kielcami i Radomiem zobaczyłem mało estetyczny w wykonaniu i lekko obsceniczny w wymowie transparent KOBYLKA KOCHA I WITA OJCA DYREKTORA RYDZYKA. Poza tym pojawiły się zapewnienia z Bielska Białej, Tarnowa, Elbląga. Szukałem Warszawy, Krakowa, Katowic czy Wrocławia, ale nie było. Albo metropolie były zajęte wyborami, albo miały mniej pary niż małe ośrodki kultu.

Coś mi przyszło do głowy.

– Właśnie skojarzyłem, że słowa „Cthulhu” i „kultu” są podobne... Nie wywodzi się jedno z drugiego?

– E tam – odpowiedział po chwili namysłu Jerzy. – Za daleko idące oskarżenie.

Ale w jego głosie zabrakło pewności. Co – najpierw miałyby być piekielny przerażający Cthulhu, a dopiero potem powstało samo słowo, określające wiarę weń? Wyjąłem swojego mio, świadomy, że kudy mu tam do wypasionego palmtopa Jerzego, i przez satelitarke połączyłem się z sieciowym Kopalińskim. „KULT – oddawanie czci relig., ubóstwienie; ogół ceremonii, praktyk relig.; wielki szacunek,

cześć dla kogo a. czego, uwielbienie; gorliwe uprawianie, rozwijanie czego”. PWN zaś rozwinął: „KULT [łac. *cultus* ‘pielęgnacja’, ‘troska’ *colere* ‘odwracać ziemię pługiem’]”. Łacina... Czyli – jednak – późno. A do łaciny z czego to przesz...

Z rozmyślań językowych wyrwało mnie trącenie w ramię. Jerzy odłożył kamerę.

– Chyba dwie sztuki są. Były, w każdym razie. Patrz. – Podał mi swojego palma.

Widniała na nim niska staruszka w wysokim wełnianym turbanie, trudna do przeoczenia, chyba żeby miała sto dwadzieścia wzrostu i kucała w tłumie. Drugim guimonom też była kobieta, dorodna, rumiana, krótkie włosy, bez nakrycia głowy, również charakterystyczna.

– Którą wybierasz? – zapytał bezwzględny Jerzy.

– Tę rumianą – powiedziałem po sekundzie namysłu.

– No to – gdyby nic się nie zmieniło – idziesz za nią. Ja za tą drugą. Likwidujemy.

Wracamy każdy do swojego samochodu i jedziemy. I o każdej pełnej godzinie sprawdzamy kasę numer cztery na dworcu głównym. Ale to plan awaryjny. Na razie czekamy tutaj na rozwój wypadków.

Powoli ściągały ekipy telewizyjne. Mimo kampanii wyborczej widziałem reprezentantów co większych stacji; w końcu Ojdyrydz miał, podobno, spory elektorat, jego słowo mogło zaważyć na wynikach wyborów, a – z tego, co wiedziałem – nie poparł jeszcze ostatecznie żadnej z partii, ani skoLPRomitowanej, ani Piskającej.

Zrobiło się chłodno, przez ulicę Legionów przeleciał zimny wiatr. Zapiąłem kurtkę z goreteksu, włożoną przede wszystkim dla osłonięcia Gnata. Jerzy wyciągnął swoją kamerę, statyw, poszliśmy w górę ulicy, zbliżając się do narożnika i siedziby radia.

Większość kamer ustawiła się, na ile to było możliwe, dokładnie na

wprost posesji zajmowanej przez radio. Za kwadrans osiemnasta. Otworzyłem usta, żeby powiedzieć, że zgromadzeni tu ludzie, daliby się pokroić, byle nie pozwolić na ustawienie anteny nadawczej pół kilometra od swojego osiedla, a tu dobrowolnie dają się „napromieniowywać”, ale nie zdążyłem.

– W tłumie nie strzelaj – szepnął do mnie Jerzy. Urażony zapomniałem o antenie.

– Proszę cię! – jęknąłem. – Za kogo ty mnie masz?

– Wolę dwa razy nadepnąć, niż raz wdepnąć! – Puścił do mnie oko. – Jak się da, to ja sam się nimi zajmę, tu, na miejscu. – Popatrzył w jasne niebo. – Żeby już było ciemno – westchnął.

Ale nie było i nie zamierzało być. Do zmierzchu zostały jeszcze dobre cztery godziny, do tego czasu tłum rozwiozą po szpitalach karetki. Pomyślałem, że powinni tu, w Toruniu, założyć Centrum Babci i Dziadka, geriatrya na pewno kwitła w miejscowych szpitalach.

– Posłuchaj, nie ma co się... wiesz...

– Obcyndalać? – podsunąłem mu.

– Tak, obcyndalać. Wchodzimy w tłum, idź za mną. Kiedy zlokalizuję guimona, podrapię się za uchem. – Pokazał, jak się drapie za uchem. Skinąłem głową. – Wtedy ustawiasz się tak, żeby ściągnąć uwagę tłumy na siebie, i kiedy potrę czoło – znowu pokazał, jakbym nie wiedział, w jaki sposób Amerykanie pocierają czoło – musisz odwrócić ich uwagę ode mnie.

Wymyśl coś. A ja zlikwiduję guimona.

– Chyba zwariowałeś?! – Poklepałem się w czoło, nie po to, by pokazać mu, jak Polacy klepią się po czole, bynajmniej. – Nie zostaną z ciebie nawet atomy, jak któreś zobaczy, że... że...

Pokazał mi statyw. Odwróciwszy się plecami do głębi ulicy, zręcznym ruchem wyprostował jedną nogę statywu, a potem szcęknął czymś i w złomie pojawiło się ciemne, matowo połyskujące



ostrze.

– Przytrzymam ciało, a potem ono się rozsypie w sekundę. Nawet jeśli ktoś zobaczy, to nie uwierzy oczom, a ja w tym czasie będę już trzy metry dalej. No i liczę na ciebie. – Uśmiechnął się przekornie.

– Chol-lera...

– Ja też nie lubię. Ale nie przybyliśmy tu na ulubione zajęcia...

– Wiem, ale...

– Ale targają tobą ciągle wątpliwości? Wyrzuty sumienia?

– Obawy...

– Że zadżgam niewinną staruszkę? Też się tego boję.

– I?

– I nie mam nic mądrzejszego do powiedzenia niż: *a la guerre comme a la guerre...*

– Taa...

– No to?

Pokiwałem głową. Jerzy starannie omijał z rzadka jeszcze stojących ludzi. Tłum skończył śpiewać jedną pieśń, a z jakiegoś brzęczącego głośnika dobiegły pierwsze słowa innej, została podchwycona, poszczególne głosy dostroiły się, z wyjątkiem, jak zwykle kilkunastu w nieuzasadniony sposób nadgorliwych. Nie mój problem – brzmienie kościelnego chóru.

Snułem się za Jerzym, który – co zobaczyłem dopiero po kilku krokach! – otwierał usta i zamykał, bardzo udatnie udając, że śpiewa. Nie odważyłem się pójść w jego ślady.

Holendrowaliśmy tak po tłumie dobre dziesięć minut. Nagle, omijając jakąś młodą kobietę, szczelnie, jak w cerkwi, owiniętą chustą, zobaczyłem, że Jerzy drapie się za uchem.

Serce zabiło mi mocniej. W pierwszej chwili chciałem przesunąć się tak, by zobaczyć którego guimona wytropił.

A jeśli będzie stał za kimś innym? – pomyślałem. Wyjdzie mi, że się

myli, a on się nie myli, tylko znalazł trzeciego? A może się myli, a ja? Co ja? Bo jak on...

Prawie zaplątałem się w zaimkach osobowych. Zacisnąłem zęby i się przymierzyłem.



Tłum patrzył lekko w lewo, przesunąłem się w prawo, nieco bliżej budynku. Zaczynało być nieprzyjemnie, coraz więcej osób przyglądało się ze słabo maskowaną niechęcią mnie, młodemu, zdrowemu, dążącemu do zbliżenia. Wyciągnąłem głowę jak żyrafa, rozejrzałem się. Jerzy drapał się zawzięcie po czole, jakby chciał zedrzeć sobie skalp, od oczu począwszy.

Wyskoczyłem ponad tłum i ryknąłem:

– Ojczy Tadeuszu! Wyjdź do nas! Prosimy cię! Tak długo czekamy!!!  
Oj-cze! Oj-cze!

Kiedyś widziałem w „Brainiacu”, na Discovery, eksperyment, sprawdzający, ile osób jest w stanie wzbudzić na trybunach stadionu „meksykańską falę”. Okazało się, że jeśli obok siebie siądzie siedem osób, to mogą już porwać resztę stadionu. A ja usiłowałem sam poderwać kilkusetosobowy tłum! Ktoś stojący obok odezwał się nieśmiało „oj-cze”, ale cicho. Nie poderwałem więcej nikogo, ale najbliższej stojący, patrzyli na mnie z mniejszą lub większą aprobatą. Podskoczyłem jeszcze kilka razy.

– Tak! – wrzasnąłem, wskazując rozgłosnię za niebieskim, niezachęcającym do forsowania, płotem. – Tam!

Uwaga tłumu przeniosła się natychmiast na ozdobiony dużym obrazem świętym budynek. Pochyliłem się i rozkaszałem, klepiąc po piersi. Pochylony i kaszlący, jakbym się zakrztusił wrzaskami,

zacząłem się przedzierać przez tłum ku jego obrzeżom. Jerzego już nie widziałem, i zastanawiałem się, jak go znajdę, o ile nie wpadnie na ten sam pomysł, co ja. Nie było go tutaj.

– Sporo ryzykujesz, chłopcze – rzekł pouczającym tonem gość z identyfikatorem jakiejś stacji telewizyjnej na smyczy. – Już tu bywali tacy cwaniacy, którzy chcieli wzbudzić spektakularne zachowania tłumy. Jedni stracili licencje, inni dostali po pysku, a na tym bruku legła kupa dobrego sprzętu.

Miałem na szyi markową torbę z napisem HASSEL-BLAT na froncie. Zawierała zapasowe magazynki, i – czego nie pokazałem Jerzemu – srebrny nóż do papieru, kupiony w kiosku hotelowym i wyostrzony na kamieniach obrzeża klombu pod hotelem. Nic w końcu nie rydzykowałem?!

– Nudy... – poskarżyłem się, robiąc skruszoną minę.

– Co ja przywiozę?

– Poczekaj, aż wyłoni się Ojdyr – powiedział z wyższością udobruchany moją pokorą doświadczony fachur.

– Zrobi się taki jazgot, że...

– A wy tu czego? – rozległ się nagle z boku chrapliwy skrzek. – Żydy pioruńskie! Wont stond!

Siwy, dobrze odżywiony mężczyzna po sześćdziesiątce wyciągał ku nam palec i potrząsał nim.

– Zasańce, cholerne! – pieklił się. – *Raus!* – przeskoczył niespodziewanie na obcy język.

Jakaś kobieta, najwyraźniej pałająca chęcią przyłączenia się do jego krucjaty przeciwko mediom, słysząc: *raus*, nagle straciła na to ochotę i tylko potrząsnawszy z wyrzutem głową wycofała się.

– Od radia wont! – ryczał podjarany dziadek. Już nie widział chyba niczego dokoła, poza najbliższym celem: mną, albo telewizorem o nieznanym mi logo i skrótce. – Świętości szargacie, gady. *Raus!* –

powtórzył.

Uniosłem ręce i cofnąłem się, ale nie wytrzymałem, wychyliłem się ku niemu i syknąłem: – *Hitler kaputt, opa!*

Odwróciłem się i poszedłem za zwijającymi pośpiesznie sprzęt telewizorami. Potem uprzytomniłem sobie, że awantura na orbitach tłumu może być na rękę Jerzemu. Zatrzymałem się i zerknąłem do tyłu. Dziadek pokazywał mi rękami jakimś dwóm aktywistkom. Te uspokajały go, ale widząc, że bezczelnie się zatrzymałem, i – pewnie – nawykłe, że wszyscy-nie-nasi czmychają ile sił przy pierwszych oznakach niezadowolenia tłumu, rzuciły się do mnie.

– Stary, nie świruj. Dymaj w długą! – usłyszałem z tyłu.

Uśmiechnąłem się do nadciągających harpii.

– Ojca dyrektora nie szargać! – pisnęła jedna.

– Wy wszarze! Nie jesteście godni być tutaj! – dowaliła mi druga.

– O co pani chodzi? Przecież ja też czekam na ojca direktora.

Widząc, że nie uciekam, straciły na dziarskości, zwolniły, stanęły. Zaczęły się przekrzykiwać. Kątem oka, ciągle uprzejmie uśmiechnięty, zobaczyłem, że od tłumu kuśtyka jeszcze jedna wierna zwolenniczka Ojdyra, podpira się laską, ale mężnie i odważnie dąży do zwarcia. Wyglądało na to, że zadane i otrzymane, może, ciosy i rany, są jakimiś pozytywnymi stygmatami, odznaczeniami za męstwo, wierność, wytrwałość. Duża połać tłumu gapiła się na mnie, nie pozostało mi nic innego, jak sprowokować i tę pozostałą część.

– Ty durna krowo! – ryknąłem na całe gardło. – On za twoje pieniądze jeździ samochodem, którego koło kosztuje więcej niż twoja pięcioletnia renta!

– No to i co! – odwrzasnęła babunia z laską, żwawo kuśtykając w moją stronę. Już mniej podpirała się laską, już szykowała się do boju. – On święty jest... – Potrząsnęła głową, co kosztowało ją wypadnięcie górnej szczęki. Omal jej nie rozdeptała, szybko ją jednak

podniosła, otarła o sweter na piersi i szykowała się do włożenia jej na miejsce.

Przepęłił mnie głęboki niesmak i... smutek. Tak, smutek. I histeryczny śmiech, ale na to nie mogłem sobie pozwolić. Machnąłem ręką i odwróciłem się. Skamieniałem.

Cholera, gapiło się na mnie co najmniej sześć obiektywów kamer. Za późno było zarówno na ukrywanie twarzy, jak i na ucieczkę w tłum, który szpicami niemodnie podkutych blaszkami butów, wykopałby mnie poza swoje obrzeże.

Nic już nie mogłem poradzić; co się stało, to się nie odstanie. Podszedłem do pierwszej kamery i poprosiłem neurotyczną, ostrą jak brzytwa, albo jak młoda Janda, panienkę z mikrofonem i fajką w tym samym ręku o „jeśli to możliwe, dziewczyny i chłopaki” – wycięcie mnie z ujęć. Miałem być gdzie indziej. Jak mnie szef zobaczy, wylecę z roboty.

Możecie, co? Obiecali. Pozostałych pięciu też obiecało.

Nie przeciągałem sprawy, wyszedłem na przecznicę i zobaczyłem Jerzego, radośnie uśmiechniętego, opartego na swoim „statywie” przy samochodzie.

– Masz obu? – stwierdziłem.

– Tak. I to bez bólu. Nic nie widzieli dokoła siebie, nie wiem, jacyś... No, łatwizna. Przy tym ładnie rozkręciłeś tłum, wszyscy mamrotali i dudnili, podskakiwali. – Wzruszył ramionami.

– Nie czekamy na Ojdyrydza?

– Chyba nie. Niemożliwe, żebym nie wyczuł, że w okolicy ktoś taki jest czy bywa. To fałszywy trop. To znaczy, pewnie można by tu było wystawić posterunek i raz w tygodniu jednego czy dwa guimony wyłapać, ale to nieefektywne.

Otworzył drzwi, wsiedliśmy.

– No właśnie – powiedziałem, gdy włączał swojego palma. Chciał

sprawdzić trasę? – Nie można powiększyć liczby... No, takich jak ja? Takich wiceekstermanów? Wicków?

– Nie wiemy – odparł krótko, dźgając stilosem w ekran. – Nigdy nie było tyle czasu, żeby wykroić go na jakąś... szerszą akcję instruktażową... To by już było większe przedsięwzięcie: ktoś musi zorganizować formy łączności, ktoś inny dostarczać materiały, prowadzić ewidencję. Zatem dochodzi ochrona jej, bo niechby się dostała w niepowołane ręce... Kupa roboty, a przecież mamy bieżące polowania, stałe.

– Okej. Jednakowoż ta stagnacja, w jakiej tkwimy... – umyślnie użyłem formy pierwszej osoby liczby mnogiej – ...jest bardziej na rękę guimonom. Ich mogą być rzesze, a my nie nadążamy. Trzeba raz się zdecydować i ruszyć. Jeden Wicek zbierze kilku innych, podzieli zadania, ktoś stanie na czele tej komórki, powstanie inna, i tak dalej. Klasyczny tok postępowania przy organizacji konspiracyjnej sieci, prawda?

– Prawda. – Ruszył, wyjechał z szeregu zaparkowanych samochodów i pojechał do skrzyżowania, na którym skręcił w prawo. Bez GPS-a też bym tak pojechał.

– Ale pokaż mi choć jedną zakonspirowaną sieć, która się nie wysypała prędzej czy później?

– Nie pokażę ci, bo mogę pokazać tylko te, co wpadły, nie? – Oderwał wzrok od jezdni przed sobą i po patrzył na mnie. Puścił oko, odebrałem je jako znak aprobaty. – Ale nawet gdyby nasza sieć się posypała, sam mówiłeś: guimony nie są zdolne do jakichś specjalnie wyrafinowanych działań. Są powolne, trochę niezgułowane, tępawe, ograniczone albo nierozwiniętymi, albo już przekwitłymi ciałami. Teraz, z takimi, możnawalczyć, a co będzie, jak się wyewoluują w inne, efektywniejsze formy? Już się pojawił... – Zawzięłem się i wyplusnąłem z siebie: – Fn'thal! Może to pierwsza oznaka, że oni, oni,

a nie my, zaczną się przekształcać i szykować do ataku? I – to ważne – ilu ich jest? Czy się mnożą?

Jerzy skręcił gwałtownie w prawo, podjechał do krawężnika i wyłączył silnik. Pochylił głowę i przeżuwał moje, zrodzone w ostatniej minucie, koncepcje. Trwało to dobre pięć minut.

– Kurczę. Na razie wiem o jednym. Mam nadzieję, że tak jest i będzie dalej. Jakkolwiek by na to patrzeć, masz rację. – Oderwał rękę od kierownicy, uściśnął mi lewą dłoń. – Jakoś nigdy... No, mówię: ciągle coś innego, ciągle niedoczas, lęk, że coś się zawali...

– Patrz, wystarczy, żeby wpadli na taki pomysł i podłączyli się pod jakichś ekstremistów, tych na całym świecie nie brakuje, od mało groźnych, w skali świata, alterglobalistów począwszy, na Ossamie Bin Ladenie kończąc.

– Racja, znowu racja. Widzę, że w ferworze eksterminacji zapomnieliśmy o podstawowych problemach, o pierwszych pytaniach i odpowiedziach na nie. Ale wiesz, jak trafisz na rój os, nie masz czasu na obmyślanie strategii walki w przyszłości, tylko machasz koszulą, syczysz aerozolem i pilnujesz pyska, żeby ci nie opuchł! – Trzepnął dłonią w kierownicę, a ja, mile połechtany, rozparłem się w fotelu i wyciągnąłem nogi na całą długość.

– A kto ma rację, ten stawia kolację!

– Góralu, czy ci nie żal? Ten stawia, kto ma szmal – odparłem.

Godzinę później siedzieliśmy w restauracji hotelu „Plaża Toruń” – co za durna, bezdźwięczna pusta nazwa?! – i sączyliśmy podwójne herbaty.

– Siedzimy tu czy pójdziemy do baru? – zapytałem.

– Do baru. Mnie też się tu nie podobało, choć nie żywiłem złudzeń co do baru. I nie pomyliłem się. Pomroczość i już.

Usiedliśmy przy barze, duży plazmowy ekran usłużnie pokazywał wydarzenia dnia w dwudziestoczterogodzinnym kanale

informacyjnym. Komu by się chciało gapić przez całą dobę na te same newsy: powódź tu, tam i owam, pożary, wybuchy, pociągi rozsypane wzdłuż torów, szkielety samolotów w pianie... No, może migawka z festiwalu filmowego, jeżeli jakiejś gwiazdzie „niechcący” obsunie się ramiączko sukni i cacuś wpadnie w oko kamery, albo słynny reżyser, pijany albo stary, potknie się na schodach. I wybory, wybory i wybory!

Zamiast programów wyborczych polajanki i tony śluzu.

A co mnie to!

Zamówiłem śliwownicę i sok pomarańczowy.

– Wracając do naszej rozmowy... – zacząłem. Kątem oka zobaczyłem znajome logo, odwróciłem się. Szła relacja z dzisiejszego czuwania przed Radiem Maryja. Komentarz był niemal niesłyszalny, ale nie potrzebowałem go. Patrzyłem i czekałem na swoją twarz na ekranie. Ale nie, „chłopacy” okazali się solidarni – tłum, owszem, wrzeszczał w kierunku kamery, ale moja twarz się nie pojawiła. No i dobrze. Jeszcze panorama, maszt, dachy, ulica...

– Patrz! – syknął Jerzy.

Nadjechał biały fiat ducato, przemknął obok kamerzysty, mignął napis: WADOWICE, NAJLEPSZE PAPIESKIE KREMÓWKI.

– Truck! – Po raz pierwszy Jerzemu pomyliły się języki. Biały furgon i w mojej pamięci miał zajęte kilka pikseli. Ale nie kojarzyłem jeszcze dlaczego. – Widzisz?!

– Tak. Coś mi się kojarzy...

– Widziałem go ze trzy razy na tej ulicy – syknął Jerzy. – Idziemy!

Jednym łykiem osuszył swój kieliszek, skrzywił się, popił obficie. Położyłem na ladzie pięćdziesiątkę i poszedłem za Jerzym.

W pokoju podłączył kamerę do telewizora, włączył podgląd. Oglądaliśmy ulicę Legionów w czterokrotnym przyspieszeniu. Trzy godziny w czterdzieści minut, biały furgon z Wadowic przejeżdżał tą



ulicą, zawsze w tą samą stronę pięć razy. Krążył w koło, to było jasne jak świński ogon. Kierowcę mieliśmy na jednym dobrym ujęciu. Bardzo chudy, z garbatym orlim nosem, może gruzińskim raczej, bo ognisty brunet o ciemnych oczach. W ustach miał nieodłączną cygarniczkę z papierosem, za każdym razem niemal całym, musiał palić na okrągło. Zapisałem numer rejestracyjny, było już za późno, żeby uruchomić swoje znajomości identyfikacyjne: a może nie były potrzebne?

– To musi coś znaczyć. W sumie sześć przejazdów w pięć godzin, cholera wie, ile przez cały dzień. Ale po co? – Wpił się spojrzeniem w ekran z twarzą kierowcy na stop-klatce. – I nic nie czułem, a co najmniej dwa razy przejeżdżał niedaleko ode mnie! – Odwrócił się i popatrzył mi w twarz, jakby szukał odpowiedzi czy pociechy. – *Fuck!* – Trzasnął pięścią w kolano.

– Przejrzyjmy to jeszcze raz – zaproponowałem. Tym razem zajęło nam to znacznie więcej czasu, oglądaliśmy na dwukrotnym tylko pośpiechu. Nic więcej nie zauważyliśmy, przynajmniej ja. Jerzy mruknął w pewnej chwili: „O, tego gościa powinienem był sprawdzić”, chodziło o małego pyzatego krępego czterdziestolatka ze zwiniętym, więc nieznannej treści, transparentem w ręku.

– Podejrzany? Wzruszył ramionami.

– Może się wyniósł, zanim wróciliśmy... Wstał i się przeciągnął.

– Idę się przejść – oświadczył.

– Przejść czy *przejsć!* – zapytałem.

– *Przejsć.*

– No to ja z tobą.

Wziąłem gnata pod kurtkę i *geom* na pas, włożyłem do ust kawałek gumy, odetchnąłem głęboko, jak zawsze, gdy jej intrygujący smak wypływał z kawałka lateksu. Podobno kiedyś robiono to z *chicle*, mleczonego wydobywanego z sączyńca, tak rzecz się nazywa, ale teraz pewnie

z jakiegoś destylatu ropy. No i tak smakuje. Jerzy manipulował chwilę przy swoim statywie – coś szcęknęło, coś trzasnęło, odłączył jedno ramię, kręcił, wciskał, aż w końcu otrzymał mało elegancką, ale jednak, laseczkę.

Wyszliśmy przed hotel i tu zdania się podzieliły: ja chciałem w lewo, on w prawo.

Poszliśmy w prawo. I tak i tak mieliśmy po drugiej stronie ulicy park, a właściwie ciągnący się nad brzegiem Wisły skwer. Może raczej bulwar, skoro ulica nazywała się Bulwar Filadelfijski. Dlaczego filadelfijski? Czy nie taki był kryptonim programu atomowego? O to szło?

Maszerowaliśmy w milczeniu. Ja myślałem o głupstwach, typu bomba atomowa, Jerzy – jak to przełożony – pewnie o czymś ważnym. Potem jakby wrócił do siebie i do mnie.

Mijaliśmy zmurzały płot z łuszczącym się, chyba przedwojennym tynkiem, poszczególne segmenty wykorzystali graficy i tagerzy, jeden z odcinków muru zajmował wielki napis: HELL-P. Jerzy przystanął i przypatrywał się chwilę.

– Wołanie o pomoc? – powiedział w stronę muru. – Wydaje mi się, że już to widziałem, i to kilka razy, w różnych miejscach. Co to? Zespół punkowy? Formacja performance?

Filozofia jakaś?

– Raczej to pierwsze. Modne są takie... – Pstryknąłem palcami. – „Dziej Pi Tu”, „pir tu pir”, „em aj bi” czy „em aj tu”, a to jest, raz, dosłownie „polskie piekło”, dwa, „niech ktoś coś z tym zrobi”, „niech nam ktoś pomoże”... Tylko kto ma nam pomóc? Już nie mamy Ruskich do wyrzucenia, czego nam reszta świata życzyła i w czym pomagała, teraz powinniśmy sami się powyrzucać?

– Hm, wiesz, ja, jak powiedziałem na samym początku znajomości, nie poczuwam się do bycia Polakiem. Długo by o tym mówić,

dlaczego wyjechaliśmy, jak wyjechaliśmy, i tak dalej. Nieważne. Ale coś we mnie zostało. Serio. Sam się zdziwiłem. Raz na barbecue podchodzi do mnie jeden Murzyn i mówi: „Byłem w Polsce. To kurewnie dziwny kraj... Tu, w Stanach mnóstwo rzeczy mnie wkurza, chamstwo, nietolerancja, rasizm, brutalność... Ale żaden Amerykanin nie naszczałby na boisko do baseballu, a u was, Polaków, nawet wasz święty, jakoby, ogień na grobie Nieznanego Żołnierza muszą dwadzieścia cztery na dobę pilnować wartownicy, bo jacyś zabrowcowani młodzieńcy usiłowałiby go zgasić szczynami”.

– Dałeś mu w dziób?

– Nie, naszczałem do jego piwa. – Popatrzył na mnie i się uśmiechnął. – Żartuję, ale przypaliłem go inaczej, już nie pracuje w mojej Firmie... 1 wiesz co mnie zdziwiło?

– Ze w ogóle cię to obeszło?

– *Exactly!*

Ruszyliśmy znowu, mur i tagi skończyły się po kilkunastu krokach. Milczeliśmy.

Myśleliśmy.

– Muszę przyznać – powiedział po kilku minutach Jerzy – że mocno mnie dopadła twoja wizja sieci... Jak ich nazywasz? Wicków?

– Wicków, ale to głupie, trzeba coś innego wymyślić. Kto by chciał być wickiem?

– A to coś znaczy? – Skierował na mnie spojrzenie swych soczyście brązowych oczu.

– Wicerezerwa. Kto nie był w wojsku, nie wie. Rezerwa to ostatnie trzy miesiące w wojsku, a wicerezerwa przedostatnie.

– Aha. W USA to jessst... – Patrzył już nie na mnie, lecz na przeciwległą stronę ulicy. – Przechodzimy! – powiedział prawie normalnym tonem.

Zgodnie, nie patrząc na skwer, ruszyłem obok niego przez jezdnię.

Przed nami szła czwórka młodziaków, szerokie spodnie ze zwisającymi na wszystkie strony paskami, sznurkami, linkami, łańcuszkami i smyczami. Bejsbolówki na głowach. Dwaj środkowi co rusz się oglądali, skrajni szli powłóczystym krokiem.

– Gapią się na nas od kilku minut, od samego hotelu – mruknął cicho Jerzy. – Jeśli mamy się bić, to lepiej tu, gdzie nas nie widać, tam, na chodniku, od razu ktoś wezwie milicję.

– Policję – poprawiłem odruchowo. – Wyczuwasz coś dziwnego? Bo może to zwyczajne gnojki, które chcą spuścić wpierdol dwóm starym fiutom na bulwarze?

– Nic nie czuję, tylko widzę. Może masz rację, możemy to sprawdzić.

Zatrzymał się pokazał mi coś na Wiśle; pogapiłem się w mrok, zawróciliśmy i poszliśmy z powrotem. Po kilkunastu krokach wyjąłem portmonetkę, pogrzebałem w niej i upuściłem na ziemię kilka monet, zajęliśmy się zbieraniem ich. Młodzi królowie życia byli już o dwadzieścia kroków od nas.

– Nie daj się dotknąć – przypomniał mi Jerzy. – Zaraz się przekonamy, czy to zwykłe gnojki, czy gnojki niezwykłe... – Zaczerpnął tchu i wyrecytował jakoś tak w stylu muzzeina: – *Ph'ngluin Cthulhu hungnanwghan 'gi fhtagh ei 'rg nohf!*

Czwórka zbliżających się, już wyraźnie nie w miłych zamiarach, młodzieńców podzieliła się na dwa obozy. Środkowi wymienili pytające spojrzenia, ci idący z brzegu, poruszyli identycznie głowami: jak węże, cofnęli głowy do ciosu.

– Nie strzelaj – rzucił Jerzy, trącąc mnie w łokieć.

– Dobra, ale ich postraszę. – Wyszarpnąłem Gnata i wycelowałem w środek grupki. – Wypierdalać, i to migiem! – warknąłem.

Dwóm centralnym napastnikom nisko osadzone spodnie nie przeszkadzały, jak się okazało w następnych kilku sekundach, w

biegu. Technikę mieli słabą, nieefektywnie wymachiwali na boki rękami, majtały się te wszystkie sznurki i taśmy, ale różnie uchodzili z pola widzenia.

Co innego pozostali dwaj. Cofnięte głowy jakimś cudem wyciągnęli ku górze, gałki oczne błysnęły w świetle dość licznych latarni.

– Wstrzymaj oddech i zatkaj uszy! – krzyknął Jerzy.

Chwilę marudziłem i zostałem za to ukarany: oba guimony błyskawicznie, naprawdę jak kobry wyciągnęły głowy ku nam, nie zobaczyłem niczego, co by ulatywało z ich pysków, ale nagle załapała nas fala koszmarnego smrodu. To był Ojciec Cuch, Bóg Odór, coś, co spowodowałoby suicyd załamanych własną niemocą tchórzy, skunksów i śmierdzieli całego świata. Błyskawicznie zamknąłem nozdrza tylne, czy co tam się zamyka i odciąłem od fetoru i natychmiast zatkałem uszy. Zdążyłem w ostatniej chwili. Powalający, zniewalający, ogłuszający wizg wyrwał się skądś z ciał, bo przecież nie z gardeł guimonów. O ile zdążyłem usłyszeć, ułamek sekundy przed zatkaniem uszu, był to odgłos nieistniejący w przyrodzie. To było coś, co wymyślili hollywoodzcy dźwiękowcy dla potwora nie z tej ziemi: bas, skrzek, wizg, skrzypienie, dudnienie i jazgot razem wzięte. Ułamek sekundy, przez jaki ten dźwięk docierał w całej krasie do moich uszu, wystarczył, bym poczuł, jak pęka mi głowa, i doświadczył zmącenia wzroku. Na szczęście guimony nie mogły, chyba nie mogły, jednocześnie prowadzić ataku dźwiękowego i fizycznego. Zaniechały akustycznej kanonady i ruszyły na nas dziwnie rozkołysanym krokiem. Zobaczyłem, że Jerzy szarpie się ze swoją laską, pamiętając, że broń palna została zakazana, wyszarpnąłem tak mi ostatnio przydatny *geom*. „Mój” guimon, widząc sztywniejący miecz, uskoczył w bok i zaczął zapędzać mnie w stronę kamrata, który wolno zmierzał w kierunku Jerzego, ale zbliżał się jednocześnie do mojego boku. Obaj niemili chłopcy zniknęli, na ich miejscu

pojawiły się dwa jaszczurowate dwunogi, żabonogi, amebogłowy. Przypomniałem sobie, że sam Cthulhu jakby nie był zdecydowany, w którą rozwojową stronę się udać: ośmiornica, łuski, skrzydła, szpony...

Akolici też się rozmywiają. Wycofałem się.

Dotarło do mnie nagle, że mój miecz – no, bez przesady z tym mieczem: genialna rzecz, ale tylko na zaskoczenie i jedno cięcie! – nie ma wsadu z kwasu alsternowego, czyli nie jest bronią na guimony. Sprawdziłem więc, na wszelki wypadek, czy nie zgubiłem Gnata.

Cholera, przydatny byłby „tłumacz” do niego. Ale czy w ogóle istnieje takie coś jak „tłumacz” do de-sert eagle’a? Mogłem wziąć butelkę po mineralnej, lepsze takie wyciszenie niż żadne. No nic, na razie mamy tu prawnuka Cthulhu do poszatkowania.

Podszedłem bliżej. Pochylił się i syknął. Wykonywał tak niepasujące do człowieka ruchy, tak... inaczej... kołysał głową i poruszał rękami, że całkowicie i bez trudu udawało mi się myśleć o nim, jak o jakiejś obcej istocie, nie o człowieku. Guimon pochylił się, niemal zrównując głowę z kolanami, pod nieprawdopodobnym kątem wyginając górną część ciała.

Świsnąłem mieczem w kierunku jego gardła, ale błyskawicznie cofnął głowę, węzowym, niemożliwym dla człowieka ruchem; miecz przeleciał w bezpiecznej odległości od jego krtani. Lewą ręką sięgnął miecza, chwycił go i szarpnął. Miałem szczęście, że nie do końca zacisnął na nim ciemne paluchy i że to ja miałem wygodniejszy uchwyt. Szarpnąłem z całej siły, zgrzytnęło. Miecz miał tylko jedną krawędź tnącą, drugą, usztywnioną skórą, zapierał się o powierzchnię dłoni guimona, udało mi się jednak wyszarpnąć broń. Guimon, już tylko ubiorem przypominający chłopaka sprzed trzech minut, zagulgotał jak olbrzymi indor z wolem wielkości dwudziestolitrowej baryłki, po czym śmignął, cholernie szybko, ku moim kolanom. Tylko dlatego, że po wyszarpieniu miecza i tak byłem w nieco chwiejnym

odskoku, udało mi się zmienić go w skok w bok. Guimon przeleciał obok wyprężony, usiłując sięgnąć mnie lewą łapą. Szpony, jakie się pojawiły zamiast paznokci, a co tam paznokci! – całych palców, smagnęły mnie po lewej goleni. Zapieкло, ale i guimon, zakosztowawszy kontaktu ze srebrem w bieliźnie, syknął, szarpnął łapskiem i zamiast wylądować na czterech kończynach, zwałił się na bok. Podskoczyłem i ciąłem w lewą łydkę, a ponieważ niemal nie zareagował, usiłując się podnieść, opierając na sparaliżowanej najwyraźniej łapie, ciąłem drugi raz, w drugą nogę. Jeśli nie mogę go zabić od razu srebrem czy alsternem, mogę go kroić, dopóki nie znajdzie się sposób na bardziej radykalne i efektywne sposoby uśmiercenia.

Z przeciętych nogawek spodni wypłynęła wolno tłusta, połyskująca srebrem w świetle latarni, a w rzeczywistości zielona gęsta ciecz. Jak w kinowym horrorze. Chlasnąłem guimona w kark – brzęknęło, jakby miał tam metalową kryzę. Przekręcił się na bok i sięgnął w moją stronę prawą łapą. Uskoczyłem i szybko obiegłem go jeszcze raz. Przy okazji rzuciłem okiem na Jerzego. Właśnie zaszedł swojego kiwającego się przeciwnika z boku i od dołu wbił mu swoją klingę aż po mózg. Gdy się odwracałem, wymierzył zdychającemu guimonowi kopniaka w klatkę piersiową, czy co on tam w tym miejscu miał, chyba po to tylko, by szybko odzyskać ostrze.

Było dobrze. Obiegłem swojego przeciwnika, niemrawo gramolącego się z ziemi, i jeszcze raz ciąłem w kark. Z całej siły. Niemal odjęło mi rękę od zderzenia miecza z czymś twardym na jego karku. Zyskałem tylko tyle, że siła uderzenia powaliła ponownie guimona na ziemię. Gdy zaczął się podnosić, a ja wybierałem miejsce kolejnego ciosu, już nie karku, pojawił się obok mnie Jerzy. Uniósł klingę i ciął też w kark; nie zdążyłem go ostrzec. I dobrze, że nie zdążyłem – ostrze z alsternem przeszło przez kark potwora bez

większego trudu. Ciało wyrzuciło wszystkie cztery kończyny na boki i przywarło w drobnych drgawkach do ubitego żwiru alejki.

Głowa potoczyła się dobry metr, zatrzymała się, znieruchomiła, z nosem nienaturalnie wbitym w grunt. Powinna się przeturlać na bok, powinna! Poczujęm, że mam usta pełne śliny.

Zacisnąłem wargi. Głowa nagle się poruszyła – jakaś jeszcze funkcjonująca siła, jakieś szczątki energii kazały guimonowi poruszać się za pomocą ruchu warg. Odwracał głowę wolno, barwiąc jasny żwir ciemnozieloną breją. Jerzy obszedł głowę i kopniakiem posłał ją w gęstwinę irg.

– Mój już się rozpadł – rzucił i parsknął śmiechem. Wydawało mi się, że pokonałem torsje.

– W mordę... Jak szedł ten... dowcip o odciętej głowie? – wymamrotałem.

I zanim mi odpowiedział, wymiotowałem.





## ROZDZIAŁ 14

Po południu spenetrowaliśmy niezależnie od siebie wadowickie centrum, rynek i okolice, dowiedzieliśmy się, że autentycznej cukierni, tej Karola Hagenhubera, od papieskich kremówek już nie ma, że na jej miejscu jest sklep, ale trwają dyskusje o odtworzeniu stanu sprzed wojny, z okresu matury JP2. Największy opór stawia aktualny właściciel innej cukierni, na którą sypły splendor i profity. Rzeczywiście, każdy przyjezdny paraduje z pyskiem oklejonym cukrem pudrem i syropem, a nie kremem z zakupionych kremówek.

Widziałem vana, który onegdaj był w Toruniu. Widziałem cukiernię, pachnącą, przyznającą, apetycznie. Nasłuchałem się opowieści o niewidomym cukierniku, twórcy owego cuda, pochłanianego przez turystów. Miejscowi przyznawali bez specjalnej uwagi, że mieli to w ustach, ale raz – i więcej nie chcą. *De gustibus non disputandum est..* Widziałem też „gruzińskiego” kierowcę, towarzysza i przewodnika owego niewidomego.

– Ten kierowca to guimon, na sto procent. – Siedzieliśmy w zajezdni na peryferiach miasteczka. Jerzy już czwarty raz w tym tygodniu opychał się bigosem, ja wytwornie piłowałem podwójną wątróbkę wieprzową – pierwsza, pojedyncza, okazała się na tyle dobra, że pozwoliłem sobie na drugi zastrzyk cholesterolu. – Ale wyczuwam coś jeszcze, coś gorszego. Niemal jestem pewien, że Fn'thal tu jest. W rynku...

– Drogą dedukcji, którą to drogę mam wydeptaną po kostki – wymamrotałem, wpychając do ust kolejny, otoczony gęstym sosikiem kawałek wieprzowego podroba – dochodzę do wniosku, że tym Fn'thalem jest niewidomy geniusz cukierniczy. Udziela się, z tego co wiem, w tutejszej bazylice, zdarza mu się służyć do mszy. Oczywiście

zaopatruje w wypieki plebanie na każdą okazję.

– Droga dedukcji?

– Dobra, nie dedukcji, tylko wypytałem ludzi...

– I?

– I widziałem tego cukiernika. Miałeś rację, nie da się pomylić jego oczu z oczami zwykłych ludzi.

– I albo dokonuje zwiadu, albo sączy jakieś świństwo w uszy i żołądki jedzących. – Jerzy skinął głową. – Ale już niedługo. – Uśmiechnął się mściwie.

Pomyślałem, że nie chciałbym, żeby się tak uśmiechał na myśl o mnie.

Przed tarasem przedefilowało stadko, może z tuzin dziewczynek w szkockich spódniczkach i śnieżnobiałych bluzeczkach. Jerzy cmoknął i zapytał: – W dawnych czasach najeźdźcy, zdobywszy miasto, mordowali obrońców i gwałcili kobiety. Wtedy to dumni ale i kochający życie Szkoci zaczęli nosić spódniczki.

Pośmialiśmy się. Ale generalnie atmosfera nie była radosna. Jakieś smętne myśli zajęły bez hałasu i zamieszania większość mojego umysłu. I jeszcze coś mnie ugniatało. Ziarnko piasku na desce klozetowej... Kiedy ustawiałem toledo na płatnym parkingu strzeżonym, już niemal uświadomiłem sobie, co to może być, ale parkingowy zagadał coś i wytrącił mnie z transu. Trudno. Dowiem się później, co mnie tak dręczy.

Zacisnąłem zęby i zmusiłem się do porzucenia defetystycznego, działającego sabotująco mózgu; zastanawiałem się chwilę nad piwem i uznałem, że mogę. Było ciepłe, słoneczne jesienne popołudnie, do zmroku mieliśmy dobre sześć godzin – wcześniej nie zaatakujemy przecież pocziwego kaleki z rękami ubielonymi mąką i cukrem pudrem i duszą zalaną obrzydliwym smrodem Cthulhu. Zawołałem kelnera i zamówiłem żywca z butelki. Nie mam trwałej dobrej oceny

piwa beczkowego w lokalu z niewielką klientelą – za długo „złocisty napój” zalega w przewodach, by był smaczny i nie skisł. Choć generalnie dobre beczkowe smakuje mi bardziej niż butelkowe, czy – broń Boże! – puszkowe. Jerzy dołączył się do zamówienia. Gdy kelner odszedł, zapytał:

– Czy to naprawdę najlepsze polskie piwo?

– Kwestia gustu. Wiesz, pewien wnuczek zapytał dziadka, czy mu smakuje żywiec. A dziadek na to: „Nieźle, Piotrusiu, nieźle. Ale jakbym się tak nie przykładał do walki podczas drugiej wojny światowej, to pilibyśmy teraz warsteinerja!”.

Taki sobie dowcip, takie sobie piwko. Zatem je popijaliśmy. Syci do przesady.

– Trochę dziwne to... – bąknął w końcu Jerzy.

– Że tak oryginalnie zapytam: co? – zakpiłem. – To tylko guimony, pomioty Cthulhu, i ich generał, czy książę! Oni się tylko rozsypują w pył i proch, dotknięci dobrą bronią czy trafieni dobrym pociskiem. Co tu dziwnego?

– Nie, ta lokalizacja... Miasto, kojarzące się z papieżem... – Wzruszył ramionami. – Niemal święte, jeśli dobrze wiem.

– Niby dlaczego? – zapytałem leniwie.

– Noo... Tu się urodził? I to ty – wychylił się do mnie – Polak, się mnie pytasz?

– Widzisz, ja jestem trochę nietypowym Polakiem. Nietypowo myślę, ale i tak ja, nietypowo myślący, nie odważyłbym się powiedzieć głośno tego, co myślę.

– A co to takiego?

– Myślę, że ciężko schorowany, nie ustępując z tronu piotrowego, jakby krzyczał do ludzi: „Patrzcie – cierpię i umieram! Współczujcie mi, bo się boję!”. A przecież nie powinien, wierzący nie powinien. A tu, z przejmującego bolesnego odchodzenia zrobił się bolesny, ale

spektakl – dla telewizji, dla żurnalistów, dla mediów, dla wiernych...

– Może im to było potrzebne?

– Do czego? Żeby sami się zaczęli bać śmierci? Odchrząknął i zamilkł na długo.

– Tak tego nie...

– Wracając do miasta... – zmieniłem temat. – Sam mówiłeś, że guimony szukają takich miejsc, przesyconych emocjami czy nawet egzaltacją?

– Tak mówiłem, nie przeczę.

– No to tylko jeszcze Częstochowa może Wadowicom podskoczyć.

Uniósł brew i przyjrzał mi się uważnie.

– Nie obawiasz się, że przyznając się do bycia agnostykiem, skazujesz siebie na jakiś rodzaj kary?

– Och, przepraszam, ale ja przede wszystkim nie wierzę w Kościół, w instytucję. Jakoś nie pamiętam, żeby gdzieś w odpowiednich tekstach biblijnych wyróżniało się akurat te sługi boże i nazywało je jedynymi słusznymi. A jeśli tak, to to samo dotyczy też innych religii, i to znacznie agresywniejszych, i potem się dziwimy, że ktoś wchodzi do niepasującego mu meczetu z ładunkiem na brzuchu i wysyła siebie do raju, a dziesiątki innych na pohybel.

Księża i popi też potrafią dzielić wiernych na dobrych i tych innych. To mnie chyba najbardziej odrzuca i przekonuje, że to tylko ludzie, wcale nie bliżsi Bogu, nie lepsi, nie zacniejsi.

Jerzy pokiwał głową. Ciekawe, on pytał mnie już ze trzy razy, czy jestem katolikiem, a sam nie określił siebie. Już miałem go o to zapytać, ale zmieniłem zdanie. Przecież nie będziemy w tej chwili przekonywali siebie do zmiany światopoglądu.

– Po zakończeniu sprawy wyjeżdżasz? – zapytałem zamiast tego.

– Nie tak od razu, ale dość szybko. – Oblizał wargi. – Musimy przegadać... tak się mówi?

– Skinąłem głową.

– Przegadać tę twoją konspirę. Chyba masz rację, że trzeba coś zrobić inaczej, bo trwając w impasie, oddajemy im pole. Pewnie się powtarzam, ale przyznałem już nieraz, że dotychczasowa metoda eksterminacji raczej się nie sprawdza. Oni się chyba mobilizują i zmieniają, a my tylko tniemy i palimy. Przypominam sobie, że kiedykolwiek ktokolwiek usiłował wszcząć dyskusję nad taktyką działania, nad jakimiś działaniami długofalowymi, wyprzedzającymi, prewencyjnymi, zawsze był zagłuszany jazgotem tych, którzy uważali, że należy najpierw wyciąć je w pień, a potem się martwić, jak nie dopuścić do odrodzenia puli.

Teraz widzę, że ta taktyka... – Pstryknął palcami.

– Na przetrwanie? – odpowiedziałem.

– Tak, na przetrwanie, to w rzeczywistości oddawanie pola. To się musi zmienić.

Pogadamy o tym, dopiero potem wyjadę. A później ty przyjedziesz do nas. To już postanowione.

– Ewoluuujące guimony to, wydaje mi się, wyraźny dzwon alarmowy. Te tuningowane?

Nie mówiłem tego po to, żeby forsować swoje wymysły, wcale nie uśmiechały mi się działania w zakonspirowanej siatce zwalczającej guimony: moja praca w AB Werze nie za bardzo sprzyjała takiej partyzantce, poza tym – wolny czas? Skąd go wezmę? Cały czas w ruchu? W ruchu w pracy, po pracy, przed pracą i zamiast niej?! Ale widziałem w Toruniu guimony „nowej generacji”, liftowane, jak to określił Jerzy.

– Bardzo wyraźny, dlatego zostanę i przemyślimy to.

– Uniósł brew i zmierzył mnie szacującym spojrzeniem.

– Jak wygląda u was sprawa zwolnienia się?

– Pffu! – sapnąłem. – Raczej bez problemu.

– Możemy też wystąpić o wypożyczenie ciebie.

– To może byłoby lepsze – przyznałem i od razu uprzytomniłem sobie, że zawiść i podejrzliwość kolegów mogą mi kompletnie zatruć życie. – Zobaczymy.

– Tak – zgodził się. Łyknął piwa. – Ładna okolica – dodał, patrząc nad moim ramieniem.

– A kto powiedział, że to nieładny kraj? – Roześmiałem się. – Pamiętam dowcip Mleczki.

Rozmawiają dwaj faceci i jeden mówi: „Morze, lasy, góry, równiny, jeziora... Panie, kurwa, jaki to mógłby być piękny kraj!”. To było za komuny, wszyscy wiedzieli, co jest grane.

Nie zapytał, kto to Mleczko i kolejny raz pokręciłem w duchu głową w podziw nad przygotowaniem mojego przełożonego.

– Kawa? – zapytał, zerkając na kelnera. Przywołał go uśmiechem i ruchem głowy.

– Coś ty! Kawa i piwo w niedługim odstępie powodują, że kilka godzin spędzam nad pisuarem.

– Tak? A ja nie. Kawę poproszę, dużą. Śmietanka, bez cukru.

– Dla mnie podwójną herbatę – dołączyłem do zamówienia.

Coś trzeba było robić w tych nieszczęsnych Wadowicach, przez te cholerne godziny.



Kilka spędziliśmy w kinie. Sandra Bullock miała przecucia i miotała się w czasie, między dniami, kiedy zginął jej mąż, a dniami poprzedzającymi te dni. Chała koszmarna, a na dodatek operator kilka razy tak „zdjął” Sandrę, że miałbym problemy z rozpoznaniem jej.

Gniot.

W zapadającym zmroku rozległy się odgłosy nadchodzącej burzy, pewnie gwałtownej, jakie nawiedzają ostatnio nasz glob, na styku frontów i czegoś tam jeszcze.

Jerzy zamontował na drzewie małą kamerę z widokiem na drzwi do cukierni, ja zrobiłem to samo na tylnych drzwiach furgonu. Siedzieliśmy teraz w clio i czekaliśmy.

Przyciemniony ekran laptopa był podzielony na dwa ujęcia. W kaburze tkwił Gnat, tym razem załadowany samymi specpociskami. Do paska spodni, oczywiście – *geom*, przyczepiłem noktowizor. Jerzy dał mi go godzinę temu.

– Ty nie potrzebujesz? – zapytałem.

– Nie. Ja je wyczuwam ze sporej odległości.

– A one ciebie? Pokiwał smętnie głową.

– Zaczynam sądzić, że one też. W każdym razie te tuningowane. I nie ciebie, tylko nas.

– Nas?

Chciałem sprecyzować pytanie, ale szybko zrozumiałem niewłaściwość takiego: „To co, ocierając się o ciebie, nabrałem zapachu, który one identyfikują?”

– Tak, nas. Zabijając guimona, jakby nasycasz swoją aurę czymś, co generalnie jest pozytywne. Zapisuje ci się to na poczet dobrych uczynków, ale one go wyczuwają, ten poczet. Mając na koncie kilka sztuk, tracisz możliwość ukrycia się, podejścia na kilka kroków. Niestety.

– A co z wyczuwaniem ich?

Zablokował swoje drzwi i oparł się o nie. Chciałem mu powiedzieć, żeby tak nie siedział, bo... Bo ktoś podskoczy i palnie młotkiem w szybę i głowę jednocześnie. Przeszedł mnie zimny dreszcz, ale nic nie powiedziałem. Huknął grzmot, o dach samochodu rozbiły się pierwsze

krople deszczu, który szybko, w kilka sekund, wzmógł się i przeszedł w solidną ulewę. Teraz było naprawdę niewiele widać.

– Wyczuwanie na dystans guimonów to inna sprawa – odpowiedział Jerzy. – Nawet nie wiem dokładnie, kiedy się zaczyna i czy na pewno się wiąże z jakąś liczbą zlikwidowanych guimonów. Wybacz, ale nie badałem tego tematu; może któryś z pozostałych ekstermanów coś wie, dam ci znać.

Ucieszyłem się, że nasz kontakt nie zerwie się po sprawie.

– W ogóle trzeba będzie zrewidować nasze metody, przeanalizować je, przedyskutować.

Może jest coś, co przegapiliśmy, zajęci bieżącym wymachiwaniem mieczami? – Odchylił głowę, żeby lepiej widzieć ekran laptopa. – Jeśli mamy tworzyć sieć, to wszyscy muszą wiedzieć wszystko, a zwłaszcza to, co może się przydać. To jednak musi być inna sieć, nie taka jak dotychczas, tylko informacyjna...

– A... – zawahałem się – ...sieć, konspira... To wydaje się dobry pomysł, ale jeśli sprowokuje i drugą stronę do innego działania? Może ten Fn'thal, te tuningowane guimony, to właśnie wynik zmiany w twoim postępowaniu?

– Ale ja nie postępuję ani na cal inaczej! – zapewnił mnie Jerzy. – My tylko po raz pierwszy w Polsce wykonujemy eksterminacje. Chyba że wasz kraj jest jakoś szczególnie zasłużony w hierarchii kultu Cthulhu, choć nie sądzę. Dotychczas żadne nici nie prowadziły z Nowego Orleanu do Polski, zwłaszcza w przeszłości. W Nowym Orleanie nikt pewnie nie wie, co to jest Polska i gdzie się znajduje. Jedyne, co mi się narzuca, to mocne ośrodki kultu, emocje, egzaltacja...

– Jeśli chodzi o emocje, egzaltację i ekscytację, to w tej chwili mamy inne tego centrum.

Tam powinniśmy walić jak w dym. – Widząc zdziwione spojrzenie



Jerzego, wyjaśniłem: – Sejm. Tam guimonow mamy co niemiara. Wszystkich możliwych płci i w każdym możliwym wieku.

Uśmiechnął się jakoś dziwnie. Przestało mi być do śmiechu.

– Co? – zapytałem. – Czy ja... – Urwałem lekko przestraszony.

– Pytasz, czy przypadkiem nie trafiłeś? Myślisz, że nie sprawdziłem tego? Rzuca się w oczy z orbity Ziemi. Ale to tylko pozory, bo tak naprawdę to nie guimony tam macie, chociaż też na „g”.

– Nie, no... – Roześmiałem się, choć nie było za bardzo z czego.

Jerzy wyprostował się gwałtownie.

– Coś się rusza! – syknął.

Było już zupełnie ciemno; kamery, niestety, nie działały w podczerwieni, na ekranie było widać tylko jaśniejsze smugi, liczyliśmy na to, że kierowca włączy światła, może nawet w kabinie. Wpatrywałem się w ekran do bólu oczu, potem odwróciłem się od monitora i szybko nałożyłem noktowizor. To było mądre posunięcie, zmieniła się barwa, ale wszystko było widać jak na dłoni.

– Mamy już noktowizory barwiące obraz – usłyszałem głos Jerzego.  
– Prawie nie odróżniał...

Zamilkł.

Z bramy obok cukierni, prowadzącej na podwórko, niemal całkowicie zajęte przez rozwijający się zakład, wyłoniły się trzy sylwetki. Jedna wysoka i szczupła, z papierosem w ustach i olbrzymim, jeszcze zamkniętym parasolem w ręku – to był Gruzin; druga niewiele niższa, z laską i w ogromnych ciemnych okularach – cukiernik. Trzecia sylwetka – wyraźnie kobieca – niska, pękata, z torebką na ramieniu i torbą na zakupy. Przystanęli u wylotu bramy, jeszcze chronieni dachem.

– Dwaj nasi – powiedziałem szybko – i kobieta.

– Tak... Gruzin otworzył parasol. On i kobieta zrobili razem krok, natomiast mężczyzna z laską stał nieruchomo. Wodził głową, lekko,

ale tak właśnie zachowywałby się ktoś, kto by wyczuwał zagrożenie i usiłował sprecyzować kierunek, z którego ono nadejdzie. Gruzin obejrzał się, znieruchomiał, wysunął do przodu głowę, niemal jak te liftowane guimony w Toruniu, i też jakimś zmysłem spenetrował otoczenie. Kobieta, nie wiedząc, że parasol znieruchomieje, wyszła na deszcz i natychmiast się cofnęła. Potrząsała głową, jakby wyrzucała coś Gruzinowi.

– Chyba nas wyczuwają – poinformowałem Jerzego.

Nie odpowiedział. Siedział z miną człowieka zasłuchanego w szept myszy pod podłogą albo szukającego choroby we własnym ciele.

Ślepiec zrobił krok i wyciągnął rękę. Gruzin chwycił go pod łokieć, a następnie poprowadził pod parasolem do vana. Kobieta zaczęła wymachiwać rękami, w końcu, widząc, że mężczyźni nie zwracają na nią uwagi, skoczyła do tyłu, pod sklepienie bramy i stamtąd miotała wyrzuty. Gruzin jakby się zawahał, ale ślepiec jakoś związał go ze sobą łokciem, najwyraźniej ciągnął do kabiny furgonu. Gruzin otworzył drzwi, rozbłysło światło, jasna plama zalała połowę pola widzenia w noktowizorze. Podniosłem go i popatrzyłem na ekran laptopa. Teraz dokładnie widziałem, jak Gruzin trzasnął drzwiami. Zamykając parasol, obiegł przód wozu i wskoczył do kabiny. Na chwilę rozbłysło światło na podwórku, oświetlając wściekłą kobietę, teraz już wyraźnie wygrażającą kolegom pulchną pięścią.

Jerzy się ocknął. Przekręcił kluczyk i nie zapalając świateł, powoli wyjechał z zatoczki parkingowej. Furgon rozjarzył się światłami, kamera z tyłu ładowni pokazała czerwone plamy świateł, odbijające się w szybie zaparkowanego za ducato innego vana. Dopiero gdy fiat zniknął za rogiem odchodzącej z rynku uliczki, Jerzy zapalił światła i raptownie przyspieszył.

Ścigany musiał zrobić to samo, bo w uliczce już go nie było. Zerknąłem na ekran.

– Skręcili w prawo – poinformowałem Jerzego.

Nie byłem pewien, czy podawać mu moje niepewne, czysto ludzkie wrażenia, czy dysponuje swoimi, pewniejszymi, nadludzkimi, i czy one mu wystarczą. Nie kazał mi się przymknąć, więc uznałem, że będę wspierał jego, nieznane mi bliżej, superzmysły swoimi kaprawymi, ludzkimi. Jerzy dopadł pierwszej uliczki, skręcił w nią, w kamerze pojawiły się dwie jasne plamy. Okej, jesteśmy na tropie.

– Mamy ich – powiedziałem na wszelki wypadek.

Jerzy nie odpowiedział. Prowadził wpatrzony w rozmywaną deszczem przestrzeń przed sobą, sprawiał wrażenie, jakby przebywał w innym wymiarze, jakby całym sobą uwiesił się na ściganym samochodzie. Dobrze, że deszcz przepędził ludzi z ulic. Nie wiedziałem, czy Jerzy zwróciłby uwagę na przechodzącą przez jezdnię kobietę z wózkiem – na wojnie jak to na wojnie! – na szczęście żadna nie wbiła się między nasze wozy. Ducato przed nami, mimo że skręcał trochę bezładnie w prawo i w lewo, nie spieszył się przesadnie, nawet nie bardzo pochylał się na zakrętach, nie wpadał w poślizgi. Przyszło mi do głowy, że kierowca coś kombinuje, na przykład wciąga nas w jakąś pułapkę. Podzieliłem się tą myślą z Jerzym.

Myślałem, że będę musiał powtórzyć, albo wręcz krzyknąć, on jednak odpowiedział od razu: – Też tak myślę. Ale nie mamy wyboru. Jeśli nam się urwą, to szukaj wiatru w polu. Stąd i do granicy niedaleko...

Przemierzaliśmy więc nocne deszczowe Wadowice w te i nazad. Miałem wrażenie, że czas nie pracuje na naszą korzyść i powiedziałem to Jerzemu.

– Może rozwalimy im opony? – zaproponowałem na koniec.

– Jeszcze nie – rzucił przez zęby.

Kolejne pięć-siedem minut woziliśmy się dokoła rynku.

– Może czeka na tłum wychodzących z kina? – wyraziłem przypuszczenie.

– Nie... Nie wiem, ale wyczuwam podniecenie... Wjechaliśmy na Rynek, to znaczy oni wjechali, my musieliśmy przepuścić dwa zabłąkane samochody. Kiedy pojawiliśmy się na otaczającej rynek jezdni, ducato, wyjąc silnikiem, wpadał w zakręt w prawo, za tą samą pierzeją rynku, którą już raz zaliczyliśmy. Jerzy zaklął cicho i dodał gazu, miałem akurat na oczach noktowizor. Coś mi mignęło w bramie cukierni.

– Stań! – krzyknąłem. – On go chyba wyrzucił tutaj. Jerzy nacisnął hamulec.

– Ty jedziesz! – wrzasnął. – Ja gonię...

Już byłem na zewnątrz. Potknąłem się o krawężnik, poleciałem na pysk, ale podparłszy się rękami o mokre śliskie płyty chodnikowe, na czworakach niemal wpadłem w bramę.

Usłyszałem za plecami głośnie przekleństwo, a zaraz potem silnik wskoczył na wysokie obroty, trzasnęły drzwi. Jerzy odjechał, wściekły, ale nie chciał, na co liczyłem, paprać sytuacji dysputą, w wyniku której obaj ścigani by zwiali. Wstałem, przeszedłem na palcach przez bramę, usłyszałem dobiegający z podwórka cichy trzask blaszanych drzwi. Były tam takie, co pamiętałem z krótkiego popołudniowego zwiadu, po lewej, prowadziły chyba na zaplecze cukierni. Ale to, że trzasnęły, upewniło mnie, że się nie pomyliłem: guimon-Gruzin woził nas, żeby uspić naszą czujność i przy najbliższej okazji dać szansę ucieczki wyżej notowanemu w hierarchii kultowej ślepcowi Fn'thalowi. Wyjąłem Gnata i bezgłośnie – udało się! – dotarłem do drzwi. Pociągnąłem je lekko do siebie, otworzyły się. Cholera, że też musiałem zrzucić z łba noktowizor! Przydałby się też tłumik, albo... jak się nie ma co się lubi, to się bierze butelkę po mineralnej... Butelki też nie było.

Trudno, będziemy hałasować.

Przykucnąłem, otworzyłem drzwi i przytrzymałem je czubkiem stopy. Nic, cisza.

Śmiertelna, powiedziałbym, gdybym chciał zageścić narrację. Wsunąłem się do środka, szybko starłem wodę z czoła, przetarłem wierzchem dłoni oczy. Ciemno, stoły czy jakieś lady cukiernicze, z półkami zastawionymi stertami garnków i pojemników. Wyprostowałem się.

Nic się nie poruszyło, trzeba było się na coś zdecydować.

Mogłem iść w lewo, na tle okien, na własną zgubę i ku radości przeciwnika. Poszedłem więc w prawo, zresztą i tak zawsze wolałem poruszać się w prawo, nawet na rowerze lepiej mi wychodziły skręty w prawo, choć nie jestem mańkutem. Gnata trzymałem w obu rękach, ale po chwili zobaczyłem leżący na stole długi cienki wałek. Nie tyle właściwie wałek, ile metrowa gładka pałka z twardego drewna. Chwyciłem go w lewą rękę, zrobiłem dwa czujne kroki. W pomieszczeniu nadal panowała cisza, potem usłyszałem ciche brzęknięcie, zderzenie dwóch metalowych elementów. Ale nie w tym pomieszczeniu. Po drugiej stronie stołu widniały drzwi z małą szybką w górnej części. Powstrzymując chęć przyspieszenia, w tym samym tempie obszedłem stół, zajrzałem za niego. Zerknąłem w tył, po tej stronie stołu też nikt się nie czał. Najwyraźniej guimon, w czasie kiedy ja zwiedzałem podwórko, przemknął do innego pomieszczenia. Postanowiłem, że wejdę przez drzwi i poszukam włącznika światła.

W mroku przeciwnik, obeznany z pomieszczeniami, nawet jeśli naprawdę niewidomy, w co teraz mocno wątpiłem, ma przewagę. Podszedłem do drzwi, sprawdziłem, jak się otwierają – do przodu – nacisnąłem klamkę, odsunąłem się i trąciłem je nogą. Otworzyły się na całą szerokość, stuknęły o coś miękko, w worek mąki albo cukru pudru, albo w ciało niewidomego cukiernika. Przytknąłem lufę do

szpary między drzwiami i futryną i wystrzeliłem. Pocisk uderzył w coś niemal bezgłośnie, nadal nie wiedziałem: w ciało, cukier czy mąkę. Pomachałem przed sobą wałkiem, zrobiłem krok, w progu przejechałem wierzchem dłoni po ścianie, włącznik był tam, gdzie być powinien. Zmrużyłem powieki i włączyłem oświetlenie. Błysnęły jarzeniówki, zgasły, mrugnęły znowu – tylko część, bardzo mi na rękę – rozjarzyły się w końcu wszystkie. Kolejne pomieszczenie produkcyjne. Znowu setki blach na półkach, dziesiątki sit, jakieś maszyny pod ścianą. Przykucnąłem, potem wskoczyłem na najbliższy stół. Pusto. Zamknąłem drzwi. Tu były jeszcze do wyboru dwie pary – jedne prowadziły chyba do sklepu, może biura. Drugie w przeciwnym kierunku. I to przy tych długich zobaczyłem wilgotną podłużną plamę, smugę wody – ktoś pociągnął mokrym butem po kafelkowej posadzce.

Dobrze!

Podszedłem na palcach pod te drzwi, przysunąłem sobie wysoki, wąski i głęboki kociołek na kółkach, szarpnąłem klamkę i wepchnąłem kociołek do ciemnego pomieszczenia, chyba magazynu, sądząc po widocznych w prostokątnej plamie światła regałach z workami, pudłami, kartonami, pojemnikami. Kociołek swobodnie przejechał nieistniejący próg, uderzył w regał i znieruchomiał. Ja też. Czekałem.

Nie miałem intuicji ekstermana, ale czułem, wiedziałem, że ktoś w magazynie jest. Nie przekraczając progu, przesunąłem się o krok w prawo, potem dwa w lewo, przyjrzałem tej części magazynu, którą mogłem zbadać wzrokiem, nie wchodząc doń. Nikogo nie zobaczyłem. Popatrzyłem na podłogę. Teraz było lepiej: mokry ślad prowadził w prawo, czyli tak jak lubię. Już miałem skoczyć, ale pomyślałem, że w czasie, kiedy się skradałem, on mógł obejść magazyn i znaleźć się po lewej.

Czyli co, od nowa?

Wymyśliłem coś innego. Cisnąłem wałek-kijek w prawo, skoczyłem do drzwi, chcąc włączyć światło, żeby zniwelować przewagę Fn'thala, i...

Trafiłem twarzą w pacynę mąki wystrzeloną precyzyjnie z lewej w moją stronę.

Wydawało mi się, że zdążyłem zamknąć usta i oczy.

Zdążyłem też wystrzelić cztery razy.

Po czym oberwałem czymś ciężkim i twardym w głowę...



## ROZDZIAŁ 15

Droga przed nami kretyńsko pofałdowana, bo z obu stron ciągną się proste równe pola. „Widać nie dało się dogadać z pazernymi rolnikami”, mówi Kropacki. Jadę na grzyby ze swoim dawnym nauczycielem wuefu. Przy pierwszym splachetku lasu zatrzymujemy się na parkingu. Idąc za potrzebą w krzaki, odkrywam, że na skraju lasu, w kierunku pola zważyło się potężne drzewo. W jego cieniu leżą dwie torby z kijami do golfa, robionymi w jakimś polskim wiejskim warsztacie ślusarskim: z prętów zbrojeniowych, z mutr i rurek, wyginanych ceowników i tak dalej. Nie rozumiem, dlaczego wpadam w zachwyty. Długą chwilę czekam, czy ktoś po nie przyjdzie, potem ukradkiem biorę jedną torbę, tę z mniejszą liczbą kijów, i taszcę ją do samochodu. Gdy wracam, widzę, że jakiś miejscowy gnojek porwał mi drugą i ucieka, i to tak, że nie jestem w stanie go dogonić, choć on ma torbę, a ja nie. Już go prawie doganiam, w nie wiadomo skąd pojawiającej się uliczce, ten mały tłusty skurwiol wpada na podwórko z wrzaskiem: „Tata, tata, ten gość mnie bije!”. Z podwórka wyłazi taki wał jak Gołota i zmierza w moją stronę. Oczywiście nie wiem dlaczego, ale nie potrafię się odwrócić i uciec, tylko stoję jak ostatnia dupa i czekam na piąchę w pysk. Udaje mi się gościa przekonać, że nie uderzyłem jego syna, choć w ręku trzymam – nie wiem skąd; podłożone przez jakieś wrogię mi siły? – solidny przecinak i młotek. Facet żąda jednego złotego odszkodowania, ale ja nie mam kasy, bo wszystko jest w samochodzie. Gość mówi: „Jak nie przyjedziesz tu z tą złotówką, to pojedę do twojego domu, na Krochmalną. I ci wpierdolę, kutasie. Rozumiesz?”. Zgadzam się, wracam do drewnianego samochodu marki Kijów, zaskakująco wygodnego, wysokiego, z sekcją sypialną, i jedziemy na te grzyby. I się budzę...



Po twarzy spływa mi zimna woda. Znowu nic nie widzę, bo oczy też zalewa mi woda, chcę się poruszyć, otrzeć twarz, nie daje się.

Jest jasno.

Magazyn. Mąka, różne gatunki, beczki, skrzynie, pudła. Jasno, Jerzy przede mną.

– Spokojnie – mówi. Ale tak „spokojnego” Jerzego jeszcze nie widziałem. Potrząsam głową.

– Miałem pieprzone widzenie z kijami gol... Dociera do mnie całość sytuacji.

Siedzę na krześle z metalowych rurek i z grubsza wyprofilowanej sklejki.

Uda i łydki mam przymocowane do rurek wieloma warstwami taśmy klejącej. Klatkę piersiową i przedramiona też.

Na stole po prawej leży miecz Jerzego i mój Gnat. Jerzy przygryza wargi.

– Teraz się nie odzywaj, nie szarp się. Ja działam i mówię, ty słuchasz.

Pochyla się i zaczyna przecinać taśmę na moich nogach.

– Wszystko będzie dobrze. Kurewsko dobrze... Oblewam się zimnym potem. Przy nim zimna woda, którą mnie cucił Jerzy, to parna duszna oleista deszczówka.

– Masz z tyłu ładunek, uzbrojony i odpalony... Pamiętasz, jak cię wiązał?

Potrząsam głową.

– Nic nie pamiętam... Strzelił we mnie mąką z łopaty... Potem nic. Nie czuję ucha, lewego. Mógłbyś mi je odgryźć i nie poczułbym, jak po cholernie za dużym znieczuleniu u dentysty. Kiedyś tak miałem i przez...

– Ciii! Cicho – powiedział Jerzy, na sekundę unosząc głowę. – Wszystko będzie dobrze.

Spokojnie.

– Chlasnął ostatnie pasma na udach. – Teraz słuchaj. Jesteś okręcony taśmą, pod którą znajdują się przewody. Wiem, że są poskręcane, więc za cholerę nie wiadomo, jakim kolorem kończy się przewód, który się zaczyna jako fioletowy. Nie będziemy nic ciąć, bo pewnie rozpierzolilibyśmy cukiernię. Zrobimy inaczej. Ja tnę koszulę, ty kombinuj, gdzie jeszcze należy przeciąć, żeby się z niej wyśliznąć.

Nie marnując czasu, wyszarpnął koszulę z moich spodni, odciął mankiety, naciął rękawy, tyle ile się dało – do pasm taśmy.

– Ode... tnij rękawy... – Głos mi obrzydliwie drżał. Sądziłem, że pośpiech Jerzego oznacza, że mamy mało czasu, kilka minut. – Ile mamy czasu?

Zerknął za moje plecy.

– Cztery minuty. Kurwa! Mać! Zacisnąłem zęby.

– Za trzy minuty wypierdalasz stąd! – warknąłem. – Nie dasz skurwielowi satysfakcji, rozumiesz?!

– Tak, tak! Rozumiem. Skaleczyłem cię?

– Kurwa, możesz mi odciąć głowę, byleby potem się dało złożyć, człowieku! – wrzasnąłem.

Jerzy ciął jak szalony, wydawało mi się, że co najmniej raz nóż zgrzytnął na moich żebrach. Zacisnąłem zęby i skoncentrowałem się na uwalnianiu mojej spętanej, oplatanej, przygłuszonej osoby. Żeby przeciągnąć się przez obręcz, musiałbym uwolnić ręce, zacząłem więc mocno, ale z wyczuciem przesuwając prawą rękę do góry. Przechyliłem się w lewo, a Jerzy syknął coś przez zęby.

– Muszę wywlec ręce, inaczej będziesz musiał mi je obciąć. – I nagle spłynął na mnie spokój. Mówił mi ktoś obeznany z górami, że taki spokój spłynął nań, gdy wisiał na ścianie Cho Oyu, a obok przelatywał wrzeszczący dziko prowadzący, któremu nie udało się dobrze zamontować kostki w szczelinie. – Tak przy okazji, wolę żyć

bez rąk niż wcale. W tym pierwszym pokoju widziałem gancki tasak, Jerzy, serio... – Wyciągnąłem rękę do nad garstka i znieruchomiałem. Mocniej pociągnę, to zerwę przewód, nie pociągnę, to nie wyjmę ręki. – Ale na razie chluśnij mi olejem na rękę. Na tors też nie zaszkodzi.

Jerzy rozejrzał się dziko. Skoczył do antałka z obiecującym napisem, odkręcił korek i chlusnął na prawą rękę, na lewą, na pierś, obiegił mnie i poczułem chłodną gęstą ciecz na plecach. Obrzydliwe... W magazynie leży paręset kilo mąki, a ja widziałem kiedyś na pokazie ogniowym, jak pięknie eksploduje obłok z mąki. Tu był pewny obłok z mąki, cukru pudru, wszystko podlane tłuszczami cukierniczymi i olejami zapachowymi w zasranie wielkich ilościach.

Pociągnąłem rękę, coś drgnęło. Gdzie to facet wybił sobie kciuk? W jakim filmie?

Wyłamał? No tak, kciuk wyraźnie przeszkadza. Zrobiłem z dłoni coś na kształt grotu kopii i ciągnąłem.

– Ile... cza... su? – wykrztusiłem.

– Ciągnij, kupa czasu. Szarpał na mnie koszulę, aż chyba nie zostało nic poza tym, co było przyklejone do opasującej mnie taśmy i do tego, co było na przedramionach.

– Teraz to już ciągnij, kurwa, ciągnij! – wrzasnął. Wlazł na krzesło, poprawił ustawienie stóp, chwycił opaskę na piersi, odchylił ile się dało.

– Wyłaż!

Prawa ręka wysmyknęła się do góry, chciałem powiedzieć, żeby skoczył po tasak, bez lewej sobie poradzę, ale z miny Jerzego wywnioskowałem, że nigdzie po nic nie skoczy: albo uratujemy się obaj, albo obaj wejdziemy w skład pierdolonej krwawej wadowickiej kremówki, największej, jaką widziało to miasteczko.

Ciągnąłem do góry lewą rękę, jednocześnie wciągałem brzuch i wysuwałem się z koszuli i zabójczej opaski.

Olej rozlał się po całym krześle, pośliznąłem się i omal nie strąciłem Jerzego z siedziska.

– Dawaj, dawaj – powtarzał jak mantrę. Nie patrzył za moje plecy, gdzie pewnie tykał bezgłośnie jakiś pierdolony chiński budzik. – Dawaj, dob... rze... i... dzie...

Wyszarpnąłem lewą rękę. Już chyba nie było na co czekać, wyrzuciłem nogi do przodu i – zaskoczony – poczułem, że wylatuję z krzesła jak mydło z mokrej dłoni. Zwaliłem się na podłogę. Jerzy złapał mnie za rękę, wymsknęła mu się, natłuszczona. Na kolanach, na czworakach, czołganiem przez pełzanie i kaczym kucem wyrywałem z jebanego magazynu, rycząc coś, co miało brzmieć: „Jerzy, uciekaj!”, ale tak nie brzmiało...

I byłem na podwórku, znowu upadłem, a może nie wstawałem w ogóle, tylko takim skurwiałym człapem wydostałem się z cukierni. Jerzy złapał mnie za pasek i pociągnął. Błąd – już prawie byłem na nogach, teraz znowu kuśtykałem na czworakach, z dupą wypiętą do księżycy, do deszczowych chmur, do nieba...



Wpadliśmy do bramy, Jerzy zachrypiał, puścił mnie, a potem przewrócił się na mnie. Przywarliśmy do zimnej kostki, którą była wybrukowana brama. Wybuch w ochoczo rodzącej echo bramie ogłuszył mnie i niemal znowu pozbawił przytomności. Nad nami przeleciał wrzący obłok, w którym było wszystko: szkło, okruchy, drzazgi, wióry, płomienie, war... Większość tego wyładowała swój impet na Jerzym, mnie wystawał spod niego tylko prawy łokieć, oparzyło mi prawe ucho.

Pięknie: lewe mam nieczynne, prawe zwęglone.

Zacząłem histerycznie chichotać, Jerzy zeszywniał. – Co jest? Kamil?!!!

– Nic. – Nie mogłem się uspokoić, ale też, przywalony osiemdziesięciokilogramowym Jerzym nie bardzo mogłem się śmiać. – Tylko... Uświadomiłem... sobie, że uratowałeś mi życie, a już mnie wkurwia podrapane uszko...

– Uszko? – Podniósł się i znowu podciągnął mnie za pasek do góry. – Jakie, kurwa mać, uszko?!

– Moje. – Pokazałem prawe ucho, potem dotknąłem jednego i drugiego.

Na podwórzu szalał pożar, od ulicy dobiegały głośne wrzaski.

– Trzymaj. – Jerzy podał mi Gnata. – Walimy na skwer, szybko!

Wypadliśmy z bramy. Ktoś tu biegł, wrzeszcząc na całe gardło: „Straż pożarna! Straż pożarna!”. Jakby krzyki mogły zastąpić telefon.

Kryjąc się za samochodami, przebiegliśmy kawałek, przeskoczyliśmy na drugą stronę ulicy. Dopadliśmy clio. Dwieście metrów dalej, w cichej i głuchej na wrzaski z rynku uliczce wytarłem się suchym pachnącym miło ręcznikiem Jerzego. Z kanistra polał mi na ręce wody, umyłem się jako tako, pomogłem umyć się jemu. Już niemal nie trzęsły mi się ręce. Jemu w ogóle nie.

– Dawaj, opowiadaj, co się działo! – zażądał, gdy wbiłem się w jego koszulę i łyknąłem z półlitrowej piersiówki.

Jerzy nie pił.

– Gonilem chyba tego Fn'thala, w magazynie wskoczyłem do środka i nadziałem się na plombę z mąki. Wystrzeliłem kilka razy, trzy, może cztery... Cztery! I oberwałem w łeb.

Pewnie ową szuflą do mąki. A ty?

– Jego wóz wypadł z drogi, ale już wiedziałem, że Fn'thala w nim nie ma. Zaraz tam pojedziemy. Masz jakieś papiery?

Skinąłem głową.

– To dobrze – stwierdził. – Zaraz za mostem, nieopodał szosy, ducato kapotowało. Mam nadzieję, że po moich strzałach. Wyglądało to na tyle dobrze, że nie sprawdzałem, co się stało z Gruzinem, tylko wróciłem do ciebie. – Wolno zaczerpnął tchu, tak wolno i głęboko, że niemal czekałem, aż zacznie jakąś mantrę, albo przynajmniej wyrzuci z siebie zło: Ou-ssa-ma-aaaa... – I tyle.

– Muszę ci podziękować... – zacząłem.

– Nie pierdol – przerwał mi. – Tylko nie pierdol ckiwie, bo...

– Teraz ty nie pierdol – przerwałem i ja. – Chciałem ci podziękować za to, że nie posłuchałeś mnie i nie obciąłeś mi rąk. Musiałbym przerabiać wszystkie swoje koszule.

W clio nastąpiła cisza. Chwilę trwała. Potem Jerzy pokręcił głową i przekręcił kluczyk.

Zanim ruszył, włączył światło i przyjrzał mi się.

– Ujdzie – podsumował oględziny. – Powiesz, że biłeś się z tym ściganym. Albo z kimś innym.

Kilka minut później byliśmy za mostem nad jakąś rzeczką. Na łuku drogi wypadł, koziołkował i teraz na boku leżał van z reklamą wadowickich kremówek. I wóz nie do użytku, i kremówki na jakiś czas wypadły z obiegu. Może prawdziwa cukiernia na tym zyska, spadkobiercy Hagenhubera?

Dwa radiowozy chlastały ciemności błyskami kogutów, deszcz ustał. Pewnie, jak jest pożar, to po co komu deszcz? Nawet tak namaszczone miasteczko jak Wadowice nie mogło liczyć na specjalne względy. Zatrzymaliśmy się kilka metrów od policjantów, wzbudzając ich niechęć. Jeden zaczął machać rękami.

Co tak machasz, jeszcze sobie grabki popsujesz!

– Aspirant Sochard, abewu. – Pokazałem im z daleka legitymację. – Możecie mi powiedzieć, co się stało?

– Są dwie wersje – powiedział sierżant, zasalutowawszy niedbale. –

Albo wypadł z powodu szybkości, a opona mu pękła przy dachowaniu, może też pękła na zakręcie, albo ktoś do niego strzelał. Świadkowie nie są pewni, bo była burza i z niebios nieźle waliło.

– Ofiary? – Zrobiłem kilka małych kroków, żeby zajrzeć do kabiny przez pozbawione szyby przednie okno.

– Nie wiadomo. Kiedy tu przyjechaliśmy, nikogo już nie było. Czyli kierowca żyje. Czy był ktoś jeszcze, nie wiemy. Wiemy tylko, że to z cukierni w rynku.

– Nieistniejącej cukierni – nie wytrzymałem. – Właśnie się dopała.

– Tak, wiemy. – Sierżant podniósł czapkę i trzymając ją tą samą ręką – Boże, jaki piękny prowincjonalny gest! – podrapał się po głowie. – Mamy tu radio, choć może pan, ze stolicy, nie uwierzy.

O, i zaczęły się cyrki: „Prowincja kontra stolica”.

– Nie wierzę, pewnie się domyśliliście, słysząc eksplozję. – Zasalutowałem. – Jak się nazywał kierowca tej cukierni?

Miał ochotę skłamać, albo powiedzieć, że nie wie.

– Zygburt Żłotykamień. Żyd.

– Ach, Żyd?! No to wszystko wyjaśnia, nie?

– Ja tylko tak, żeby nie było pytań: „Co to za dziwne nazwisko?”

Wszyscy pytają.

Centrala... – Wskazał brodą radiotelefon.

– Dziękuję. A gdzie mieszka?

– Zielona osiem, mieszkania dwa.

– Dziękuję... – Popatrzyłem na ducato. Normalny człowiek, nie guimon nie powinien po dwukrotnym koziołkowaniu wydostać się z kabiny o własnych siłach. Nikogo to nie zastanawia? – Czy w kabinie są ślady krwi? Na karoserii?

– Przecież padało!

– No to może, do kurwy nędzy, przynieście jakąś plandekę i zakryjcie kabinę, co?

Tropiciele, w dupę i nożem! – warknąłem.

Zastanawiali się, ale – na szczęście dla siebie – krótko. Zresztą i tak Jerzy postąpił mi znaczące spojrzenie i wolno ruszył w stronę samochodu. Poszedłem za nim.

– Zapisaleś nazwisko tego cwela? – usłyszałem z tyłu ciche pytanie.

– A chuj mu w bukiet! – padła odpowiedź.

Ja zapamiętałem nazwisko z plakietki sierżanta. Miałem pewność, że skorzystam z tego kącika swojej pamięci.

Dogoniłem Jerzego, ale z trudem: wciąż przyspieszał. Wskoczyłem do wozu, ruszył z powrotem do miasta.

– Jest tam! – syknął, patrząc przed siebie.

– Fn'thal?

Skinął głową.

– Gruzin jest mniej ważny, tylko przebywanie w orbicie Fn'thala czyni go nieco ważniejszym od innych guimonów. Nawet nie jest takim tuningowanym. – Uśmiechnął się kącikami ust, koncentrując się na prowadzeniu.

Na szybie znowu pojawiły się krople deszczu, który w zasadzie mi zwisał jak listek papieru toaletowego, może nawet nam sprzyjał: mniej gapiów na ulicach. Uchyliłem na chwilę okno; syreny już wyły. Skoro już się pobudzili – w pogotowiu, w policji – to pewnie i straż graniczną ściągną. Przez skrzyżowanie przed nami przemknął radiowóz na sygnale.

Jasne, taka okazja, mknąć przez rodzinne miasto i dawać po syrenie! Co za dupki!

Sięgnąłem po Gnata, dopiero teraz. Dupek to ja! Głupi rozjechany palant! W magazynku nie było ani jednego naboju. Zacisnąwszy zęby, wpakowałem do niego cały zapas, czyli tuzin specpocisków, porozdzielane, na wszelki wypadek, pięcioma zwyczajnymi. Dobrze, że Fn'thal albo Gruzin nie pojawili się wcześniej. Uśmialiby się co



niemiara z durnego głupka z pustą lufą! No ja pierrrdole!

Skręciliśmy w jakąś uliczkę i zwolniliśmy. Sięgnąłem po omacku do tyłu, mając nadzieję, że znajdę noktowizor. Kiedy straciłem z nim kontakt? A, w bramie! No to się dochodzeniówka będzie głowić... Przyszło mi nagle do głowy, że dziwnie często bawią mnie ostatnio cudze kłopoty, a przecież mam własnych od jaja chusnego, czyli...

– Tam!

Ujrzeliśmy jakiś skwer. W świetle latarni było widać wsiąkające w mrok alejki z pełnego kawern asfaltu, sądząc ze stanu pierwszej ławki – w głębi musiały ostać się tylko żelbetowe szkielety. Jerzy zahamował. Chwilę siedział nieruchomo.

– On nie ucieka. Czeka na mnie.

– Na nas. Kurrrwa! Na nas. Mam mu do przekazania kilka pierdolonych kujawiaczków w jaja, czy co on tam nosi w kroku!

– Dobra, dobra. To ważna chwila. – Odetchnął tak mocno, że chłodzona deszczem szyba zaparowała na połowie powierzchni. – Nie spierdolmy tego.

– Nie spierdolimy – zapewniłem go. – Co i jak robimy?

– Wsadzisz w niego kilka pocisków, na początek.

– Aha, tak „dla poddierżki razgawora”!

– Tak, cokolwiek to znaczy. Może to wystarczy? A jeśli nie, to i tak musi go osłabić.

– Coś mi się zdaje, że za duży nacisk położyłeś na słowie „musi”?

– No bo nigdy nie biłem Fn’thala – przyznał. – Dobra, nie ma co się rozgrzewać i podniecać. Idziemy.

– W juniorach mówiło się: „Wygramy, przegramy, jebał ich pies. Tak jest!”. – Wyciągnąłem do Jerzego rękę.

Przyłożył swoją do mojej, przy dusił i rzucił:

– Tak jest! Wysiedliśmy.



## ROZDZIAŁ 16

Jerzy trzymał w ręku miecz. Ja trzymałem rękę na kolbie Gnata. Żałowałem, że Jerzy nie ma dłuższego miecza albo dwóch. Albo jakiejś zajebistej magicznej katany.

Moje cztery magiczne kule poleciały przed siebie i nie wyrządziły raczej cuchnącej cthulhowej gnidzie większej szkody, skoro miał potem czas i ochotę na montowanie pułapki z mojego ciała i kilograma zasranego semteksu. No, chyba że pociski Jerzego nie przebijały się przez pacynę z mąki.

Kurwa, przecież musiałem choć raz trafić Fn'thala! No tak, ale mogłem go trafić w ucho.

O?! Może dlatego tak znieczulił moje? Z zemsty.

– Dlaczego nie czuję ucha? – zapytałem Jerzego. Wstąpiliśmy na parkowy asfalt, trzeba było wyostrzyć zmysły i uważać.

– Bo cię dotknął. Inne partie ciała chroniła jakoś ta wspaniała bielizna. Nie zauważyłeś, że zdarł ją z ciebie?

– Długo, skurwiel, zabawiał się ze mną... Przeszliśmy kilka kroków.

– Bez śmiertelnej potrzeby nie rozdzielamy się – powiedział Jerzy.

Zdaje się, że wyczułem w jego głosie leciuchną urazę – chyba zinterpretował moje słowa jako wyrzut, że się nie pośpieszył.

– Okej.

Odłożyłem wyjaśnienia na później. A uwagą o działaniu wspólnie trafił w moje plany.

Nigdy wcześniej tak mocno nie łaknąłem towarzystwa. Było mi jakoś zimno, mokro, nieprzyjemnie. Jakbym wylazł z grobu, choć – po trosze – tak było.

– Czy dotknięcie Fn'thala wysysa karmę, jakieś id, ego? Libido? – dodałem w ostatniej chwili, żeby złagodzić nieco powagę pytania.

– Nie wiem – rzucił zniecierpliwionym tonem.

Ledwo powstrzymałem się od kolejnego idiotycznego pytania. Zapytałem więc siebie, czy po prostu się kurewsko boję i dlatego gadam jak potłuczony? Zamiast się skradać? Choć podkradanie się do istoty nie z tej ziemi, jest chyba tak samo skuteczne, jak walenie onej po łbie drewnianą szpatułką do lodów. Przygryzłem dolną wargę i wyjąłem Gnata. Zostawił mi go, ale wyrzucił pociski. Zostawił, bo się drażni? Czy to podpucha i w potrzebie pistolet miał się okazać pusty? Czy jeszcze coś innego?

Szliśmy wolno po pustej jak czerep kibola alejce. Z nieba sypnęło deszczem, ale bardzo przelotnie, minutowo. Nagle poczułem, że wcale nie chcę zbawiać świata; umysł dokonał przeszacowania i wyszło mu, że niewarta skórka wyprawki.

Ale już było za późno.

– Postaraj się trafić w głowę – rzucił Jerzy. I dodał coś, czego w pierwszej chwili nie zrozumiałem: – Jeśli to będzie miało głowę.

Ujrzałem wtedy to, co on zobaczył wcześniej: pod wysokim drzewem stał znany nam „ślepiec”. Nie zwracał na nas uwagi, opierał czoło o pień, jakby chciał przejąć od niego jakieś przydatne substancje, energię, karmę? Oceeniłem odległość i światło, jeszcze kilka kroków, Jerzy przesunął się w lewo, a ja szedłem prosto, tu miałem chyba najlepszy strzał. Ślepiec odwrócił się w moją stronę i ni to parsknął, ni charknął. Odebrałem to jako komplement: „Patrzcie, udało mu się uciec z bombowej cukierni!”. Wystrzeliłem, i od razu poprawiłem, bo pierwszy pocisk trafił znakomicie: w środek czoła. Drugi nieco wyżej, bo siła odrzutu poderwała mężczyźnie głowę. Zagulgotał. Tyle krzywdy zrobiły mu specjalne pociski.

Zbliżałem się, nieco wolniej, ale nieuchronnie. Wystrzeliłem znowu dwa razy, mierzyłem w lewą nogę i trafiłem, podłamała mu się, ale wyprostowała od razu. Milczał.

Zaczął się zmieniać. W świetle księżycy i dwóch latarni było widać, jak się prostuje, rośnie; pękła tkanina... Nagle wykonał jakiś dziwny ruch – okręcił się na jednej stopie, ale nie stracił mnie z oczu, coś się zmieniło w jego nogach, a raczej powiedziałbym: łapach – zupełnie jak w jakimś wilkołaczym horrorze, starszy pan o szczupłej sylwetce i wąskiej wydłużonej twarzy zmieniał się w pokrytego gadzią skórą utrzymującego pionową sylwetkę kolco-jezo-ropucha. Ropucharz. Na głowie puchły mu jakieś wyrostki, które przeobrażały się w długie kolce; po chwili zaczęły przypominać koronę Statui Wolności.

Widziałem, że gapił się niemal bez przerwy na mnie, zbierał się do skoku w moją stronę, ale chyba jednak pociski w nodze utrudniały mu poruszanie. Zatrzymałem się i wymierzyłem znowu w to samo miejsce. Chwiejący się gad zamamrotał coś, nie brzmiało to ani przyjaźnie, ani miło. Wystrzeliłem cztery razy, noga mu się ugięła, prawie uklęknął i wtedy zza drzewa, o które Fn'thal opierał się przed momentem, wypadł Jerzy. Byłem przekonany, że jednym cięciem zdekapituje stwora, ale ten, mimo że jeszcze kilka minut temu zasiedlał ciało niewidomego, teraz widział wszystko – odskoczył, i to o dobre trzy metry.

Dobrze, warto zapamiętać, że ma nieprzyjemny zasięg. Cholera, w co celować? Czy toto ma jakiś odpowiednik serca? Mózgu? Kręgosłupa? Chyba tak, bo kości miało, stawy też...

Akurat stał bokiem, więc szybko zrobiłem trzy kroki, korzystając z tego, że kołysał się, patrząc na wolno zbliżającego się z mieczem w dłoni Jerzego. Wystrzeliłem. Pocisk wszedł w okolice łopatki – jeśli stwór budową przypominał człowieka, to musiałem mu zgruchotać nieźle gnaty. Niestety, nie dał po sobie tego poznać, transformers pieprzony!

Jerzy świsnął mieczem. Stwór odchylił się i od razu sięgnął długimi łapami, zakończonymi szponami jak u lwa. Nie był to zbyt

przekonujący atak. Jerzy natychmiast wykonał zgrabny półkolisty ruch i miecz pomknął w kierunku łap. Chyba nawet drapieżnik w rodzaju tygrysa nie zdążyłby cofnąć łapy, ten zdążył. Gdyby udało mi się trafić w tę jego „dłoń”, może pocisk zgruchotałby ją na tyle, że zostałyby z jednym kompletem szponów. I wtedy zrozumiałem, że uśpił nas, a przynajmniej mnie – miał chyba jeszcze dłuższe brzytwy na dolnych łapach, którymi się nie popisywał i chyba starał się, żebyśmy o nich zapomnieli.

Na razie syczał, kręcił głową i buchał obrzydliwym kwaśnym smrodem.

– Ma niezłe brzytwy na nogach! – zawołałem, usuwając się z obłoku odoru.

– Aha. Masz rację.

Stwór musiał zrozumieć, bo nagle zaczął przestępować z nogi na nogę, wykonywać małe kroczyki, poruszał przy tym łapami. Wszystko, żeby utrudnić mi celowanie. Czyli jednak coś odczuwał! Przesunął się tak, żeby mieć nas obu w zasięgu wzroku. Ale przecież mogłem się przemieścić również! Poszedłem w lewo, nie spuszczając go z muszki i dlatego od razu to zobaczyłem: jedno oko, lewe, wędrowało mu po twarzy, przez cały czas mnie nim namierzał – kąta widzenia pozazdrościłby mu kameleon! Wycelowałem i posłałem w to oko dwa pociski, ale uderzyły w czaszkę.

W tej samej chwili Jerzy skoczył i korzystając z ułamka sekundy oszołomienia ropucharza, ciął go po prawej łapie. Miecz brzęknął, jakby trafił co najmniej w rurę, ale koniec łapy zwiśł, a z cięcia trysnął obłok... Pary? Gazu? Ropucharz wychylił się do tyłu, wystrzelił dolnym łapskiem w stronę Jerzego, a ten skorzystał z okazji i ciął od góry w kolano. Teraz brzęknięcie było głośniejsze, a stwór ryknął tak, że na kilka sekund straciłem słuch. Dlatego nie usłyszałem, co krzyczy do mnie Jerzy. A co mógł? Przymierzyłem do znacznie

wolniej poruszającego się wysłannika piekieł i posłałem mu cztery kulki. Alstern musiał na niego działać, nie tak szybko i radykalnie jak na zwyczajne guimony, ale jednak – zakołysał się, niezbyt zręcznie pociągnął lewą łapą. Ruszyłem do niego i z czterech kroków wystrzeliłem resztę pocisków, chyba trzy. Odrzuciłem Gnata, wyszarpnąłem swój wierny, dziwnie tu wiotki i niepasujący do powagi walki mieczyk i przygotowałem się do cięcia.

Fn'thal pokręcił głową, dokładnie tak, jak to robią w hollywoodzkich produkcjach ranne stwory, machnął prawą łapą, jakby chciał – a może tak właśnie chciał? – cisnąć niemal odciętym ładunkiem szponów w Jerzego, ale to coś, co było jakby jego dłonią, trzymało się jeszcze mocno. Zrobiłem dwa szybkie kroki i, mimo że ostra octowo-kwasowa woń wyciskała łzy, udało mi się chlasnąć Fn'thala po ramieniu. Zderzenie japońskiej stali z kośćmi pomiotu Cthulhu omal nie wytrąciło mi miecza z ręki. Oko Ropucharza zjechało na ścięgno niemal na szyję, wciągnęło się z powrotem; machnął łapą, ale to nie był atak, który mógłby mi zagrozić. W tym czasie Jerzy przykucnął i ciął po drugim kolanie Fn'thala.



Wyłamało się z ohydny trzaskiem. Ropucharz zwałił się na bok, w moją stronę. Odkoczyłem, bo usiłował ranną, ale ciągle jeszcze uszponioną łapą mnie sięgnąć. Machnąłem mieczem, ale spudłowałem haniebnie. Jerzy nie spudłował. Przebiegł z prawej strony stwora, dźgając go co najmniej cztery razy, a gdy znalazł się za nim, wbił ostrze miecza w okolice nosa. I pchnął potężnie. I nagle zapadła cisza: sapiący i bulgocący dotąd Fn'thal wyprężył się, wbił szpony ocalałej lewej łapy w darń i podciągnął całe cielsko. Sam rozkroił sobie tym

ruchem czerep, znowu z cięcia buchnęła ni to para, ni ciecz, która w zetknięciu z powietrzem zmieniała się w jednej chwili w gaz... Śmierdziało jak w jakimś siarkowodorowym piekle. Zatkanym nos i odsunąłem się, szukając spojrzeniem Gnata.

Leżał kilka kroków ode mnie, nie spuszczać wzroku ze zdychającego – chyba! – Fn'thala, podszedłem i podniosłem pistolet.

– Łatwo poszło – powiedziałem. – Nawet nikogo nie drasnął.

– I całe szczęście. Draśnięcie to o wiele za dużo – odparł Jerzy, wpatrując się czujnie w ciągle podrygującego w spazmach Fn'thala. – Było nas dwóch, co się rzadko zdarza, no i mieliśmy trochę tego, czego one nie lubią. – Wskazał brodą wystającą spod bluzy kolbę Gnata, a potem klepnął w guz na rękojeści miecza, wbijając go jeszcze głębiej w darń. – No i był sam.

Cofnął się o pół kroku i wyszarpnął miecz. Ostrze, ta część, która wbiła się w czerep Fn'thala, lśniło jak porządna obozowa latarka, ale wyjęta z ciała stwora, od razu zaczęła gasnąć.

Ponad skwerem przeleciał zimny podmuch wiatru, z drzew zaczęły się lać dokuczliwe strugi wody, dotąd osiadłej na liściach i gałęziach.

– Co z nim będzie? – zapytałem, usiłując tak ustawić się między pniami, żeby uniknąć wtórnego deszczu.

– Rozpuści się, mam nadzieję. Bo jeśli nie, to mamy od cholery kopania.

Syknąłem. Wpatrywaliśmy się w znieruchomiłego stwora. Kompletnie odjechana historia: XXI wiek, środek Europy, promy kosmiczne, komórki i GPS-y, i diabły... Cholera, nawet gorzej, bożki zła, starsze od chrześcijańskich. Szpony, łuski, fetory i złe czyny.

I ja – pracownik Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Racjonalista, agnostyk.

Rozejrzałem się dokoła. Nadal nikt do nas nie ciągnął, ani policja, ani straż miejska. Fakt, mieli na co patrzeć w rynku, ale wystrzały od



piorunów powinni odróżniać. Nagle dotarło do mnie, że to wszystko może być snem: Jerzy, guimony, Fn'thal, Wadowice... To by tłumaczyło, dlaczego traktuję stwory nie z tej Ziemi jak bandziorów z Kijomłotów, dlaczego mnie nie dziwią... We śnie wszystko człowiek kupuje: jabłka o smaku śledzi, latanie, kobiety z czterema sutkami. I guimony...

– Może stąd znikniemy? – zaproponowałem. – Jeśli nas ktoś nakryje przy tym trupie...

Pokręcił głową.

– Dopóki nie będę miał stuprocentowej pewności, nie ruszę się stąd. Nie dam im cienia szansy!

Czekaliśmy dobry kwadrans, potem Fn'thal zaczął się rozpuszczać, a gdy już zaczął, szło mu coraz lepiej.

– No to spieprzajmy – powiedział Jerzy. – I tak cud, że nikogo tu jeszcze nie ma.

– Może słyszą, ale uznali, że dwóch krawężników to za mało na jakąś strzelającą obficie do siebie bandę? – wyraziłem przypuszczenie.

Moim zdaniem bardzo prawdopodobne. Jerzy nagle zachichotał, skinął na mnie i podszedł do istniejącego już tylko w postaci pyłowego konturu Fn'thala. Obsikaliśmy go, chichocząc cicho.

– Kilkanaście guimonów i jeden Fn'thal to zupełnie nieźle jak na tydzień działania – powiedział Jerzy, zapinając rozporek.

Miał rozporki na guziki. Dla mnie kompletnie nieuzasadniona ekstrawagancja. Zipnąłem swoim.

– No, nie kilkanaście, bo tamci w polu to były zwykłe szczyły, wynajęte do konkretnej roboty – zaproponowałem.

Wracaliśmy do samochodu inną trasą. Gdy alejka prowadziła pod drzewami, przyspieszaliśmy, żeby zbierać za kołnierze możliwie mało wody.

– No tak, zgoda, ale... Tak sobie myślę, że ona czy oni mogą chcieć

się zemścić.

– Nie sędzę. Myślę, że to Fn'thal ich uruchomił. Przez Gruzina, czy innego guimona, a może za pośrednictwem pani mecenas. Ale to nie jest raczej specjalnie trudna sprawa.

– Masz na to jakiś sposób? – Zerknął na mnie spod uniesionej brwi.

– Tiaa. Przyjacielowi gnojek buchnął merca. My uruchomiliśmy swoje kontakty i odzyskaliśmy samochód, a gość nawet zapłacił tyle, ile żądał złodziej. Ten jednak nie wytrzymał – przysłał mu do domu paczkę z kilkoma laskami dynamitu i informacją, co się stanie z nim, jego dziećmi i domem, jeśli się odważy „szurać”. Gość się załamał, bo wyszło mu, że będzie do końca życia trząsł się o swoje dzieci. Przyszedł do nas. Namierzyliśmy gnojka, hulał po warszawskich lokalach za łatwy szmal. I wylądował w pierdłu z oskarżeniem o pedofilię i dwa przypadki morderstwa na dzieciach. Nie żył po trzech tygodniach. Chociaż, szczerze muszę przyznać, że usiłowałem to samo wyciąć Posoce, nie udało się jednak – gad przeżył.

– Ale to pani mecenas?

Wsiedliśmy do clio. Z przyjemnością zrzuciłem przemoczoną, a może przepoconą bluzę, cisnąłem na tyle siedzenie, potem wsunąłem pod nią szelki z kaburą i Gnatem.

– A pani mecenas, myślisz, że nie może być o to samo oskarżona? Pewnie, pedofilki nie zdarzają się tak często, ale kobiety w pierdlach mają taki sam kodeks honorowy i lubują się w szpanowaniu na kochające matki. Chuj, że wcześniej chlały i tłukły swoje maleństwa. Za kratkami nagle odzyskują wszystkie matczyne przymioty, i taką panię, o której strażnik bąknie, że ma na koncie kilku zgwałconych chłopczyków, wiesz... Wiesz, co jej robią.

– Kurczę, Kamil, z ciebie kawał skurwysyna jest.

– A ty co tak tekstami Lindy lecisz? Miałeś, cholera, dobrego wprowadzającego we współczesną Polskę!

– Tak, była świetna. Ale selektywna.

No i dobrze mi tak. Nie trzeba było drażnić tematu.

Ruszyliśmy. I od razu się zatrzymaliśmy. Jerzy uruchomił GPS-a, chwilę wpatrywał się w ekran.

– Wyczuwasz Gruzina? – odezwałem się, żeby tylko coś powiedzieć.

– Tak. Mocno i wyraźnie. Skurwysyn stracił wodza, wyje do niego, bezgłośnie, ale ja go słyszę znakomicie. Jak hejnał z wieży Mariackiej.

– Kraków?

– Nie, kompletnie nie – zaprzeczył jakby zdziwiony Jerzy. – Z tego, co mamrocze, wygląda, że zdobył samochód i jedzie w stronę przeciwną do Krakowa. – Milczał przez moment. – Możemy gonić go, dopaść możliwie szybko i zlikwidować.

– To dobry plan – zaopiniowałem.

– Albo dogonić i poczekać. Niech pokaże może jakieś swoje kontakty. Jeszcze kilka guimonów? Czemu nie?

– To też plan dobry – pochwaliłem go.

– A twój?

– Ja bym go przesłuchał. Pokręcił głową i ze złością uderzył nasadą dłoni w kierownicę.

– Nie dają się utrzymać w więzach, szaleją, zaczynają wyć, pieniać się, tracą resztki zmysłów i pomysłu... Aż zaczynają wzbudzać współczucie, szlag by!

– I żadna farmakologia? Hipnoza?

– No, teraz to palnąłeś jak łysy o beton!

– Jerzy, tak się nie mówi, to tekst sprzed przejścia do innej formacji ideowo-ekonomicznej!

– Dobra, i tak palnąłeś. To nie są ludzie! Jak mamy ich uśpić, skoro nie wiemy, jak są zbudowani. Widziałeś ich rozpad? Czy tak się rozpada coś na tej ziemi? Tylko filmowe potwory, prawda? Nie udało nam się nawet pobrać próbki tych glutów, z których są zbudowane, a

sam pył, nieco trwalszy, to najczęściej spalona albo sparzona trawamurawa, to, co było na ziemi pod guimonem. Wiemy to, co wiemy: zabija je alstern i parzy srebro.

Idealnie byłoby schwytać jednego i po kolei dźgać go platyną, miedzią, niklem, szczypiolem czosnku i tak dalej, i może udałoby się zbudować katalog substancji czynnych, ale – choć próby były czynione – nie ma wiarogodnych, rzetelnych, sprawdzonych i pewnych danych. – Wypowiedziawszy tę przydługą kwestię, umilkł, ale po chwili kontynuował: – Pewnie powiesz, że nasze działania były pośpieszne, chaotyczne, krótkofalowe... Tak, zgoda. Musisz zrozumieć, że nawet nie za bardzo o tym ze sobą rozmawiamy: tłuczemy je i tyle. Dopiero tu, z tobą, trochę się... No, zastanawiałem nad tym. I doszedłem do wniosku, że masz rację, że trzeba dokonać jakościowych zmian, bo, jak widzę, one ewoluują, a my nie.

– Właśnie to chciałem ci uświadomić.

– I uświadomiłeś, i dzięki. – Przyspieszył na szosie, ale nie za bardzo; zaczęło lać, droga była wąska, asfalt nierówny, łatany na kilka sposobów, nawet plamami betonu, które zapadły się i stały kałużami o niewiadomej głębokości i podejrzanym przyczepności. – Załatwimy to – wskazał brodą drogę przed nami – i naprawdę zasiądziemy do budowy siatki. Przecież, brachu, Rosja pod nosem!

– Z Rosją mamy kiepskie stosunki – mruknąłem. – Nasi przywódcy nagle zrobili się bardzo odważni i za szczyt honoru uważają skubanie wschodniego sąsiada i krycie się za unijnymi gaciami. A tamci może i nie są już lwem, ale też i nie trupem.

– Ale mamy... macie zaraz wybory? – zapytał. – Nie zmieni się ekipa? Bo z twoich słów i innych obserwacji wynika, że macie na pieńku z Niemcami, Rosjanami, Czechami, Słowakami i połową Ukraińców, a i z Litwą nie różowo.

– *Exactfy!*

– Dobra, i tak nie wysyłamy na razie oddziału na wschód. Pomartwimy się tym później.

Zresztą mam większy kłopot. – Zabrzmiało to jakoś... figlarnie? – Nie wiem, jak nazwać takich gwardzistów jak ty. Przecież nie Wieki!

– Sam jesteś Wicek! – powiedziałem z urazą. – Niech będzie Cthulhużerca!

– Dobrze! Niech bę...

– Przestań! – wrzasnąłem. – Jedź! Goń go, skoncentruj się na szosie.

Apel był jakby na czasie, bo przed nami pojawiły się lodowate niebieskie błyski – albo blokada, albo podążające do Wadowic posiłki. Po chwili już wiedzieliśmy, że posiłki. Cztery radiowozy przemknęły obok nas i pognały zaprowadzać porządek w miasteczku. Nie wiedząc, że nieporządki właśnie je opuszczały.



## ROZDZIAŁ 17

Do Wrocławia dojechaliśmy o świcie. Nie śpieszyliśmy się. Dwa razy kawa po drodze, cztery puszki patentowanego reklamowanego pobudzacza.

Podniecenie po likwidacji Fn'thala opadało, z wolna, ale opadało, jechało się jednak dobrze, nawet tak zwaną autostradą na odcinkach między Krakowem i Katowicami, gdzie mimo robót i obowiązku zwolnienia, były pobierane opłaty. Jerzy kręcił głową jeszcze godzinę po uiszczeniu drugich sześciu złotych i pięćdziesięciu groszy.

Potem było już gładko.

Znam nieźle Wrocław, tu zaczynałem studia, tu je przerwałem, ale prawie dwa lata to dość, żeby poznać miasto i bazę hotelową, nawet jeśli nie sypiałem w hotelach, tylko akademikach i stancjach. Zatrzymaliśmy się, na wyraźne żądanie Jerzego, w pierwszym z brzegu obiekcie jeszcze z epoki gierkowych dolarów, ale podrasowanym, spełniającym podstawowe ogólnoludzkie wymogi. Zapytałem Jerzego, dlaczego nie kontynuujemy pościgu.

Odpowiedział, że jest zmęczony, że guimon gdzieś zapadł w trans wypoczynkowy, znalezienie go teraz tylko nas zmęczy, a nic nie da. A może jutro odkryjemy jego powiązania wrocławskie?

Okej. Trans relaksacyjny przyda się i nam. Wzięliśmy dwa oddzielne pokoje, nie zmawiając się i nie rozmawiając na ten temat, po prostu dwa oddzielne. Wyjąłem z lodówki butelkę toniku, upiłem i dolałem ginu. Z butelką w ręku wyszedłem na balkon.

Nieboskłon szarzał już, ale jeszcze obok cieniejącego księżycy widniała jedna gwiazda, ciekawe, co to za jedna, taka ostatnia wygasająca? A w ogóle gdyby nie inny kolor, niebo wyglądałoby na turecką flagę. Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie.

Dobrze miał ten Kant, wiedział, że Bóg jest nad nim i w nim...

A co mają robić takie gady jak ja?

Wypiłem połowę „drinka”, nic. Spływało we mnie, jak mocz w za duże o dwa numery kalesony. Nie dygotało wnętrze, nie czułem euforii, ani triumfu, ani poczucia dobrze spełnionego obowiązku... Może dlatego, że na całym globie dziesięć czy dwadzieścia osób wie, co jest grane i o co toczy się bój?

Duszką dopiłem gin z toniczką i poszedłem pod prysznic.

Rano mieliśmy w południe, nawet później. A i to dzięki obsłudze, która grzecznie pytała, czy przedłużamy rezerwację. Przedłużyliśmy. Przewiozłem Jerzego po mieście – wycieczka plus namierzanie guimona. Park Południowy, most Grunwaldzki, park Szczytnicki, Hala Ludowa, ZOO. Były wolne bilety do Panoramy Racławickiej, uznałem, że to lepsze niż fontanna w galerii Dominikańskiej.

– Fajne! – powiedział, obejrzawszy, jakeśmy dali w dupę carowi. – Chyba nawet pamiętam ten kawałek historii – dodał zamyślony, czy może pograżony we wspomnieniach.

– Zostawmy tu wóz – zaproponował – i przejdźmy się.

Sam to chciałem zrobić. Rynek, jak wiedziałem, wyglądał już „jak ludzie”, na centrum Europy, cały Wrocław odzyskał fronton po powodzi z dziewięćdziesiątego siódmego.

Dotarliśmy pod ratusz w kilka minut. Najpierw obeszlśmy go wolno. Miejsc sporo, piw mało. Nigdzie dużego wyboru. Dlaczego, cholera?

No nic, zaliczyliśmy pszenne. Ciekawe, nie powiem Potem ciemne, też oryginalny smak.

Potem skusiła nas „Literatka”. WROCŁAW STOLICĄ POLSKIEJ FANTASTYKI głosił ogromny napis na całej ścianie. Hm? A Warszawa? A Łódź? No, Kraków odpada, Wybrzeże też.

– Przepraszam, dlaczego stolica? – zapytałem kelnera, – A? –

Popatrzył we wskazanym kierunku. Bo tam, podobno w czwartki zbierają się najlepsi autorzy z Wrocławia, a sami o sobie mówią, że są Polaki. Ja tam nie czytam. – Zabrał popielniczkę, wypełnioną papierkami po chipsach i zniknął.

Była środa, literata nie było ani jednego, ściany pokrywały regały z książkami.

– Całkiem jak w mojej szkolnej bibliotece. Tylko fotele niewyobrażalnie wygodniejsze. – Rozejrzał się.

– A gdzie ta fantastyczna śmietanka?

Przebiegająca obok nas kelnerka w czerwonej bluzeczce i apaszcze zawiązanej „na krawat” zatrzymała się i poprawiając grzywkę powiedziała: – Czwartki. Zbierają się w czwartki. Dziś jest środa.

– No tak. Trudno... Byliśmy w połowie kawy, gdy nagle Jerzy się poderwał, wyprostował i chwilę siedział nieruchomo. Wstałem i poszedłem do baru uregulować rachunek.

Pośpieszyłem się, Jerzy pokręcił głową.

– Gdzieś się ruszył, ale nie mam go na nosie... w nosie... znaczy, na węchu!

– Ale jest tu? – upewniałem się.

– Tak. Wybudził się i ruszył. Może do jakiegoś znanego sobie kąta.

– Wyciągnął palma. – Mają tu jakieś... Nie, no głupoty gadam: kościołów pełno, ale... Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem – potwierdziłem. – Ale nie wiem, czy mają tu jakieś... takie... – Pstryknąłem palcami.

Długą minutę przypomiąłem sobie wszystko, co pamiętałem o Wrocławiu. Potem Jerzy wyjął notebooka, włączył i się zdziwił.

– Hotspot! No to będzie szybko. Poszukaj czegoś, co? Zacząłem googlać. Zamówiliśmy po koniaczku i pograżyliśmy się w poszukiwaniach.

Zero. Wrocław – miasto spotkań, Wrocław – miasto Euro 2012, i w



ogóle – fajne miasto.

Żadnych sekt, żadnych afer na styku: kult-religia-ludzie. No pewnie, jakiś pedofil w sutannie, jakiś malwersant w habicie, ale to nie było to, o co nam szło. Półtorej godziny później zniechęceni odłożyliśmy sprzęt.

Dobre, kurczę, miasto!

– To co robimy? – Widziałem, że Jerzy też nie ma pomysłu. Wtedy najłatwiej człowiekowi zadać takie pytanie. – Czekamy?

– Czekamy. Właśnie.

– Właśnie... Żebyśmy tylko nie musieli do czwartku.

Poszukałem wzrokiem kelnerki, żeby zamówić jeszcze raz koniak, i – oczywiście! – wtedy Jerzy niemal niedostrzegalnie się sprężył. Stwardniał, skamieniał, wzrok mu się zapadł w głąb umysłu. Ja również się nie ruszałem.

Wolno uniósł szczupłą, rasową twarz i pokręcił nią niczym wbijający się w wąły trop wyżeł. Wstał i wolno ruszył do wyjścia. Uregulowałem w biegu rachunek, tak się śpieszyłem, że pewnie pozostawiłem o sobie opowieść o skurwysynu, który zapomniał o napiwku. *Życie to nie je bajka, to je bitwa!* Dogoniłem Jerzego dopiero pod pomnikiem Fredry, walił prosto na Oławską, przycumowałem u jego lewego boku, taki Sancho Pansa, i podreptaliśmy do Galerii. Zaczęliśmy rozmawiać dopiero w wozie, na Kołłątaja. Ja prowadziłem.

– Jedź prosto – nakazał Jerzy. Sprawdził kierunek w palmie. – Znasz coś takiego: Nowy Dwór?

Zastanawiałem się krótko, bo kiedyś tam byłem.

– Tak. Zajrzałem tam ze trzy razy.

– No to jedź. Buta zawiodła mnie nad skraj przepaści. To nie był ten Nowy Dwór – osiedle okrasilo się drzewami, nowymi budynkami, już na podjeździe zacząłem tracić pewność.

– Dokąd? Tak dokładniej?

– Ulica Zamorska. Tam ci pokażę. To była oaza staroci w betonowym pejzażu. Ktoś zapomniał podczas zdobywania festung Breslau ostrzelać tę wyspę z cegieł, nie tknęła jej ręka socjalistycznego architekta. Żadnego. Ani jednego. Spośród wszystkich trzech. W każdym razie stał tam sobie jak byk Osiedlowy Dom Kultury. Ozdobiony lampionami – już płonącymi! – lametą, girlandami i bukietami sztucznego kwiecia fronton zdziwił nas obu, mnie trochę mniej, bo mignęła mi w oknie burza blond loków pod upiętym na czubku głowy welonem. Zwolniłem, żeby przepuścić kilkoro dzieciaków, które pewnie wracały z fajek wypalonych na skwerku naprzeciwko DK, potem przyspieszyłem i niemal od razu zwolniłem, posłuszny ruchowi dłoni Jerzego. Wyłączyłem silnik.

– Tu jest.

– Zwariował? – Wytrzeszczyłem gały. – Nie ucieka?

– A co tu się dzieje?

– Ślub, wesele znaczy się.

– No to mu wystarczy. Emocje, nachłepce się, może zwerbuję jakiegoś podpitego dziadka? – Zdecydowanym ruchem szczęknął klamrą pasów, wyskoczył pierwszy. Kiedy wysiadłem, stał już przy otwartym bagażniku. – Kamera nie zdziwi nikogo, prawda?

Nie potrzebował odpowiedzi, więc milczałem, zastanawiając się, co ja mogę wziąć. Gnat wydał mi się za duży, za głośny. No i nie miałem już pocisków z alsternem.

– Co z amunicją? – zapytałem.

– Zobaczą – rzucił, nie odwracając głowy. – Mam zwyczaj chować coś na czarną godzinę.

Stał nieruchomo, obserwując wewnątrz bagażnika, nasze torby i kilka pakunków o nieznanym mi zawartości.

Stłumiłem ciekawość, odsunąłem się. Nagle ogarnęła mnie ochota

na papierosa. Dziwne, to się zdarza recydywistom, byłym palaczom, ale ja nigdy nie paliłem, a tu nagle wyobraziłem sobie jakiś taki... gorzki, esencjonalny dym w płucach, i zrobiło mi się żal, że to tylko wyobraźnia.

Jerzy grzebał chwilę w swoim skarbcu. Wyjął i oparł o karoserię clio statyw, wsunął w szyny głowicy kamerę, zablokował, pochylił się nad bagażnikiem.

– Za dużo nie mam – doleciało do mnie z wnętrza. Wysunął rękę, w której trzymał dwa pudełeczka.

W każdym było po sześć pocisków. Uszczęśliwiony, jak wyłazący spod choinki brzdąc, wyszarpnąłem magazynek i załadowałem, uzupełniając po czterech pierwszych zwyczajną, to znaczy bez alsternu, antyrykoszetową amunicją. Poczekąłem na wolny dostęp do bagażnika, wyjąłem swoją torbę, przebrałem się w biały T-shirt, na którym zapiąłem szelki, i dołożyłem na wierzch udający marynarkę blezer. Musiałem pamiętać, żeby nie trzymać rąk w kieszeni, bo wtedy kabura wypychała materiał do przodu. Jerzy stał z jakąś buteleczką w ręku, przyglądał się jej powątpiewająco.

– Chcesz łyka? – zapytał.

– A co-to-kto-to-po-co-to?

– Zamiast goldwasseru. Silberwasser. Mojego pomysłu. Nie próbowałem jeszcze, nie mam pojęcia, czy to działa, ale powinno trochę rozgrzać.

Wziąłem butelkę, podniosłem i popatrzyłem pod światło. Faktycznie, pływały w niej jakieś płateczki.

– Nie zaszkodzi? – zapytałem, otwierając buteleczkę.

– Nie wiem. Nie sądzę. A poza tym... – Machnął ręką. – Niby dlaczego, przecież to nie jest pamiątka z Krakowa: Rynek, kościół Mariacki, bałwanek i pływające w wodzie strzępki białego plastiku udające śnieg.

Łyknąłem. Mocny, gęsty muszkatołowy likier. No, miły nawet. Poprawiłem i oddałem Jerzemu. Łyknął też.

– Teraz możemy ruszać – stwierdził, zakręcając butelkę.

Nie podobało mi się jego wahanie. Może nie tyle wahanie, ile niezdecydowanie. Co mogło być powodem?

– Tam jest pełno ludzi. Guimon bez namysłu użyje każdego z nich – powiedział nagle.

Wyglądało na to, że obu nam nie leży ta robota.

Może odczekać po prostu pod lokalem i zgarnąć go rano? – pomyślałem. Tylko czy wtedy nie będzie ich już na przykład sześciu i czy tych pięciu nie obciążą naszych sumień i naszego lenistwa. *Da capo al cuma!*

– No to ruszajmy, niczego tu nie wyстоimy – rzuciłem lekkim tonem.

I westchnąłem od razu, żeby Jerzy nie myślał, że tylko on ma wątpliwości. Podeszliśmy do wejścia, skorzystaliśmy ze świeżo dobudowanego podjazdu do drzwi wejściowych.

– Tutaj poczekamy na jakąś grupkę i wejdziemy z nimi – powiedział półgłosem Jerzy.

Rozstawił statyw, wycelował kamerę w niebo, ustawił ostrość, uruchomił nagrywanie. Pewnie powie ciekawskim, że robi przebitki na romantyczne niebo. Czekaliśmy ze dwie minuty, nim wyskoczyła piątka dwudziesto-, dwudziestodwulatków. Modnie i świeżo ostrzyżeni, białe koszule, bez marynarek, rozgrzani, rozochoceni, nie zwrócili na nas uwagi, wyszarpnęli po sztuce marlboro, zapalili, zgrzytając chińskimi zip-po.

Błokowisko, wielki świat.

– Hej, a znacie ten numer, jak dwaj Czukcze zabili nad oceanem morsa i ciągną go do wsi, ale strasznie im wolno, kurwa, idzie, nie? Bo ciągną za ogon, a on ryje śnieg kłami. No i spotyka ich biały

myśliwy, co nie? I mówi: „Hej, kurwa, Czucze, co tak go kijowo ciągniecie? Pociągnijcie za kły, będzie łatwiej”. No to oni, kurwa... – Opowiadający zaciągnął się i pośpiesznie, żeby nikt mu nie uszczknął uwagi słuchaczy, kontynuował: – Oni, kurwa, złapali za kły i ciągną, kurwa. No i jeden po godzinie mówi: „Te, kurwa, biały miał rację, lepiej się ciągnie za kły, kurwa, nie?”. A drugi gada tak: „Może biały i miał rację, ciągnie się łatwiej, ale, kurwa, znowu jesteśmy na brzegu, kurwa, oceanu!”. – Roześmiał się pierwszy, bo wiedział kiedy. – Jaja, kurwa, co nie?

Roześmiali się serdecznie wszyscy. I Jerzy też. Przesunął się o krok i nagle wypalił: – A znacie, jak Czuczca przyjechał do Moskwy i sprowadził sobie prostytutkę? – Zapytani pokręcili głowami. – No i za każdy numer zapłacił jej skórką gronostaja. A po trzech numerach, ona se myśli: Trzy skórki to za dużo na kołnierz, za mało na futerko. No to pyta: „A może jeszcze numerek? Proszę!”. No to on, że okej. A jak skończył, wziął jedną jej skórkę z powrotem do walizki. Ona się drze, że jej zabrał, i że czemu, a Czuczca na to: „Jak ja chciał numerek, to ja płacił. Ty chcesz numerek, ty płacisz!”. Salwa śmiechu.

– Ja pierdziu!

– Kurwa, jaja!

– Ale miał, kurwa, rację, nie?

– Chciała numeru, no to ma?! Drzwi otworzyły się i wyszły dwie panienki, obrzuciły spojrzeniami rechocących młodzieńców, wyjęły voque'i i zapaliły. Nie miały zapalniczek marki prawie Zippo, tylko zwyczajne jednorazówki po zylu za sztukę.

– Dobra, my tu gadu-gadu, a robota czeka! – rzucił raźnie Jerzy i, chwyciwszy statyw, ruszył do drzwi.

– Tam w ogrodzie, chłopaki – zawołał jeden z uśmiechniętych od ucha do ucha – szykuje się koncert! Będzie ta... Szarazza? Jak jej tam?

– Durny ty, Sairina!

– A tak, Sairina...

– Okej, skrećimy ją.

– No, pewnie! Kosztowała, kurwa, jak Michael Jackson! – rzucił drugi z potępieniem w głosie.

Weszliśmy do budynku. Korytarz prowadzący do sali bankietowej okupowali plotkujące kobiety i rozmawiający mężczyźni – obie płcie z jednakowym zapałem. Rozmowy – a przesaczyliśmy przez swoje uszy, przemierzając korytarz, wszystkie – dotyczyły wszelkich możliwych dziedzin życia: głupoty dziewczyn, nałogów chłopaków, zamożności rodziców panny młodej, wysokich stanowisk starych pana młodego, billboardów wyborczych, fałszowania kapeli, fałszowania podpisów na listach wyborczych, konduity przygotowującej się do występu zamówionej w Krakowie piosenkarki z pierwszych stron kolorowych tygodników. Jerzy szedł pierwszy. Przed drzwiami do sali, z której wysnuwał się smakowity kulinarny obłok, odwrócił się i odczytałem z ruchu jego warg: „Tutaj go nie ma”.

Skrećiliśmy w prawo. Tu było mniej ludzi. Na końcu korytarza otwarto drzwi na ogród.

Przestrzeń, z betonowym kręgiem do tańczenia i podestem dla kapeli, była bezładnie, nieładnie, ale mocno, choć jeszcze niepotrzebnie oświetlona. Ja tu Gruzina nie widziałem, czekałem na sygnał Jerzego. Podał mi kamerę, co uznałem za znak. Chwyciłem ją w lewą rękę, oparłem na ramieniu i ruszyłem za Jerzym. Okrążyliśmy gęsty, kilkudziesięcioosobowy tłum, płosząc kilka roznamiętnionych par, wymieniających zaślinionymi ustami płyny ustrojowe; panienki dawały się obściskować bez specjalnego oporu. Taka impreza, taki czas, taka chuć!

– Nie tu – syknął Jerzy. – Wracamy!

Ruszył po odległej od jądra orbicie, kierując się ku drzwiom.

– Nie, Jerzy, nie! – syknąłem.

Na stopniach stała niewątpliwie prawdziwa gwiazda uroczystości, panna młoda, z mężem i chyba rodzicami. W każdym razie otaczał ich wianuszek ludzi w wieku rodziców, z satysfakcją spoglądających na rozkręcającą się zabawę.

– Teraz ekipa filmująca za cholere nie może wyjść – mruknąłem do Jerzego.

– Kurrrwa! On coś robi! Nie wiem, czy nie dokonuje rytuału afirmacji!

Rozejrzałem się; można było przesadzić płot, i wejść jeszcze raz. Tylko to przyszło mi do głowy.

– Chodźmy przez płot. – Wskazałem brodą kierunek. Błysnął oczami i posłusznie ruszył.

Jednakże, zanim dotarliśmy do płotu, zatrzymał się, uniósł głowę i jakby węszył. Znałem już to nieobecne spojrzenie, zaciśnięte usta – namierzał.

– Tam!

Rzucił się w stronę Domu Kultury. Za krzakami, prawie na styku budynku i murowanego płotu było prowadzące do piwnicy wejście, kilka schodków Jerzy pokonał niemal jednym skokiem. Huknął całym ciałem w drewniane drzwi. Trzasnęły i zgrzytnęły. Postawiłem kamerę na murku i zszedłem dwa stopnie. Na dole nie było miejsca dla dwóch atakujących.

Jerzy cofnął się i ponownie huknął barkiem, musiał się przyłożyć trzeci raz, w końcu drzwi puściły. Buchnął suchy stęchły zapach piwnicy, może kotłowni. Ciemność. Nieprzyjemna, niemiła, niebezpieczna.

– Gdzieś tu jest. Szukaj światła z prawej. Wsunął się w prostokąt mroku, ja za nim, w prawej trzymałem już Gnata, lewą przejechałem po szorstkim kostropatym tynku. Nic.

Sięgnąłem dalej. Nic.

– Nie ma tu.

– Czekaj – syknął. Klął pod nosem. Potem coś pstryknęło, widocznie zrozumiał po omacku budowę peerelowskich włączników piwnicznych, przekręcił. Przed nami zadudniły jarzeniówki.

Kotłownia. Wielki kloc pieca z rurami od góry, bunkier na paliwo, pusty. Obok bunkra stos połamanych biurowych mebli, najwyraźniej przeznaczonych do spalenia. Plastikowe torby, dziesiątki reklamówek niczego niereklamujących. Jerzy obiegnął piec, gorączkowo rozejrzał się po piwnicy, ale nie było tu zakątka, w którym mógłby się zmieścić człowiek, a tym bardziej wyższy od przeciętnego Gruzin.

Dwie pary drzwi, jedne brudniejsze, drugie czystsze, jakby sugerujące, że prowadzą do klubu, a nie do kolejnych piwnic-manelarni. Ale które bardziej pasują guimonowi?

– Te! – Jerzy skoczył do tych czystszych i spróbował je otworzyć. Były zamknięte.



Chwyciłem szufłę, ale spod sterty skruszonych biurek wyzierał łom. Był znacznie przydatniejszy. Podskoczyłem do drzwi, przekazałem Jerzemu Gnata i trzepnąłem płaską końcówką łomu w okolice zamka. Trzasnęło, szarpnąłem klamkę. Trzymała. Poprawiłem, i jeszcze raz. Zamek skrzeknął i się poddał. Cisnąłem łom, odebrałem broń i pobiegłem za Jerzym po schodach. Z tyłu buchnęło głośniej, z boków nieco słabiej: kapela Sairiny, czy jak jej tam było, przycięła pierwszy kawałek. Och, jak dobrze, mogłem strzelać spokojnie, nie obawiając się odgłosów, a już rozglądałem się za jakąś poduszką!

To były boczne schody, może kiedyś dla służby. Jerzy pędził na górę, jakby miał przed oczami monitor z dokładnymi namiarami celu



albo prowadziła go radiolatarnia. Ja nie odczuwałem nic, tylko z każdym półpiętrzem traciłem oddech. I po każdym półpiętrze miałem ochotę wrzasnąć, że już dość, że skończyły się schody, że coś jest nie tak – ale ciągle jakieś były do pokonania. Jerzy nawet nie zaprzętał sobie głowy zapalaniem światła, to ja waliłem w podświetlone kwadraciki, żeby uzyskać jakikolwiek komfort poruszania. W końcu dopadliśmy ostatniego piętra. Znowu sucha woń kurzu, strych...

Czworo drzwi – spod trzech sączy się żółte stęchłe pleśniowe światło, spod jednych wyraźnie mocniejsze, jakby źródło tego – pożał się, Boże! – blasku biło z niedużej odległości.

Właśnie pod te ostatnie podbiegliśmy na palcach. Jerzy przykucnął, przyłożył oko do szczeliny; nie były zamknięte, tylko przymknięte. Skinął głową, wstał i przywołał mnie skinieniem ręki.

„Wchodzimy!” Rzucił przelotne spojrzenie na Gnata. Pchnął delikatnie drzwi, żeby sprawdzić, czy nie skrzypną.

Nie skrzypnęły.

To był strych, klasyczny, z zakurzonymi belkami – pionowymi, skośnymi, poziomymi. Całą powierzchnię, wbrew elementarnym zasobom logiki i na pewno nie w zgodzie z przepisami ppoż., zajmowały graty: krzesła, ramy, żyrandole, paki, pudła. Po co ktoś włókł to tutaj, zamiast zrzucić do piwnicy, spalić, wywieźć?!

I jeszcze pięć tapczanów.

Na jednym, tuż pod wiszącą na drucie, bo to nawet nie był przewód, tylko opleciony bawełną drut, zobaczyliśmy interesującą nas grupę.

Na tapczaniku leżał mniej więcej piętnastoletni chłopak. Miał ściągnięte do kostek spodnie, zadartą do szyi koszulę, krawat najechał mu na połowę twarzy. Jego marynarka wałała się na podłodze, służąc za podkładkę dla butelki wiśniaku na rumie.

Na chłopaku odbywało tarło pięćdziesięciokilkuletnie babsko,

kobieteryjne stringi, na które musiało i tak pójść więcej gumy niż na dwie pary innych, zaczepiły się o obcas buta i majtały w rytm poruszeń jej – delikatnie mówiąc – rubensowskiego cielska. Jedna pierś wypadła z biusthaltera i wybijała nie wiadomo dlaczego rytm na trzy: góragóra-dół, góragóra-dół. Babsko wczepiło się jedną łapą w chude zebra chłopaka, drugą co rusz sięgało do tyłu, żeby wypadającego co rusz fiutka zdenerwowanego młodziaka kierować we własny srom.

To wszystko wyglądało jak jakaś karykaturalna ruchoma judząca instalacja Kozyry czy innej grupy natchnionych artystycznych, niemal turpistycznych prowokatorów. Ale sycący się ich emocjami guimon natychmiast ucinął wszelką ochotę do śmiechu czy nawet lekkiego uśmiechu.

Stał za babskiem, plecami do nas, ze spodniami spuszczoneymi do kolan, z wystającymi z nich brudnymi gaciami, ni to kroju slipów, ni to bokserek. Przyssał się pyskiem do karku amazonki za trzy grosze i półtora kwintala wagi, jedną rękę trzymał na czubku jej głowy, palcem wskazującym i trzecim wpijając się w jej oczy. Druga ręka sięgała niżej, dużo niżej, i palec albo i dwa prawie na pewno penetrowały odbył kawalerzystki.

Cała trójka syczała, jęczała, mlaskała... Dzięki Bogu, nie jadłem od kilkunastu godzin, a wypite piwo już dawno wysikałem.

Jerzy zacisnął zęby i pokazał na Gnata, a potem swoją głowę, i – jakbym nie rozumiał o co chodzi! – głowę Gruzina. Przesunąłem się dwa kroki, wycelowałem, przesunąłem się jeszcze bardziej. Miałem czystą linię strzału.

I to był czysty strzał.

Ale nie ostatni. Gruzin-guimon poderwał łeb z wyharataną połówką góry czaszki, wizgnął krótko i... rozpląnął się w powietrzu! Skoczył w bok tak szybko, że powietrze niemal świsnęło, zapelniając powstałą

lukę.

– Trzymaj go z dala od drzwi! I strzelaj! – krzyknął Jerzy.

Podskoczył do nieruchomej kobiety i trzepnął ją płazem w plecy. Poderwała się i jęknęła przeciągle, ale nie z rozkoszy. Rozejrzałem się. Gruzin, za jednym z filarów, szarpał swoje portki. Przebiegłem na palcach kilka kroków i mając jego bok odsłonięty, palnąłem weń dwa razy. Trzepnęło nim niezłe, wychylił się. Pysk, bo to już nie była twarz, miał wykrzywiony w niewyobrażalny nawet dla komiksowych rysowników sposób, w otwartej gardzieli miotał się czarny jęzor, puchnąc i kurcząc się w półsekundowym rytmie.

Wystrzeliłem w ten ryj trzy razy, głowa rozpadła się, ale zobaczyłem, że natychmiast na poziomie barków, po bokach wystającej nieco z korpusu szyi wysunęły się dwie wypustki i zaczęły trzepotać w powietrzu. Nie wiedziałem, co to jest, co to może być, ale nie spodziewałem się chorągiewek powitalnych ani proporczyków z napisem: „Celny strzał, chłop na schwał!”. Wiedziałem, że kolejne w magazynku były już naboje z alsternem.

Zaaplikowałem mu dwa – cały korpus zafalował, jakbym oglądał go przez spieprzoną szklaną kurtynę, łapy wyprężyły się, zadygotały w konwulsyjnym spazmie. Jeśli udawał, że zdycha, to za tę rolę powinien dostać Oskara. Ale nie wiedzieć czemu byłem pewien, że zdycha naprawdę. Komu, bez nadziei na nagrodę, chciałoby się tak przekonująco odgrywać scenę własnego zdychania?!

Zdychał. Podeszedłem bliżej, wypaliłem jeszcze dwa razy. Zatrzymałem się, potem zrobiłem cztery kroki, żeby mieć w polu widzenia Jerzego.

Stał za wyprężoną babą i przykładał raz za razem miecz do jej nagich pleców. Miała już tam cały wachlarz pręg. Zobaczyłem, że chłopak poruszył słabo ręką, uniósł ją do twarzy. Za chwilę zobaczy tę scenę, trauma na całe życie – pierwsze upicie i taka utrata cnoty!

– Jerzy! – syknąłem. – Chłopak!

Plasnął jeszcze raz mieczem, wychylił się i trzepnął chłopaka wierzchem dłoni w brodę. Nawet tutaj, pięć kroków od miejsca wydarzenia usłyszałem, jak dzieciak szczęknął zębami, i opadł głową na tapczan. Kobieta zawyła cichutko, przejmująco. Już nie wyglądała na rozjuszoną babę, ogarniętą nienormalną, wywołującą absmak chucią, tylko na potwornie zmęczoną, rozbitą, zdenerwowaną matronę... Która się upiła i którą wykorzystał do swoich celów guimon.

A ten zdechł.

Leżał na plecach z niekształtną kopułą z żeber i skóry wycelowaną w górę, wypustki zwiotczały i opadły na podłogę, rozrzucone szeroko ręce z dziwnie wiotkimi palcami, czy raczej mackami przywarły do kurzu, pyłu i brudu, i to właśnie od tych rąk zaczął się rozpad jego potwornego ciała. Klatka piersiowa nagle zapadła się z cichym psyknięciem.

Zaśmierdziało trupem. Znałem tę woń.

– Bierzemy go! – rzucił cicho Jerzy.

Dość obcesowo, ale nie czyniąc jej krzywdy, strącił kobietę na tapczan, po czym chwycił za rękę chłopaka i przyłożył mu miecz do dłoni.

– Dobra, guimon nie wchłonał ich jeszcze. Złapałem drugą rękę chłopaka, pociągnęliśmy go ze sobą.

– Dlaczego – zapytałem piętro niżej – nie wsadziłeś temu skurwysynowi po prostu swojego skutecznego miecza w dupę? Obrzydzenie?

– Nie – stęknął. – Liczyły się sekundy. Gdybym go ciął, on by się miotał, walczył, pryskał swoimi miazmatami... A oni... Nie wiedziałem, czy już ich nie przeciągnął. A tak ty go odrzuciłeś, bardzo ładnie zresztą, a ja mogłem od razu zacząć ich szpikować srebrem,

sprawdzać, jak dalece ich wchłonał, i ewentualnie wycinać go z nich. Ale, na szczęście, nie trzeba było.

Dwa piętra niżej zostawiliśmy nieprzytomnego młodziana z mocno napoczętym wiśniakiem, którym spryskałem jego ręce i klatkę piersiową, zapiąłem mu spodnie i życzyłem kurewskiego kaca.

– Ten gnojek nawet nie wie, że stracił cnotę – rzuciłem na odchodne.

– Sądzę, że dla niego tak lepiej – Jerzy się uśmiechnął. – Teraz się upierdolę do spodu! – ostrzegł.

Oczywiście kłamał. Nie upierdolił się, znaczy – nie sam.

Okazał się mistrzem opowiadania dowcipów, a kiedy dopadł go ojciec pana młodego, ordynator miejscowego szpitala, anestezjolog, Jerzy przepił do niego i powiedział: – A zna pan ten dowcip, jak podpity anatomopatolog odwiedza swojego kolegę ze studiów, anestezjologa na oddziale, i ten mówi: „Chodź, pokażę ci swoich pacjentów”. I dodaje figlarnie: „Niektórzy z nich będą twoimi pacjentami!”. „Nie, nie chcę!”.

Anatomopatologiem wstrząsa dreszcz. „Ja się ich boję. Oni są tacy... ruchliwi!”.

Anestezjologa dopadł histeryczny śmiech, albo śmieszna histeria. W każdym razie nie odczepił się już od nas. A i nam się miło z nim upijało. I wszyscy się tak... ruszali!



## ROZDZIAŁ 18

No to jak nie Cthulhużerca, to jak? Siedzieliśmy na tarasie „Ja, markiz...”, było chłodno, sączyliśmy martineau, gaworzyliśmy.

– Nie wiem, daj mi spokój – jęknąłem.

– Guimonter?

– Jak coś o pedałach, nie? – rzuciłem prowokująco. Zamilkł i po raz pierwszy nie bardzo wiedział co powiedzieć.

– Ty, mistrzu kawałów – ulitowałem się nad nim – znasz to? Facet pyta drugiego: „Czy pan też jest gejem?”. A ten odpowiada: „Nie, ja po staremu, pedał”.

Uśmiechnął się, ale jakoś niemrawo. Coś mu się w tym dowcipie nie spodobało.

– Kamil... Jest coś, co ci muszę powiedzieć... – Chlusnął koniakiem w usta, przełknął i się skrzywił.

– Ach, oszczędź! – zacząłem pajacować. – Wyznasz mi, że masz żonę i parkę błękitnookich dzieciaczków. Proszę, nie!

– Przestań się wygłupiać. Ale blisko – muszę ci powiedzieć, że ja nie jestem ani po staremu, ani po nowemu. Nie jestem monolubny, nie jestem gejem. A wtedy, wiesz... No, po prostu byłeś... wydawało mi się, że jesteś głęboko nieszczęśliwy...

– Masz rację, wydawało ci się!

– ...i tylko udajesz kozaka, chojraka, chwata i zucha.

– Nie masz racji, nie udaję.

– A skoro tak, to dobrze. – Pomachał na kelnera i pokazał mu dwa palce. Już trzeci raz. – Bo mnie to trochę piekło.

Jego piekło! A ja co mam mówić? Moje piekło?

– Destruchthul – powiedziałem. – Tak mnie nazywaj. Nie mylić z destruchtchujem!

Zamilkł i chwilę gapił się na mnie z rozchylonymi ustami. Udało mi się go zaskoczyć.

– Kurwa, udało ci się mnie zaskoczyć – przyznał w końcu. – Masz twarde jaja pod twardym jak skurwensen pacierz... tfu, pancerzem!

Roześmialiśmy się. Zmieszanie się zapadło pod ziemię. No i dobrze, nikt go tu nie prosił. Kelner, chyba Paul, przyniósł koniak, postawił miseczkę z prostackimi orzeszkami. Poprosiłem, żeby wymienił na suszone morele, chyba się obraził. No i zwis.

Wziąłem swój kieliszek, pochybotałem zawartością.

– Pamiętasz – zaczął Jerzy – mówiłem ci, że kolejnym takim krajem, w którym należy zacząć upatrywać jednego z ośrodków, jest Rosja?

– Rosja? A nie Ukraina? Nie Białoruś? – Pokiwałem głową. – Wam się może wydaje, że to jedno, a już nie. Nawet do jednego musimy mieć wizy, do drugiego nie. Na Ukrainie w jednych regionach króluje język rosyjski, w innych lepiej się nie popisywać ruszczyzną, gdzieś lubią polski. I tak dalej. Już nie wspomnę o Białorusi. To w ogóle enklawa, sadzawka i niepojęty dla obcych kraj. Uwielbiany dyktator, niemrawa opozycja...

– Uwielbiany?

– Przez dużą część ludności. Wieś kocha Łukaszenkę, bo on im „daje”. Rozumiesz? Nie zapracowali sobie, wypracowali, przez całe życie orząc w kołchozach i sowchozach, tylko on im „dał” dodatek do emerytury. Jak car. Jak batuszka car. A poza tym on ma w swoim otoczeniu cwanych gostków ze służb specjalnych, byłych i aktualnych. – Łyknałem koniaku.

– Wiesz, jak załatwił sprawę obsadzenia Mińska milicją? Bardzo szczeranie. Patrz: każdy bank i kantor musi mieć na swoim utrzymaniu milicjantów. Ustawowo. Nie ochroniarzy, ochrona to jego sprawa prywatna, że tak powiem, chodzi o milicjantów. W zależności

od wielkości firmy i obrotów ich liczba się zmienia. W każdym razie pensje dla tych milicjantów idą z kasy banku. To przymus i ustawowy obowiązek. Ponieważ tych firm jest sporo, to szeregi milicjantów bardzo się rozrosły. Ściągnięto posiłki. Skąd? Ze wsi, z prowincji. Ci chłopcy, którzy uciekli z ciężkiej pracy na roli, do wielkiego miasta, gdzie dają im mundury i władzę, gdzie są dyskoteki, gdzie są dni wolne od pracy, urlopy, czy oni nie uważają, że złapali pana Boga za nogi? Uważają. A komu to zawdzięczają? Bat'ce Łukaszence. Czy oni chcą wrócić na swoje głuche wsie i orać od świtu, i upijać się z przyszczatymi kolegami i rumianymi dziewczuchami? Nie. Czyli niemal do krwi ostatniej będą bat'ki bronić. Pewnie, kiedyś upadnie, kiedyś umrze, ale kiedy? Za dwa wieki?

– Ciekawe... – mruknął. – Czyli co? Teren nie do podjęcia działania?

– Czemu nie do podjęcia. Wszędzie się podejmuje.

– Odstawiłem niemal pusty kieliszek. – Tylko nie tak radośnie i rześko. Konieczna, absolutnie konieczna pomoc miejscowych. No i to jest, jeśli połączyć te trzy kraje, ogromna powierzchnia, ogrom ludzi... A gdzie Kazachstan? Armenia, Gruzja, te wszystkie Osetie, Czeczenie, Inguszetie?

– No tak. Trzeba będzie się nad tym zastanowić, mocno zastanowić...

Też dopił swój koniak. Westchnął, a może tylko odetchnął.

– Kontaktowałeś się ze swoimi... – rozejrzałem się – ...przełożonymi? W sprawie organizacji siatki? – Ściszyłem głos do minimum.

– Tak. Bardzo oględnie. Wiesz, Departament Obrony to nie są ludzie elastyczni i nowocześni. Większość wolałaby po staremu: wsiąść do czołgu byle jakiego i walić do wroga widzialnego, no – może – poprawić uderzeniem jądrowym. Ale mamy zielone światło. No – roześmiał się – zielonkawo!



Przeczekaliśmy Paula. Włożyłem do ust dwie morele, odczekałem chwilę, przelałem koniakiem. Ożżż... Miło...

– Za jakiś czas dostaniesz zaproszenie, by złożyć wizytę w naszym kraju, w celu podziękowania za pomoc, udzieloną w zlokalizowaniu i unieszkodliwieniu pary niebezpiecznych aktywistów fundamentalnych. Wtedy wszystko omówimy. Ale możesz już się powoli rozglądać, rozmyślać, jak to uruchomić w Polsce, w Europie.

– Okej. Będę.

Już się zastanawiałem. Zwłaszcza że coś mnie jeszcze dręczyło, coś pobrzękiwało poza zasięgiem słuchu, samą wibracją pobrzękiwania docierając do umysłu.

– Gdzie mieszkałeś? – zapytałem. – To znaczy, kiedy mieszkaliście w Polsce.

– W Sacholu. Skrzywiłem się.

– Musi to być straszna dziura, ale GPS sobie poradzi.

– A właśnie! – Sięgnął do kieszeni, wyjął i podał mi palmtopa. – Przepraszam, że używany, ale za to liftowany na wiele sposobów, na pewno nie seryjny.

Nie wahałem się. Uwielbiam takie duperele, mam w domu, w pawlaczu, małe muzeum komputerniki: telefon Centertela ze słuchawką jak uchwyt do podnoszenia kontenerów ze śmieciami i centralką wielkości laptopa, mam pierwsze Nokie, mam pierwsze tłumacze, i dwa palmtopy, mam kilka miękkich i podświetlanych, nieprzemakalnych klawiatur, zewnętrzne pamięci, od dyskietek przez dyski do 100 Mb, porty, adaptory... Już niewiele pamiętam, co do czego służyło i może nawet służy. A każdy nowy gadżet wprawia mnie w doskonały humor na chwilę i ogromną frustrację, gdy zabieram się do osvajania nowego bardzo potrzebnego sprzętu.

– Hm. Dziękuję. Masz u mnie za to ciupagę i wianek suszonych grzybów.

– Nie dziękuj. To kurestwo. Instrukcja zajmuje prawie czterysta stron. – Wycelował we mnie z palca. – Miesiąc nauki.

Wypiliśmy pod tę naukę.

– Spadam – powiedział Jerzy. – Podrzucić cię gdzieś?

Rozważałem chwilę tę propozycję.

– Nie. Ale odprowadzę cię do wozu. Potem skoczę do kina. *Die Hard 4.0*. Jeszcze nie widziałem.

– Ja też, ale się boję rozczarowania. Z tracków sądząc, to *Mission Impossible VI*.

– Też się boję. – Wyszliśmy na ulicę i ruszyliśmy przez zieleniec do jego clio. – Każda próba zdyskontowania sukcesu oryginału kończy się mniejszą lub większą klapą.

– Żebyś wiedział!

– Jak choćby *The Blair Witch Project*.

– O tak, to było miszczostwo świata! Ale *Alieny* też.

– I *Terminator.1*

– *Szklana pułapka!*

– *Predator, Zabójcza broń.*

Z tyłu coś szurnęło. Odruchowo obejrzałem się, Jerzy wyliczał na palcach katastrofy filmowe. O krok za nami był Posoka. Już nawet nie o krok. Biegł, dopadał nas; gdy go zobaczyłem, poklatkowo zbliżał się do nas. Nie wiem dlaczego moją uwagę skupił ciemny strup, pogłębiony łuk spojenia lewego ucha z czerepem, tam trafił pocisk, po tym, jak mój miecz *geom* chlasnął go po grdyce. Trzeba było kolejny raz go zabić. Wykorzystałem energię kroku, okręciłem się na nodze, wyciągnąłem rękę, by pchnąć Jerzego, ale on był wpół kroku, trąciłem go tylko lekko, sam padłem na bok, usiłując podciąć nogi Posoce. Niemal mi się to udało, prawie. Potknął się o moją stopę, ale nie zatrzymał. Gorzej, wykorzystał impet upadku do spotęgowania siły uderzenia. Jerzy poleciał do przodu, kompletnie zaskoczony, ja

sięgnąłem nóg Posoki drugą nogą, powaliłem go, przeturlałem i zwałem się na niego, blokując rękę ze sztyletem – zakrwawionym sztyletem! Lewą powstrzymałem cięcie, prawą huknąłem go w nos. Siła uderzenia odrzuciła mu głowę, ale poza tym nic się nie stało. Nawet nie chlusnęła krew. Doznałem olśnienia – już wszystko się ustawiło.

Posoka był guimonem. Z innego, nieznanego nam wariantu. Chłaśnięty *geomem* w szyję zwałem się na ziemię i udawał martwego. Dlatego ja naliczyłem siedemnaście ofiar strzelaniny, a media podawały szesnaście, to ta niezgodność wierciła mi dziurkę w brzuchu. Nad tym należało się zastanowić, ale ciągle nie było czasu, ciągle coś się działo.

Dlatego moje uderzenie w twarz podziałało na niego czysto fizycznie, musiałem zmienić rękę i uderzać lewą. Ale on też to wiedział. Wierzgnął i niemal uwolnił się spod mojego ciała.



Łokciem uderzyłem go w grdykę, poprawiłem, wykręciłem przedramię z nożem, niezbyt silnie, niemal symbolicznie uderzyłem sygnetem w ucho. To mu się nie spodobało. Otworzył usta, mignął brunatny jęzor, buchnął fetor, ale tego się spodziewałem. Dokończyłem skrętu ręki i wbiłem jego własny sztylet gdzieś pod obojczyk. Trafiłem raz i drugi w skroń sygnetem, zacharczał, ale nie zdychał i wysuwał się spode mnie. Zapierałem się czubkami butów w ubity żwir alejki, ale skutek był mizerny. Kątem oka zobaczyłem jakiś ruch – Jerzy podczołgał się do nas na kolanach, zabrakło mu pół metra, runął do przodu, ale wyciągnął rękę i swoim sygnetem trącił, tylko trącił, czubek głowy guimona.

Posoka zaskrzeczał. Wyprężył się i zwiotczał. Wyszarpnąłem z pochwy na kieszeni swój srebrny nóż do papieru i wbiłem mu w szyję. Dopiero teraz trysnęła jakaś... posoka... Maż o trudnej do ustalenia barwie, na pewno gęstsza od krwi. Z pyska guimona wydobyło się niskie rzeźenie z chlupotem, jakby jucha w jego ciele płynęła po całym systemie żeber czy jakichś kostnych półek, ale mnie już to nie interesowało. Wyszarpnąłem nóż i dźgnąłem go nim jeszcze dwa czy trzy razy, szybko wytarłem o koszulę i rzuciłem się do Jerzego. Miał na plecach, poniżej nerki ogromną, fatalnie rokującą plamę krwi. Poderwałem go, przeniosłem kilka kroków, ułożyłem na trawie, zdarłem z siebie lekką bawełnianą koszulę, zwinąłem w kłęb i przyłożyłem do rany.

– Czekaj – mamrotałem. – Już... już... Sięgnąłem do swojej komórki, ale nie było jej na pasku, musiałem ją zgubić w szamotaninie z Posoka. Przypomniałem sobie palmtopa Jerzego, ciągle był na pasku z tyłu spodni. Zdarłem go.

– Słuchaj! – odezwał się nagle Jerzy. Chwycił mnie mocno za przegub. – Zobacz ICE.

Tam dzwoń. I nigdzie więcej. Bo pogrzebiesz większość... naszej robo... ty...

Wyświetliłem na ekranie listę telefonów, niecały tuzin. *In Case of Emergency* był pierwszy na liście.

– Szybko! – rzuciłem do mikrofonu, gdy odezwał się mężczyzna. – Skwer między Solną i Orłowicza. Poważnie ranny Jerzy, Jerry. Szybko!

– Możesz iść w kierunku Solna? – zapytał po chwili wahania mężczyzna.

– Tak. Idę. Pośpieszcie się!

Chwyciłem Jerzego, przełożyłem jego rękę przez moje ramię i drugą ręką przytrzymując tampon z koszuli, pociągnąłem do Solnej.

Przy drugiej ławeczce Jerzy nagle się zaparł.

– Tu. Siadamy. Zdążą – powiedział wyraźnie. Musiało go to kosztować masę bólu i koszmarną ilość energii. Nie mogłem z takim wysiłkiem, takim poświęceniem walczyć.

Przymknął na sekundę powieki.

– Pamiętasz... jak mówiłeś, że leżą na nas... jak muchy do gówna? Że tak ciągną, że wystarczy zasiąść... wygodnie i walić do nich... jak do... kaczek? – Popatrzył mi w oczy. – One zawsze się tak... zachowują, kiedy zbliża się koniec... ekstermana... Wyczuwają... Nie wiem... nie wiem, gdzie tu przyczyna, a gdzie skutek... Czy to umierający... je przyciąga, czy one nadchodzą... i dlatego eksterman umiera...

– Przestań! – poprosiłem. – Po pierwsze, pierdolisz jak potłuczony, po drugie, szkoda sił.

Czekamy na pomoc.

– Tak... pomoc... Oni zaraz przyjadą... – Skrzywił się. – Pożegnamy się... Tak czy tak... żegnamy... Musisz wiedzieć... nie żałuję tej noc... cy...

– Kurwa, proszę cię, nie gadaj.

Przecież on wie, że zmuszając się do wysiłku, zmusza serce do zwiększonego pompowania, a to – z kolei – nasila krwotok. Po co mówi? I co ja mam zrobić?

– Nic nie mów. Czekamy. Uda się... – Poprawiłem ułożenie tamponu, rękę miałem śliską i ciepłą, mokrą.

– Uda...

– Tak. Uda się, zobaczysz. Nie pozwolę, żeby się nie udało.

– Wiem...

– Wiesz... – W rozpaczy szukałem jakichś mądrych słów, których powinienem był użyć, by... by... I nic nie znajdowałem. Poza jakimiś durnymi banałami. Może tak trzeba, kotłowało mi się w głowie. –

Kiedyś usłyszałem od kolegi z AWF-u o pewnej dziewczynie, która na egzaminie wstępnym wskoczyła do basenu, żeby przepłynąć jakąś tam normę, i zaczęła się topić. A jak ją ratownik wyłowił i wstrząśnięty zapytał, czy wie, że nie umie pływać, odpowiedziała że wie. „No to na co liczyłaś?” – zapytał zdumiony kolega. „Że jakoś się uda!”. – Głowa Jerzego chybotnęła się na boki, objąłem go i przycisnąłem do siebie. Czułem, że łzy wypływają mi z oczu bez udziału świadomości, bez wysiłku, po prostu leją się ciurkiem. – I... to było, wiesz, i to jest jakieś tam moje życiowe motto. Jeśli nie można inaczej, trzeba skakać. Może się uda!

Nie odpowiedział.

Siedzieliśmy w milczeniu pół minuty, Jerzy oddychał ciężko, coraz ciężiej. Steżałem ze strachu, ale on zbierał siły. Uniósł głowę, chwilę wpatrywał się w przestrzeń obok mnie, potem wzrok mu stwardniał.

– Pochyl się do mnie! – zażądał. Powstrzymałem się od kretyńskich, niepotrzebnych pytań. Pochyliłem się, a on nagle uniósł rękę – choć na ułamek sekundy ból zasnuł mu oczy mgłą – chwycił mnie za kark i energicznie przyciągnął do siebie. Zetknęliśmy się czołami, a właściwie lepiej by było powiedzieć: zderzyliśmy. W każdym razie coś trzepnęło moim umysłem, coś eksplodowało, zrozumiałem, że to nie jest zwyczajny ból od uderzenia głową.

Przez umysł przemknęła błyskawica, zrozumiałem, że oddziela na moment lewą półkulę od prawej, nie tak, jak dzieli atlas anatomiczny. Nie, po prostu tnie zawartość mojego czerepu na dwie równe części. Co za idiotyzm! Obie wywinęły kozła na zewnątrz, poczułem się oblany wrzątkiem i zanurzony w lodowatej wodzie jednocześnie. Po zetknięciu się naszych głów przestałem widzieć cokolwiek, teraz nagle zobaczyłem, ale nic sensownego, nic, co mógłbym opisać. Galopada fraktali, przelot łańcuchów barw, migotanie jakichś abstrakcyjnych kadrów... Przez kilka sekund od góry czaszki zapulsował ostry ból.

A potem wszystko się ustabilizowało. Poczułem, że Jerzy zapada się w siebie, jakby, pozbawiony resztek energii, teraz flaczał, tracił przytomność.

– Nawet mi, kurwa, nie próbuj! – warknąłem i potrząsałem jego ramieniem, drugą ręką, omdlewającą z wysiłku, przyciskając tampon z koszuli do jego pleców.

Zza krzaków wybiegła czwórka ludzi, trzech mężczyzn i kobieta. Ta bezceremonialnie szarpnęła mną, dwaj mężczyźni migiem rozłożyli coś, co okazało się fotelem na kółkach, usadowili w nim Jerzego, starannie umieściwszy moją koszulę-tampon na swoim miejscu, błyskawicznie owinęli go dwoma pasmami szerokiego bandaża, chwycili za poręcze i biegiem ponieśli-potoczyli z powrotem za krzewy. Trzeci mężczyzna rozejrzał się nerwowo i pobiegł za nimi. Kobieta też się rozejrzała. Popatrzyłem tępo na swoje zakrwawione dłonie, pochyliłem się, żeby wstać.

Kobieta jednak przycisnęła mnie do ławki.

– Kamil? – zapytała. Skinąłem głową.

Z torby na ramieniu wyciągnęła duży płat gazy.

– Wytrzymaj się i zbieraj do domu. Skontaktujemy się. Dyskrecja nadal obowiązuje!

Zniknęła za krzewami.

Trup guimona Posoki wsiąkał w połowie w darń, w połowie w żwir alejki. Siedziałem na ławce, z której zabrano przed chwilą mojego jedynego przyjaciela, człowieka którego znałem od zawsze, od dwóch tygodni, i którego już pewnie na tym świecie nie zobaczę. Po raz pierwszy dosięgła mnie taka strata, nawet nie umiałem rozpaczać, nie nauczyłem się.

Siedziałem i tępo gapiłem się na zanikający kontur ciała.

Później w mojej głowie pojawiła się myśl. Jest takie opowiadanie Marka Twaina, o gościu, który miał najdalej skaczącą żabę, która

wygrywała dla niego wszystkie konkursy.

Kiedys chciał wygrać kolejny zakład z jakimś przyjezdnym, ten się zgodził, ale nie miał żaby. Więc gostek skoczył nad staw, żeby mu jakąś złapać. Tymczasem przyjezdny wsypał mistrzowskiej żabie do gardzieli łyżkę śrutu. Gdy doszło do konkursu, jego zwyczajna żaba skoczyła, a mistrzyni tylko się szarpnęła i opadła na dupę...

Czułem się tak, jakby Cthulhu, ku krzywdzie wszystkich złomiarzy Polski, zebrał cały dostępny ołów i wsadził mi w gardziel. W ogóle nie wyobrażałem sobie, jak oderwę tyłek od ławki.

Siedziałem więc i siedziałem, i gapiłem się na cień Posoki, dopóki się nie rozpuścił. Potem jeszcze godzinę pilnowałem tego miejsca. Cudem jakimś nikt nie przechodził tą alejką przez cały ten czas.

Cudem albo powstrzymywany przez kompanię Jerzego...





## ROZDZIAŁ 19

Drugi dzień bujałem się po archiwach firmy. Było to pomyślne i owocne bujanie. Nawet nie musiałem iść po prośbie do bratnich oddziałów, CBA i CBS. Zresztą, nadchodzące wybory i niepewność jutra w bardzo prawdopodobnym przypadku zmiany władzy nie dodawały energii pracownikom. Część już szykowała sobie poduszki pod dupy, część, zrezygnowana, czekała, jak potraktuje ich fatum.

Ale już to, co znalazłem w naszych archiwach, napawało otuchą. Mecenas Roxana Samolej robiła karierę i bardzo, kurwa, bardzo, bardzo ciężki szmal. Zaczęła w kancelarii mecenasa Zarzuta, tego, o którym mówiło się z nienawiścią: „Za Zarzuty nie zadziałają żadna zarzuty”. A gdy zmarł, dość tajemniczo, jak się podejrzewało, nie bez pomocy któregoś z mniej zadowolonych klientów, otworzyła własną spółkę, niewielką, nierzucającą się w oczy.

Nierzucającą się w oczy piwchodniom, bo ci, którzy potrzebowali jej wsparcia, znajdowali kancelarię bez trudu. Aż dziw, że naszych dróg nie skrzyżowało dotychczas przeznaczenie.

Inna sprawa, że dotychczas traktowałem swoją pracę w firmie jako pewnego rodzaju dopust boży, nie angażowałem się, nie wychylałem, nie pchałem do przodu i dbałem przede wszystkim o to, by nie za bardzo zostawać z tyłu. Ale tak – trzecie miejsce od końca – satysfakcjonowało mnie jak najbardziej.

Abnegat.

Leń.

Kiedyś w przystępie ekstraautomatyzacji wypisałem sobie te pejoratywne określenia, które na pewno pasowały do mojej osoby.

Znalazłem ich sto czterdzieści osiem. Znacznie więcej czasu zajęło mi znalezienie pozytywnych epitetów, jakie bym dla siebie zarezerwował; zajęło, jak powiedziałem, znacznie więcej czasu, i było ich siedem.

Dobra, ale wróćmy jeszcze do naszego barana, czyli do pani Samolej. Wybroniła już kolejno: Pastucha-Pawełczyka, Koronkę, Śliwę... W sprawie Sznycla najpierw zwała na świadka tonę oszczerstw, a potem dziwiła się obłudnie, ale przekonująco, że wyłowiono go z jego własnej sławki. Udzielała się w sprawach nie tyle głośnych, ile... łomoczących. Nie takich, jak Ryś-Kolanko, gwałciciel i morderca – to był żebrak, sprawa głośna, ale bidna. Ona broniła nie tych, o których głośno, ale tych, u których bogato. Któryś z referujących jej osiągi kolegów napisał: „W prywatnej rozmowie powiedziała, że Rod Stewart ma podobno trzysta identycznych porsche. Ona na tyle już zarobiła, ale zaplanowała, że kupi cały tysiąc hurtem, po lepszej cenie i rozwali światowy rynek handlu tymi wózkami.

Mecenas Roxana... Ciekawe, czy czytała Daniela Defoe *Żywot Roxany, kochanki królewskiej*, czy jakoś tak? Niezłej zdziiry, jak dobrze poczytać. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby sama zmieniła sobie pospolite Wisława czy Janette na ciekawsze. Matka kiedyś opowiadała, że jej sąsiadka postanowiła zmienić półrocznej córeczce imię. Z Eliza na Roxana właśnie. Eliza wydawało jej się „...takie manieryczne, wymyślne”.

W każdym razie Roxana miała w moim serduszku spory zasobnik z gównem, które zamierzałem wylać jej na głowę. I to nie w miłym tete-a-tete, tylko z huczkiem, z przytupem, przy kamerach i mikrofonach. Żeby raz na zawsze, żeby, suka, z nauką, żeby z... żeby z – kurwa! – zemstą!

Zrzuciłem dane na pendrive'a w małym scyzoryku, jeszcze jeden

gadżet. W pudle leżał wodoodporny pendrive, breloczek pendrive i kilka innych, ale już nie miały pojemności. Teraz chodziły 2 giga, choć nie wiem po co. Taką ilość danych przeglądałbym rok.

Wyszedłem z pokoju i od razu wróciłem, słysząc telefon.

– Kamil? – Ruda Stefcia, której czasem „zmysły wpełzały na twarz”, jak panna Mniszkówna, zaszcebiotała do słuchawki: – Proszę cię, szybko do szefa. I nie lękaj się niczego!

Ciępierz... Tego mi tylko brakowało! Zrzuciłem bluzę, wyszarpnąłem krawat, zawiązałem dwoma, no, trzema ruchami, chwyciłem marynarkę i pogałem łącznikiem do Tupolewa. Stefa, widząc mnie, wypadła ze swojego służbowego fotela i – po raz pierwszy w życiu – skoczyła, by otworzyć drzwi.

– Dzięki ci, sestro! – szepnąłem i wszedłem.

Tupolew i dwaj Amerykanie w galowych mundurach.

Kapitan i WO-5. Na mój widok poderwała się cała trójka. Coś mi mówiło, że nie należy pajacować. Znieruchomiałem, zamknąwszy drzwi, i udałem, że zabieram się do meldowania.

Tupolew chyba się bał jakiejś krotchwili z mojej strony, bo natychmiast uniósł rękę, ni to witając się ze mną, ni to powstrzymując przed nachalnym „regulaminizmem”.

– Starszy Aspirant Kamil Stochard – szybko przedstawił mnie Amerykanom.

Okur?! Awansowałem?!

– *Kapitan Guilmor* – powiedział kapitan, ściskając mi mocno dłoń.

Drugi bąknął coś, czego nie zrozumiałem, widocznie to był ten ważniejszy, który nie chciał kłamać, a powiedzieć prawdy nie mógł.

– Panowie mają... – Tupolew uśmiechnął się szeroko – ...sprawę do pana, starszy aspirancie.

Niepotrzebnie tak akcentował to „starszy”. Co to, stopni nie znam?

– *Mister Stochard* – z godnością rzekł, nie powiedział, a właśnie

rzekł kapitan. – *On behalf of the Department of Defense of The United States of America, I hereby thank you for helping our agent locate and neutralise a couple of dangerous criminals whose intention was to deploy a unit of terrorist character on the Polish territory. I am pleased to inform you that you were enlisted to be awarded with The American Medal of Honour. In the name of the American People, thank you.* Nie przyszło mi do głowy nic innego jak: „Ku chwale Ojczyzny”, uśmiechnąłem się więc zuchowato i uścisnąłem mu grabę. Kapitan wykonał identyczny uścisk. Odebrałem otwarte pudełko z medalem, na którym heroiczny amerykański orzeł wbijał szpony w wiązkę czegoś. Nie znam się na heraldyce, więc nie wiem, co to jest. Trzciny? Papirusy? Kabanosy? Laski dynamitu? Obok w pudełeczku spoczywała miniaturka.

– *Not at all, I haven't done anything extraordinary, but I'm pleased that I was appreciated. I am finding myself stimulated to work harder still for the good of the people.*

Gładko to łykneśli.

Kapitan sięgnął po stojącą obok jego fotela dyplomatkę, ze względu na gabaryty przechodzącą już do i 11-tej kategorii wagowej.

– To nasz *special* prezent – powiedział, jak na mój gust podkreślając, że polski nie jest jego językiem ojczystym. – Mamy nadzieje, że szeptu panu przida w kazdych... eee... – spojrzął w sufit i pomachał palcami – ...brak mi slowka... – Uśmiechnął się rozbrajająco. A! Okolicz... nosz... czach!

– Dziękuję.

Zaczął mnie atakować skurcz mięśni policzki z powodu szczerego uśmiechu. Amerykanie, synchronizowani jak chińskie marionetki, odwrócili się do Tupolewa. Ten bąknął coś po angielsku o efekty owocnej współpracy, kapitan dodał po polsku, że w najbliższym czasie poproszą o urlopowanie mister Stocharda celem wizyty w USA. Tupolew zapewnił ich, że to nie będzie problemem. Wykonaliśmy

jeszcze szereg uścisków i sojusznicy opuścili gabinet szefa. Rzuciłem się za nimi.

– Kamil! – zatrzymał mnie w progu okrzyk Tupolewa. Odwróciłem się i strzeliłem kopytami. – Kiedyś ci przypieprzę! – zaczął z daleka, ale obiecująco przełożony. – Jak tylko wysłałem cię na urlop, dla własnego dobra – uniósł palec – i bezpieczeństwa – dodał – zacząłem śledzić wydarzenia w domu i zagrodzie. I wiesz, że mnie nie zawiodłeś?!

Zastanawiałem się, czy zażąda raportu i czy już wtedy składać prośbę o przeniesienie-zwolnienie-łagodny wyrok, czy...

Nagle Tupolew się uśmiechnął.

– Nie chcę wiedzieć, dlaczego miała być współpraca z FBI, a przychodzą koledzy z wojska. – Wyprostował kciuk. – Nie chcę wiedzieć też, co oznaczają trzy krajowe alarmy trzeciego stopnia i jeden pierwszego. – Dołączył wskazujący. – Wszystkie w jednym tygodniu, chyba w odstępie trzech dni.

Omam nie wypaliłem, że wszystkie oznaczają użycie broni palnej, a różnią się jedynie wagą. Szesnaście trupów ma swoją wagę... Siedemnaście, żeby było szczerze.

– Tak więc nie chcę tego wiedzieć, powstrzymam się nawet od pytania, od kiedy w sprawie fedzia gada wojsko. – Zrobiłem minę: „A ja skąd mam wiedzieć?“, i rzeczywiście tak myślałem. Tupolew potrząsnął, niczym kaleki saper, dłonią z wyprostowanymi dwoma palcami. – Co nie znaczy, że naprawdę nie chcę. Ale nie tu, nie teraz, nie sami. – Westchnął. Rozumiałem go, sam jestem ciekawski. Podniósł się, obszedł biurko i wyciągnął do mnie dłoń, uścisnął moją. – W każdym razie dziękuję. Ciebie pochwalono, mnie pochwalono, wszyscy chodzą w chwale i ku!... Chwale i tak dalej. Idź się bawić. Dam ci tydzień luzu.

Potem wracasz na działkę.

Czyli do roboty.  
Wiadomo.



Wyszedłem z neseserem w lewej ręce. Stefa na mój widok uniosła brwi i pokiwała głową, że niby fajnie jest! Może i jest. Poza jednym istotnym elementem, o którym tylko wspomniano w rozmowie. Ale co mogę zrobić? Nic. Może coś się uda wywiedzieć podczas zapowiadanej wizyty w USA. Może. Tutaj, jak widać, panuje cisza. Ma panować cisza. A jak takie siły mówią, że jest cicho, to piorun zatyka sobie pysk i z przepraszającą miną pędzi nad Rumunię, gdzie da popalić polom i lasom.

Człowiek podobno nie może pocałować swojego łokcia.

A 75% tych, którzy czytają te słowa, usiłuje to zrobić... Stanowią połowę tych 75%. Wyłączyłem swój komp, odwiesiłem marynarkę do szafy, żeby nie łapała biurowego kurzu, wyszedłem na parking. Mój seat stał w kącie, najdalej jak się dało od wejścia. Nie dlatego, że tak lubiłem, lecz dlatego, że tylko tam było jeszcze miejsce, gdy ostatni czyli niemal spóźniony przybyłem do firmy. Usiadłem w wozie, potrzymałem chwilę dyplomatkę na kolanach. Potem szcęknałem jednym zamkiem, drugim, odczekałem jeszcze chwilę, jeszcze chwilę – odsunąłem fotel i wygodniej ułożyłem dyplomatkę. Zajrzałem do niej. Kupa amunicji do Gnata. Spore pudło z drewna, pewnie tekowego, zawsze jest tekowe, jakby nie istniała brzoza, sosna czy dąb.

Dobra, tekowe, chuj z nim. W środku dwieście pocisków w paczkach z literkami ALST. Nie *all star* tylko alstern. Większa kasetka, metalowe pudło oblane gumą, imitującą skórę hipopotama. Kilka

futurałów z kartami pamięci, do palma. Karta do telefonu, pewnie jakaś alarmowa książka telefoniczna.

Płaskie coś. Wizytownik? Otworzyłem.

Złota karta Master Card. Pewnie nieograniczona. Bogatyś, Kamilu. No tak. Wszystko przemyślane. Jakaś sekcja logistyczna w odległym zaoceanicznym kraju dostaje zlecenie: zestaw nr 1 dla europejskiego ekstermana. Zgarniają z odpowiednich półek odpowiednie przedmioty, wkładają. Ciekawe, różaniec albo krucyfiks też jest? Ach nie, przecież o prawdziwym celu działania wiedzą nieliczni, ktoś dołożył do standardowego zestawu pociski z alsternem. Małe puzderko, chyba wiedziałem, co w nim jest... Delikatnie przełożyłem je w kąt.

Nie ma pogrzebacza? Małe blaszki, które zrobiły karierę we wszystkich filmach wojennych i parawojennych; amatorzy nazywają je „nieśmiertelnikami”, my, profies – „pogrzebaczami”. Powinni byli dać. Poczułem, że za chwilę skończy mi się odwaga i odporność, i po prostu... Po prostu...

Zacisnąłem zęby, odpaliłem silnik, zamknąłem dyplomatkę i ostrożnie ustawiłem za fotelem pasażera. Jeszcze blokada drzwi, żeby mi jakiś gnojek nie wyszarpnął prezentu na skrzyżowaniu, i ruszyłem do domu. Zaraz za progiem powitał mnie Pixel, radośnie preżący grzbiet w oczekiwaniu krótkich pieszczot, których apogeum była saszetka z mięskiem. Po chwili miał już swoje dwie minuty szczęścia, moje odwlekły się tyle, ile trwało ugotowanie makaronu i utarcie orzeszków piniowych z serem i bazylią. Całe mieszkanie pachniało pesto, ale tym razem nie napawało mnie to dumą. Zresztą, z czego tu być dumnym? Z żarcia? Z tuczenia się?

Nawijałem ostatnie nitki makaronu, gdy przyszła mi do głowy pewna myśl, tak ważna, że cisnąłem łyżkę i widelec z nawiniętymi dwiema nitkami metrowego spaghetti i rzuciłem się do leżącej na

kanapie dyplomatki. Minutę później karta telefoniczna znalazła się w gnieździe palmtopa, dźgnąłem ikonę telefonu i zmartwiałem: wszystko, co było barwnego na ekranie, a było tego sporo jeszcze dwie sekundy temu, zniknęło. Pozostał wiersz do wpisania numeru.

Hmm...

Wystukałem swój numer, odczekałem sześć sygnałów i nagrałem testowe „Krakrymija, śpitulis ajanostre w kibucu”. Odsłuchałem. Nie było cienia namiaru na nadawcę, głos był zniekształcony, czyli jasne – telefon do zadań specjalnych.

Wyciągnąłem z dyplomatki sześcianik w miękkiej skórze, otworzyłem. Sygnet ekstermana. Mój dotychczasowy sygnet przedwczoraj zsunął się z palca podczas mycia rąk. Zostawiłem go na umywalce, wieczorem widniała tam grafitowa plama, którą z trudem usunęło mleczko do porcelany. Wolno wsunąłem nowy sygnet na trzeci palec, *digitus tertius*. Do fuckowania i mordowania guimonów.

Odczekałem kilka oddechów, aż serce wykonało swoje kilkanaście mocnych kopnięć, aż sygnet ułożył się na palcu, zamrowił lodem i – jakby – zniknął z oczu i świadomości. Był już mój, całkowicie. Nieodwołalnie pożegnałem się z Jerzym. W łazience zlałem twarz wiadrem zimnej wody.

Wystukałem numer, włączywszy filtry i blokady.

– Pani mecenas Samolej? – zapytałem, słysząc jej głos w słuchawce.

– Kto mówi?

– Nie bądź durna, cipo – powiedziałem. – Nie po to męcę swoje struny głosowe, żeby ci się przedstawiać.

– Ale kto...

– Będiesz się darła, to nie usłyszysz jak umrzesz. A myślę, że na ten rodzaj śmierci lepiej się przygotować. Najlepiej samej zrobić sobie ciepłą kąpiel i pożegnać życie a la Kosiński, dodałbym jednak do pigułek i reklamówki na głowę jeszcze brzytwą po łapkach. Żeby na pewno,



żeby nie poszkapić się i – broń Boże! – nie wylądować w szpitalu. Bo tam można dopiero się zabawić, nie?

– Posłuchaj, gnojku!

– O! Widzę, że mimo wszystko mnie poznałaś no, no! Trudno, masz wiedzę i zachowasz ją dla siebie i świętego Piotra. Do zobaczenia, Roxy. Do... Aha, ten gość... No ten, coście go utopili w jego własnym kiblu... Kojarzysz, nie? No więc przesyła ci pozdrowienia. I radę: jak się już zanurzysz w gównie, to nie otwieraj ust, bo się porzygasz, a wtedy robi się naprawdę nic miło. *Bye!*

Rozłączyłem się.

Gnojek ze mnie. Bydlę.

Cóż, taki charakter – z bydłem, z chamstwem, ze szkodnikami – po ichniemu. Bez litości, bez kodeksu, bez zas... Nie, z zasadą – jak ty mi, tak ja ci!

Podszedłem do okna, nie dotykając firan zapatrzyłem się na ulicę. Zwykła, warszawska... Ludzie, młodzi, mali, starzy, dobrzy, źli, niemili, sympatyczni...

I ja.

Ja mam pilnować ich, by z niedobrych ludzi nie stali się bardzo niedobrymi nieludźmi. Zadanie akurat dla mnie. Dla człowieka, który w dobrych ludzi nie wierzy.

Ale już wierzy w guimony.



## EPILOG

Wszedłem do biura mecenas Samolej tuż przed trzynastą. Sekretarka w nienagannie skrojonym, uszytym i leżącym garniturze strzeliła we mnie badawczym spojrzeniem. Ostentacyjnie spojrzała na terminarz, zmarszczyła brwi. Wyjąłem legitymację, odbiłem nią badawcze i niechętne spojrzenie sekretary.

– Długo nie zabawię – obiecałem. – Można?

– Pan? – Zawiesiła fachowo głos, trzymając otipsowany paluszek nad przyciskiem interkomu.

– Tak. Pan.

Odwróciłem się i popatrzyłem na grafiki na ścianach.

– Pani mecenas, ktoś ze służb... chyba ABW... Nie przedstawił się...  
– zameldowała, patrząc na mnie z wyrzutem.

Skinąłem głową i ruszyłem do drzwi. Gdyby szefowa nie była sama, sekretarka nie puściłaby mnie albo inaczej zaanonsowała.

Poprawiała grzywkę, blond grzywkę, „laptok” – zgodnie z przeznaczeniem i zaleceniami designerów – na biurku, otwarty i włączony. Oczywiście Mac. Ma takie ładne świecące jabłuszko na pokrywie!

Nie układałem ust w uśmiech.

– Kamil Stochard – zapowiedziałem oficjalnym tonem. Wyjąłem legitymację i pokazałem jej na tyle krótko, żeby nie czuła się specjalnie wyróżniona, i na tyle długo, żeby nie mędziła, że nie dałem się jej przyjrzeć.

– Mam kilka pytań, na dzień dzisiejszy może pani odmówić na nie odpowiedzi. – Wyjąłem notes. – Czy zna pani Ryszarda Panka, zwanego Kopem?

Zmarszczyła czoło i wystukała coś na klawiaturze, może nawet

„Ryszard Panek”.

– Nie znam.

– A Krzysztofa Ziemińskiego, o pseudonimie Zima? Powtórzyła się scenka sprzed kilku sekund.

– To może Jarosława Krwiaka, zwanego Posoką? Skonfrontowała swoją pamięć z laptopem.

– Nie.

– Albo jeszcze jednego Krzysztofa, Domagałę, którego ziomy nazywali Gałą?

– Też nie.

– Hm... Szkoda. To by nam mogło wiele wyjaśnić.

– Westchnąłem.

– Przepraszam, a pan to w ogóle w jakiej sprawie?

– Na razie to nie jest sprawa, pani mecenas. To tylko sprawdzanie pewnych wątków... tropów. Trupów, powiedziałbym, gdybym chciał być precyzyjny.

– Uśmiechnąłem się samymi ustami. – Trupę trupów – dodałem już kompletnie dla jaj.

– Jak sędzę, to takie bardziej nieoficjalne sprawdzanie? – Wysunęła zuchwę do przodu, ale do Marlona Brando w *Ojcu chrzestnym* było jej daleko.

– Takie bardziej nieoficjalne, oczywiście – zgodziłem się.

Pochyliłem się i wyjąłem z teczki H&K. Pokazałem go z daleka Samolej, potem wychyliłem się i położyłem przed nią na biurku.

– Czy rozpoznaje może pani tę broń. Ma charakterystyczną rysę na lufie.

Sam ją tam zrobiłem. Na pewno była.

Samolej obróciła pistolet, przyjrzała się rysie w kształcie litery „V”, wyduła wargi. Potem wytrenowanym ruchem wystrzeliła magazynkiem do drugiej dłoni, sprawdziła, czy jest nabój w lufie,

nacisnęła na spust, mierząc w sufit. Wszystko w ciągu dwóch sekund.  
Dobry czas.

– Dobry czas – powiedziałem.

– Nie znam tego znaku. To może być wszystko. Pistolet oczywiście znam. Mam taki. W każdej chwili do okazania, ale nie prywatnie. Kwity, kotku, kwity na mnie?

Z trzaskiem, suka, włożyła magazynek i przysunęła broń w moją stronę. Wziąłem ją do lewej ręki i schowałem do teczki. Odchyliłem się w fotelu.

– Cóż, to ja mam tylko tyle pytań.

– Na razie? Zawiesił pan głos umyślnie czy mi się wydaje? – zapytała, splatając palce i opierając się przedramionami o biurko. – Bo następnym razem będziemy rozmawiali w obecności prawnika.

– Oj, czyżby bojała się pani moich pytań?

– Nie pierdol, Stochard. W nic mnie nie wbijesz, choćbyś się zesrał.

Wzruszyłem ramionami, zapiąłem teczkę, wstałem i zasalutowałem.

– Nie znoszę takich cwaniaków jak pani, pani Samolej. Bezcelnych gadów, którzy w majestacie niedoskonałego prawa bronią i chronią nie tych, których powinni. Nie jestem dzieckiem, wiem, że tacy byli, są i będą. Ale ja przynajmniej będę się starał, by tych, co będą, było jak najmniej. I tym optymistycznym akcentem żegnam panią.

Wychodząc, obrzuciłem spojrzeniem biurko sekretarki i przylegającą do niego dostawkę; pani mecenas dostała sporo kopert A4, pewnie foldery reklamowe. Sekretarka miała do pomocy elektryczny otwieracz kopert. Nowoczesność w domu i zagrodzie.

Nie pożegnałem się.

Było trochę po pierwszej, najlepszy czas na dalsze działania.

Podjechałem do MOPS-u, po drodze wzywając tam Bartłomieja Malickiego.

– Słuchajcie mnie uważnie – powiedziałem do wyprężonych w

postawie zasadniczej Malickiego z koleśiem. Jak mu tam? Z Michałem Wroną? – Meldujecie się dziś o osiemnastej na strzelnicy przy ulicy Improwizacji. Jeśli nie wiecie, gdzie to jest, bierzcie taryfę, ale kosztów nikt nie zwraca. Pokażę wam pewną kobietę, a wy ochoczo potwierdzicie, że to ona.

To ona i już, nie wdając się w dywagacje. Znacie to słowo? – Jeden zaprzeczył, drugi potwierdził. Ciekawe, czy obaj kłamali, czy tylko jeden? – No to podzielisz się wiedzą z ziomem. Osiemnasta. Na pikacza wchodzicie do baru, Kapewu?

– Tak, proszę pana.

Nie pożegnałem się z panią mecenas w południe, nie przywitałem po południu. Od Szymona wiedziałem, że bezczelnie i złośliwie, „na złość mi”, przychodzi co czwartek o osiemnastej i rozwała tarcze szturmową amunicją. Po prostu przyjechałem przed nią i schowałem się w kącie baru. Za szpalerem żywych fikusów, zamiokulkasów i paproci.

O dziewiętnastej weszła Samolej. Usiadła przy stoliku i zawołała: – Kawę?! Mooożna? Taką, jaką lubię?

– A, przepraszam, jaką pani lubi? – zapytał Tomek. Widać było, że odgrywają tę szopkę od wielu tygodni i idą na przetrzymanie. Tomek miał kiepskie szanse.

– Z ekspresu, naprawdę ciasno ubitą. – Roxana Samolej uśmiechnęła się do niego. – Łyzeczkę mleka, nie śmietanki, mleka. Bez cukru. Dziękuję – rzuciła już jakby do siebie, przekładając coś w torebce.

Służba ma wykonać, a ona nie ma czasu na pogaduchy.

Wyszedłem ze swojej zaczajki i dopadłem ją, gdy zapalała cygaretkę Davidoff. Drgnęła jej ręka. Łokciem strąciła biało-złote metalowe pudełeczko. Ach, co za radość! Pochyliłem się i podniosłem pudełko, położyłem na stoliku. Przysiadłem się nieproszony.

– Posłuchaj, pizdeczko – powiedziałem. – Nie będziesz już tu piła kawy. Wychodzisz i w ciągu trzech dni wynosisz się z tego miasta do innego, co najwyżej dwutysięcznego.

Rozumiesz?

– Pizdeczka słucha – rzuciła, kłapiąc powiekami z uroczym uśmiechem.

Bardzo sztucznym. Zaraz ci sześcinnie.

– Owoż, nie znasz pana Jarosława Krwiaka, zwanego Posoką. Ale zastrzelony został pięć tygodni temu z broni, na której jest komplet twoich odcisków. – Teraz ja się uśmiechnąłem uroczo. Znowu jak Jerzy, kiedy chciał kogoś zjebać, czyli samymi ustami.

– Są też twoje, ty głupi chuju! – warknęła. Wyciągnąłem ku niej lewą dłoń.

– Nie. Nie ma. Była powleczonea... – Sięgnąłem do opuszki kciuka i zdjąłem płatek fałszywej skóry. Powtórzyłem to z pozostałymi palcami. – To taki żel, wiesz? Wysycha i opuszek robi się gładki. Na spluwie nie ma moich odcisków. A ten heckler, czyli ty, ma na koncie co najmniej pięciu: Posokę i chyba czterech jego kumpli rozwalonych w rzezi pod... – Uniosłem głowę i popatrzyłem w sufit. – Pod... przypomnij mi, co? Ach, Popielskie Łęgi!

Pomijam, że w ogóle zginęło tam szesnastu ludzi, i policja za cholereę nie wie, o co chodziło, poza tym, że byli to goście umoczeni w tak zwaną przestępczość zorganizowa-ną. I ty z nimi.

Może niepotrzebnie tyle gadałem, ale usiłowałem tym słowotokiem pokryć niepokój, słaby punkt: Posoką. Jeśli ten skurwiel skontaktował się po Popielskich Łęgach z Roxaną, to mój blef mogę sobie wsadzić w odbyty, co najwyżej popychając lewatywą z tartego chrzanu.

Pani mecenas zacisnęła usta, potem ułożyła je w ciup, przez co jej otwór gębowy zaczął przypominać poszminkowaną odbytnicę.

– Nie podepniesz mnie – wyrzuciła w końcu. Ale bez przekonania. –

Alibi...

– C-c-c! – pocmokałem i to wystarczyło, żeby się zamknęła. Zawyłem w duchu z radości: Posoka nie kontaktował się z nią! – Nie, odpada. Świadkowie, kopyto, przechowywane w twojej kopercie... Bo wiesz, podebrałem kilka ze śmietnika. Na otwieracz do kopert się wysadziłaś, a na niszczarke już nie? Przecież pokazywał twój minister Ziober w tiwi, trzeba było posłuchać, do czego służą.

– Alibi! – warknęła.

– Nie. Nie masz. To sprawdziłem. Puste popołudnie. Pewnie masturbowałaś się pod prysznicem. A ja wykorzystałem czas, jaki mi przydzielono... – Wyjąłem komórkę i wystukałem numer do byłego reketiera. Po jednym sygnale rozłączyłem się. Roxana Samolej patrzyła na mnie w osłupieniu. Z boku otworzyły się drzwi i do baru weszli dwaj moi pomagierzy. – Czy to ta kobieta? – zapytałem głośno.

– Tak, to ona! – powiedział po sekundzie wpatrywania się w prawniczkę koleś Bartka.

On sam odczekał chwilę.

– Tak, to na pewno ona. Nie mam żadnych wątpliwości – inteligentnie rozwinął kwestię.

– Dobra, dzięki. Będziemy w kontakcie – rzuciłem wesoło i, odwróciwszy się do Samolej, podjąłem: – Czyli tak, zwijasz kancelarię, wynosisz się do małego cichego miasta, zrywasz z zawodem. To nie dla ciebie profesja, uwierz mi. Możesz sobie prowadzić biuro tłumaczeń albo porad księgowych, nic bliżej tego, co robiłaś tu. Kapewu? I milczysz usilnie.

Bo jak nie, to odciski w dossier połączą się z tymi na broni z masakry, rozumiesz?

– Jeśli myślisz...

– I jeśli myślisz, siostró, że stanie mi się jakaś krzywda i sprawa się ubłoci, to masz nierówno pod tym blond grzywkiem. Jest taki mały

głupi, ale upiornie gorliwy programik.

Codziennie dwa razy pyta mnie, dwojakimi kanałami, czy ma uruchomić inny programik. A jeśli spadnę ze schodów i będę w szpitalu, to nie odpowiem przecząco. A wtedy ten mały głupek uruchomi tego swojego niewiele mądrzejszego braciszka, i nagle na kilku kompach co ważniejszych mediów pojawi się... Co? Pojawi się emil, pizdeczko. Emil, a w nim trochę danych. Wystarczająco trochę. Wyciągnąłem rękę i palcem wskazującym nacisnąłem, niemal z całej siły, na wierzch dłoni Roxany Samolej. Milczała.

– Uwierz mi, miałem czas i chęci, by przygotować tę akcję.

Cofnąłem rękę i rozsiadłem się wygodnie w fotelu. Samolej otworzyła usta, potem zamknęła usta, otworzyła i zamknęła znowu, żeby zacisnąć zęby i powstrzymać łzy. Udało się tylko to pierwsze. Nie mam słabości do kobiecych łez, ale te mnie... Wzruszyły? Poruszyły?

Nie – ucieszyły!

– Posłuchaj – wychrypiała nagle. I ta chrypka jakby obnażyła ją ostatecznie, pokazała, jaka to wredna samolubna suka, bezwzględna bladź. To też mnie nie wzruszyło: mój podły plan był adresowany do właściwej osoby. Nie skrzywdziłem nikogo niewinnego, cnotliwego, zacnego. – Posłuchaj mnie chwilę... Ja... Mogę... Ja i ty moglibyśmy działać tyle, że...

– Aha, na pewno. Ale nie działamy. Razem nie działamy. Ja, mam nadzieję, jeszcze mocno przetrzępię twoich klientów. A ty już nie. Ty otwórz sklepik z pasmanterią. I przyślij mi emila z miejscem zamieszkania, żebym mógł co jakiś czas się skontaktować, wpaść zobaczyć, jak się bawisz. Stochard na Onecie. Zapamiętasz? Jeśli nie będzie w ciągu miesiąca, to się wkurwię.

Wstałem i pomachałem do Tomka.

– Pani mecenas rezygnuje z kawy. I z członkostwa w klubie. Niech



ureguluje zaległości, pewnie ma.

Wyszedłem, nie oglądając się i nie ociągając, jeśli mam być szczery. Nie mogłem wykluczyć, że gdyby Samolej miała swoją broń przy sobie, w desperacji wyjęłaby ją i wpakowała mi połowę magazynka w plecy, a drugą w już leżącą na podłodze głowę.

Na podwórku, blisko wejścia na tor strzelniczy stał Szymon i palił cygaro. Waniliowy zapach łagodnie przenikał wieczorne jesienne powietrze. Wydawało mi się, że Szymon na mnie czeka.

– Ładnie pachnie – rzuciłem, pociągnawszy kilka razy nosem.

– To jego jedyna zaleta. – Skrzywił się. – Kupiłem z ciekawości, ale już ją zaspokoilem.

Mogłem się domyślić, przecież waniliowych papierosów nigdy bym nie kupił. Podszedłem bliżej. Nie, no ładnie pachniało, zdecydowanie ładnie.

– Słuchaj, Kamil... – Szymon zniżył głos, przechodziliśmy do dyskretnych poziomów rozmowy. – Czy ona na pewno już tu nie będzie przychodziła? Bo jeśli to nie wyjdzie, to ja i tak wszczę postępowanie wykluczające. W końcu jestem właścicielem pryw...

– Spokojnie. – Położyłem mu dłoń na ramieniu i potrząsnąłem łagodnie. – Ta pani na pewno więcej tu nie przyjdzie. I nie będzie miała czasu ani ochoty na żadne mściwe gesty.

Zaręczam ci.

– Oj, to dobrze, bo już mnie to męczyło. – Uniósł swoje wonne cygaro i pokręcił nim w powietrzu. – Dawno nie spotkałem tak niegodziwego człowieka. Jak mogłem tego nie zauważyć przy zapisie do klubu!

– Wiele osób pani mecenas zmyliła i wiele skrzywdziła, ale już nie będzie ani tego, ani owego. – Wyciągnąłem rękę. – Cześć!

– Ale ty nie rezygnujesz? – zaniepokoił się. Chwycił moją dłoń i potrząsnął mocno. – Prawda?

– Prawda. Ruszyłem do wozu.

Nie miałem zamiaru rezygnować. Poza tym musiałem tu zaglądać, żeby sprawdzić miejsce pod jednym takim słupem. Pod tym, pod którym zakopałem szczelną ikeowską kasetę z nieдрzewnej stali z hecklerem w środku, kopertą zaadresowaną do pani mecenas i kilkoma innymi drobiazgami. Po takiej suce można się spodziewać każdego rodzaju kopa, w dowolną część ciała.

Takie jak ona są chyba gorsze nawet od guimonów.

Oczywiście, nie tych tuningowanych, o nie! Ale z tymi też sobie poradzimy.

*Wrocław, wrzesień 2007*

